

# Sharon Shinn

## ŻONA ZMIENNOKSZTAŁTNEGO

ZYSK I S-KA WYDAWNICTWO

### 1

Zanim Aubrey przybył do wioski, aby uczyć się u Glyrendena, nie miał pojęcia, że wielki czarodziej wziął sobie żonę. A kiedy się dowiedział, pijąc piwo w ciepłej, mrocznej gospodzie stojącej na samym skraju miasteczka (i będącej sercem tej maleńkiej społeczności), nie przypuszczał, by miało to jakiegokolwiek znaczenie. Mimo wszystko, był zdziwiony. Sądząc po tym, co po wiedział mu stary Cyril, Glyrenden nie wyglądał na człowieka zdolnego do łagodniejszych uczuć. Jednak nie ulegało wątpliwości, że Cyril nie lubił nadwornego maga, więc może te niepochlebne słowa należało złożyć na karb zawodowej zawiści.

Pomysł praktykowania u zmiennokształtnego nie wyszedł od Aubreya. Ten był przekonany, że Cyril może nauczyć go wszystkiego, co chciał wiedzieć, gdyż w całej krainie — jak również w trzech sąsiednich krajach na zachodzie — uważano starego za największego czarodzieja od siedmiu pokoleń. Jednak Cyril, który chętnie, cierpliwie i hojnie dzielił się z nim zaklęciami oraz wiedzą, na zgromadzenie której poświęcił osiemdziesiąt lat, stanowczo odmówił wyjawienia mu tajników transmogryfikacji.

— Dlaczego nie? — pytał go Aubrey tuzin, sto razy. — Przecież znasz zaklęcia. Rzuciłeś je. — To barbarzyńskie zaklęcia — odparł Cyril i nie chciał powiedzieć nic więcej. Jednak miał wyrzuty sumienia. Znajomość wszelkich rodzajów alchemii jest niezbędna dobrze wykształconemu czarodziejowi, Aubrey zaś, mimo młodego wieku, zapowiadał się na jednego z najbardziej utalentowanych magów owego wieku. Dlatego Cyril napisał do Glyrendena, proponując, by Aubrey został jego uczniem; a Glyrenden odpisał, że przyjmuje propozycję. Cyril wysłał Aubreya w drogę, dając mu na pożegnanie krótką radę.

— Naucz się tak dobrze wszystkiego, czego będzie cię uczył, żebyś mógł rzucić na niego jego własne zaklęcia — rzekł stary czarodziej. — Glyrenden szanuje tylko potężniejszych od siebie, słabszych nienawidzi. Jeśli nie zdołasz go pokonać, zniszczy cię. Już teraz w wielu dziedzinach jesteś lepszym magiem od niego, lecz jeżeli stwierdzi, że w jakiejś cię przewyższa, wykorzysta to przeciwko tobie. Tak więc musisz uczyć się wszystkiego, niczego nie zapominać i przez cały czas strzec się Glyrendena.

— Prerażasz mnie — rzekł Aubrey z łagodnym uśmiechem. Był jasnowłosym, pogodnym młodzieńcem o otwartej twarzy, wykazującym ogromny pęd do wiedzy i bezgraniczną wiarę we własne umiejętności. Jeszcze nigdy nie natknął się na coś, czego nie mógłby zrobić; jednak te zdolności nie uczyniły go aroganckim ani złośliwym. Wprost przeciwnie, był dobroduszny i miły, zadowolony z siebie i z życia. — Dlaczego posyłasz mnie do niego, jeśli jest taki groźny?

— Dobrze ci to robi, jeśli w końcu staniesz przed poważniejszym wyzwaniem — mruknął Cyril. Aubrey roześmiał się.

— A dlaczego on zgodził się być moim mistrzem, skoro jest takim ogrem? Nie wygląda mi na takiego, który chętnie akceptuje kłopotliwych uczniów.

Cyril obrzucił go kosym spojrzeniem wąskich niebieskich oczu, przelotnym jak błysk słońca na wodzie, spojrzeniem zdradzającym więcej niż słowna odpowiedź, gdyby tylko Aubrey zdołał je odczytać.

— Ponieważ nie może znieść, że okażesz się lepszy od niego i chce mieć szansę, żeby dowieść swej przewagi. Aubrey poddał się.

— Zatem będzie lepiej, jeśli przebywając w jego domu przez cały czas, będę miał się na baczności — rzekł.

— Tak — odparł Cyril. — Myślę, że powinienes.

I tak Aubrey spakował swój skromny dobytek, narzucił na ramiona zieloną, wytartą opończę i ruszył w trzy stumilowa podróż do domu czarodzieja, idąc pieszo, jeśli nie zdołał ubłagać kupców i handlarzy jadących Północnym Traktem Królewskim, żeby go podrzucili. Po kilku dniach przybył do celu późnym wieczorem i postanowił przenocować w jedynej w tym miasteczku gospodzie, zanim stanie w drzwiach domu Glyrendena. Rankiem znalazł tam wiele ciekawych rzeczy do obejrzenia i dziewcząt, z którymi mógł poplirtować i kupić im kwiaty na targu; tak więc dopiero po południu był gotowy pokonać ostatni etap swej podróży.

Dodał sobie animuszu kuflem piwa w tawernie i właśnie tam się dowiedział, że Glyrenden ma żonę. Przy posiłku złożonym z sera i chleba Aubrey zaprzyjaźnił się z oberżystą, opowiedział mu też wszystko, co pamiętał o warunkach na drogach między Południowym Portem a miasteczkiem. Później zapytał go, jak dojść do domu Glyrendena, na co opalona i szczerą twarz karczmarza przybrała dziwny wyraz.

— A więc tam podążasz — powiedział oberżysta beznamiętnym i głuchym głosem, tonem człowieka rozmawiającego z klientem, którego nie lubi, lecz musi grzecznie traktować. — No cóż, pójdziesz tym traktem od moich drzwi aż do rozstajów. Tam wybierzesz lewe odgałęzienie drogi, a później napotkasz trzy skrzyżowania; na każdym skreścisz w lewo. Poznasz jego dom, kiedy go zobaczysz.

Aubrey uśmiechnął się miło.

— Zawsze w lewo — rzekł. — To niezbyt skomplikowane. Powiniennem zapamiętać.

Czarne oczy karczmarza nie rozbłysły iskierkami rozbawienia, niczym nie okazały, że usłyszał ten żarcik.

— Wyruszasz niebawem? — zapytał uprzejmie.

— Jak tylko dopiję piwo. Powiedz mi, czy Glyrenden często przychodzi do miasteczka? Czy też krąży tylko między swoim domem a królewskim dworem?

— Przychodzi — odparł chłodno właściciel tawerny — ale niezbyt często. A ona jeszcze rzadziej.

— Ona?

Gospodarz mimowolnie poderwał ręce z gładkiego, drewnianego szynkwasu, a potem powoli opuścił je z powrotem. Aubrey zastanawiał się, jaki zamierzał wykonać gest; dostrzegł grymas odrazy.

— Żona czarodzieja.

— On jest żonaty?

— Tak. A przynajmniej mieszka z tą kobietą już od trzech lat. — Cyril nic mi o tym nie mówił.

— Przepraszam?

— Nie, nic.

Aubrey znów się uśmiechnął, położył na ladzie sztukę złota i w duchu roześmiał się jeszcze szerzej, widząc minę, jaką zrobił oberżysta na widok monety. Najwyraźniej Glyrenden nie był tu zbyt lubiany i ci, którzy zadawali się z nim, natychmiast stawali się podejrzani.

— Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy — dodał uprzejmie. — Jeśli dobrze zrozumiałem, to miasteczko leży najbliżej domostwa Glyrendena.

— Tak — odparł sucho karczmarz. — Zgadza się.

— Zatem na pewno wpadnę tu od czasu do czasu na kufelek, kiedy będę spragniony.

— Oczywiście. Chętnie zobaczymy pana znowu, sir — powiedział właściciel.

Aubrey uśmiechnął się szeroko.

— To dobrze. Na razie, dobry człowieku.

Spacer przez wioskę i porośnięte lasami wzgórze był przyjemny, gdyż popołudnie było chłodne jak na tę porę roku, a zachodzące słońce oblewało zielone drzewa łagodną poświatą. Aubrey nucił sobie pod nosem, raz po raz podśpiewując jakąś piosenkę, maszerując różnym, zwawym krokiem i śmiejąc się ze swojej młodości i niecierpliwości. Ani ponure ostrzeżenia Cyrila, ani wrogość karczmarza nie psuły mu humoru. Dzień był piękny, a on był w dobrym nastroju i w drodze do miejsca, którego jeszcze nie odwiedził, gdzie miał zdobyć od dawna upragnioną wiedzę; nie pamiętał, by kiedykolwiek świat wydawał mu się lepszy czy bardziej obiecujący.

Tak jak powiedział oberżysta, domu Glyrendena nie sposób było nie zauważyć. Oddzielony od głównego traktu zarośniętym podjazdem, zaledwie dostatecznie szerokim, aby przejechał po nim wóz, był ogromny: trzy kondygnacje niedbale spiętrzonych, ołowianoszarych kamieni. Na frontowej ścianie w szerokich, regularnych odstępach rozmieszczono panele z ciemnego drewna, pełniące rolę okiennic i drzwi. Południową wieżyczkę oplatał zeschnięty bluszcz, a zielony zaborczo owijał się wokół framug, nadproża i każdej wystającej cegły. Zaniedbany, zdziczały ogród otaczał całe domostwo wysokim na pięć stóp pierścieniem — róże pnące się po murach wraz z bluszczem, żółte słoneczniki ciężkie od swych dojrzałych brązowych serc, malwy rozchylające swe miękkie i jaskrawe płatki, aby schwytać ostatnie promyki zachodzącego słońca. Jedyнным dźwiękiem był chrzęst butów Aubreya na żwirze oraz ciche westchnienia nisko zwisających gałęzi i krzaków, które odginał, przeciskając się ścieżką w kierunku domu.

Kiedy zapukał, odgłos uderzenia o grube drewniane drzwi był tak słaby, że Aubrey zwątpił, czy ktokolwiek w tych walących się murach zdoła go usłyszeć. Zastukał jeszcze trzy razy, zanim zauważył zardzewiały łańcuch wiszący obok drzwi; przeszedł przez ganek i energicznie pociągnął łańcuch. Usłyszał brzęk dzwonek w głębi fortecy i nabrał przekonania, że ktoś jednak dowie się o jego obecności. Na wszelki wypadek ponownie zastukał w drzwi.

Czekał, lecz nic się nie działo. Zniecierpliwiony, zszedł z niskiego, popękanego, kamiennego ganku, by popatrzeć na frontową ścianę budynku; kilka zamkniętych okien i wijący się bluszcz. Z miejsca gdzie stał, nie mógł dostrzec, czy z komina kuchni lub któregoś z pokojów unosi się dym, a przedzierając się do frontowych drzwi, nie zadał sobie trudu, żeby to sprawdzić. Może nikogo nie było w domu. Ponownie wszedł na ganek i znów mocno pociągnął za łańcuch dzwonek.

Drzwi natychmiast się otworzyły. Aubrey szybko obrócił się ku nim, przywołując na usta swój najmiłszy uśmiech. W progu stała wysoka kobieta, trzymając otwarte drzwi obiema rękami, jakby były bardzo ciężkie. Jej włosy, zaplecione w warkocz i upięte w kok, były ciemne jak drewno drzwi, suknia szara jak kamień, a oczy tak jasnozielone, że zdawały się ożywiać ponure otoczenie. Twarz wyrażała kompletną obojętność.

— Czego chcesz? — zapytała. Jej głos nie był przyjazny ani wrogi; nie zdradzał nawet zaciekawienia.

Uśmiech Aubreya lekko przygasł i zastąpił go grymas zdziwienia.

— Hej! — powiedział, przywołując na pomoc swój wdzięk. — Jestem Aubrey. Przysłał mnie tu mag Cyril z Południowego Portu, żebym uczył się u Glyrendena. Przypuszczam, że oczekuje mojego przybycia.

— Tak? — zapytała kobieta. — Nie wiedziałam.

Aubrey odczekał chwilę, lecz najwidoczniej tylko tyle miała do powiedzenia.

Uśmiechnął się jeszcze milej.

— Zapewne zapomniał — rzekł. — Jest w domu? Mogę wejść i porozmawiać z nim?

Nadal trzymała drzwi obiema rękami, ale nie tak, jakby były zbyt ciężkie. Przez chwilę Aubrey myślał, że odmówi; potem wzruszyła ramionami i szerzej uchyliła drzwi. Wszedł do środka.

— Nie ma go tu — powiedziała, gdy przekraczał próg. — Jednak powinien wrócić jutro lub pojutrze.

Aubrey z lekkim zdumieniem rozglądał się wokół, więc w pierwszej chwili nie pojął znaczenia jej słów. Widząc zaniedbany ogród, spodziewał się pewnego nieporządku także w środku, lecz sądząc po wyglądzie przedpokoju i salonu, w domu panował niesamowity bałagan. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu; buty Aubreya głęboko zapadły się w pył, a w korytarzu wyraźnie było widać ślady pozostawione przez kobietę spieszącą otworzyć drzwi. Pajęczyny oplatały kryształę pięknego żyrandola wiszącego pod sufitem; żelazna zbroja strzegąca wnęki w przedpokoju zaczęła pokrywać się rdzą. Wszechobecna woń, która zdawała się dobywać wprost z szarych ścian, składała się w połowie z wilgoci, a w połowie z kurzu.

Nie potrafiąc ukryć zdziwienia, odwrócił się i spojrzał na kobietę, która go tu wpuściła. Powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem, sprawdzając przyczynę jego zdumienia. — W pomieszczeniach, w których zazwyczaj przebywamy, nie jest tak źle — napomknęła, bynajmniej nie zmieszana. — Arachne robi, co może, ale ten dom jest za duży. A zresztą, tej części nikt nigdy nie używa.

Dopiero wtedy przypomniał sobie, co powiedziała, kiedy wchodził do środka. — Mówisz, że Glyrendena nie ma? — powtórzył. — A więc sprawię kłopot, jeśli tu zostanę?

Popatrzyła na niego i zauważyła ubrudzone w drodze odzienie oraz podróżne sakwy, które trzymał na ramieniu.

— Och — powiedziała. — Rozumiem, że zamierzałeś zamieszkać u nas?

Nagle poczuł się nieswojo i głupio, co rzadko mu się zdarzało.

— No, jako uczeń Glyrendena... ale w końcu wioska leży niedaleko, więc równie dobrze mogę przychodzić codziennie... a skoro go nie ma...

Coś jakby uśmiech przemknęło po jej wargach i zniknęło.

— Nie przejmuj się konwenansami — powiedziała. — Są tutaj słudzy. W pewnym sensie. I żaden z wieśniaków nie oskarży mnie o to, że wzięłam sobie kochanka, nawet gdyby rozmawiali z moim mężem, czego nie robią. Możesz spokojnie tu zostać. Po prostu nie wiedziałam, że tak ma być.

Ta przemowa trochę zdziwiła Aubreya. A więc to była żona, o której wspominał karczmarz; nic dziwnego, że miał taką dziwną minę. Była bezpośrednia, pozbawiona wdzięku i zdziwaczała, a Aubrey, który z każdym umiał znaleźć wspólny język, nie wiedział teraz, co jej powiedzieć.

— Może, kiedy wróci twój mąż... — zaczął ostrożnie.

— Będzie na mnie zły, jeśli stwierdzi, że byłeś tu i poszedłeś sobie — powiedziała, chociaż wcale nie wyglądała na przejętą taką ewentualnością. — Zostań, przynajmniej dopóki nie wróci. Potem może znów będziesz chciał odejść.

I obdarzyła go promiennym uśmiechem, który — na krótką chwilę — tak rozjaśnił jej twarz, że ponownie nie od razu pojął sens jej słów; dopiero idąc za nią zakurczonym korytarzem do wielkiej i tylko trochę mniej zapuszczonej kuchni, zrozumiał, co powiedziała.

W kuchni zobaczył dwoje pozostałych mieszkańców domu. Jedną z nich była mała, bezbarwna kobieta w średnim wieku, o chudej, skrzywionej twarzy na pół ukrytej pod grzywą nastroszonych, białych włosów. Krzątała się po pomieszczeniu energicznie machając rękami, wycierając brudne blaty i od czasu do czasu łapiąc przelatujące owady. Jeśli ona sprząta w tym domu, pomyślał Aubrey, to robi niewielkie postępy. Kobieta wyglądała na oburzoną czymś i mamrotała bezgłośnie pod nosem, jednak nie miał pojęcia, co ją tak rozzłościło.

Drugi mieszkaniec przykucnął przy wygasłym kominku, lecz na widok wchodzącego gościa podniósł się powolnym, chwiejnym ruchem. Miał ponad sześć i pół stopy wzrostu i każdą widoczną część ciała pokrytą czarnym, szorstkim futrem, oprócz okolic oczu i nosa. Jego oczy były wielkie, ciemnobrązowe, w tej chwili zwężone i czujne. Zacisnął ogromne

dłonie w pięści i powoli otworzył je, palec po palcu. Usta, rozchylone w hałaśliwym oddechu, ukazywały nadmiar zębów.

— Och, siadaj, Orionie. On jest zupełnie nieszkodliwy — powiedziała pani domu. Jej głos nie był tak ostry jak słowa. — Przybył uczyć się u Glyrendena. Musisz być dla niego miły.

Wielkolud nie odrywał oczu od twarzy Aubreya, lecz słysząc to, wyraźnie złagodniał.

— Miły — powtórzył, z trudem wymawiając to słowo. — Musieć być miły.

Żona Glyrendena wskazała na drobną kobietę nadal biegającą po kuchni z pochyloną głową i gniewnie zaciśniętymi ustami.

— To jest Arachne. Gotuje dla nas i sprząta. Toczy przegraną bitwę z kurzem i brudem, przez co — jak widzisz — jest bardzo nieszczęśliwa. Wątpię, czy kiedykolwiek odezwie się do ciebie. Rzadko z kimś rozmawia.

Aubrey zaczynał przypuszczać, że przez pomyłkę trafił do domu wariatów, lecz z jego ust nie schodził uprzejmy uśmiech.

— A ty jesteś... ? Jeszcze nie zapytałem, jak ci na imię.

I znów ten dziwny, przelotny uśmieszek wykrzywił jej wargi i zniknął.

— Nazywają mnie Lilith — odparła. — A jak mamy nazywać ciebie?

— Aubrey, oczywiście.

— Bardzo dobrze, Aubreyu oczywiście, poproszę Arachne, żeby przygotowała dla ciebie pokój. Jednak ostrzegam cię, że nie będzie wiele lepszy niż reszta domu. Chyba ci to nie przeszkadza, wszak przybyłeś tu studiować.

Nie był pewien, czy słyszy kpinę w jej głosie, a jeśli tak, to dlaczego miałaby z niego kpić. ale odpowiedział natychmiast:

— Tak, to prawda. Dach nad głową i łóżko, to wszystko, o co proszę.

— Całe szczęście.

Arachne rzeczywiście zaprowadziła go do pokoju, truchając przed nim ciemnym i zakurzonym korytarzem, z pochyloną głową tłumiącą jej nieustanne mamrotanie. Komnata, w której go zostawiła, wyglądała na nie sprzątaną, od czasu gdy zbudowano ten kamienny dom. Idąc po podłodze w kierunku łóżka, Aubrey czuł grudy błota pod podeszwami butów. Łoże było ogromnym, steranym meblem z połataną i wilgotną pierzyną; kawałki postrzępionego jedwabiu zwisały z czterech grubych słupków, które niegdyś podtrzymywały baldachim. Wokół jednej solidnej, drewnianej okiennicy Aubrey dostrzegł delikatny obrys światła, lecz mimo jego energicznych wysiłków zamek nie ustąpił i okno nie dało się otworzyć. Jeżeli pokój oferował jeszcze jakieś atrakcje, to było dostatecznie widno, żeby je odkryć.

— Co za niezwykle i wspaniałe miejsce! — mruknął do siebie Aubrey, stojąc na środku ciemnego pokoju. Nie wiedział, czy potraktować to z humorem i zostać, czy poddać się rozpacz i uciec. — Ciekawe, czy Cyril wiedział o tym wszystkim? Cóż za cudaczna zbieranina przedziwnych postaci zgromadziła się pod dziurawym dachem tego domu! Czy będzie lepiej, kiedy wróci Glyrenden? Czy zostanę tu dostatecznie długo, żeby to sprawdzić?

Przebudziwszy się nazajutrz, Aubrey stwierdził, że nie zdołałby stąd odejść, nawet gdyby chciał. Kolacja poprzedniego wieczoru minęła w tak dziwnej i niesamowitej atmosferze, że omal nie odstręczyła go od spędzenia choćby jednej nocy w tym domu. Jedzenie nie było złe, tyle że nie przypominało niczego, co dotychczas jadł. Arachne nieomal biegiem okrążyła stół, usiłując w pośpiechu obsłużyć wszystkich jednocześnie, ale sama nie usiadła i nie przyłączyła się do nich. Orion natychmiast opuścił głowę i bez słowa zaczął sobie ładować kopiaсте łyżki do ust, zjadając do końca kolacji większą część dziwnego gulaszu. Lilith jadła mało i bardzo schludnie, głównie kawałki jabłka i chleba, popijając je wodą z dużego pucharu. Aubrey jadł, nie przyglądając się zbyt zawartości talerza. Podjął kilka dorywczych prób nawiązania rozmowy, zanim poddał się ciszy, zbyt głębokiej nawet dla jego zdolności towarzyskich.

Dziwne, ale spał dobrze w tym starym, spleśniałym łożu i zbudził się z przekonaniem, że wszystko mu się śniło. Leżał w pościeli, ospale usiłując przypomnieć sobie wydarzenia minionej nocy, gdy łoskot gromu uświadomił mu, że na zewnątrz szaleje burza. Słabe światło sączące się przez okiennicę było szare i ponure; a teraz, kiedy wsłuchał się lepiej, usłyszał świst i skowyt wichrów wyjących wokół fortecy.

Jestem w pułapce, pomyślał i wstał z łóżka.

Lilith potwierdziła te podejrzenia, gdy dołączył do niej w kuchni przy lekkim śniadaniu.

— Bardzo często mamy tu takie burze — oznajmiła, zadowolając się odrobiną miodu, który rozpuściła w kubku mleka. — Wiatr wieje tak silnie, że niemal nie można otworzyć drzwi i równie trudno ustać na nogach, kiedy już uda się wyjść na zewnątrz. Nie mówiąc o tym, że w niecałą minutę jesteś całkiem przemoczony.

— A więc lepiej zostanę pod dachem, prawda? — powiedział uprzejmie Aubrey.

Spojrzała na niego tymi swoimi niewiarygodnie szmaragdowymi oczami.

— Czyżbyś zamyślał stąd odejść? — zapytała. Pytanie brzmiało niewinnie, lecz jej oczy spoglądały tak bystro, jakby знаła każdą myśl, jaka przyszła mu do głowy, od kiedy przybył do domu jej męża.

— Nie na serio — odparł, obdarzając ją czarującym uśmiechem.

Miała na sobie szarą suknię, identyczną jak ta, którą nosiła poprzedniego wieczoru. Gęste, ciemnobrązowe włosy upięła w taki sam kok, a jej twarz nadal miała ten spokojny, obojętny wyraz, jaki malował się na niej, kiedy otworzyła mu drzwi.

A jednak stwierdził, że przygląda się jej tak, jakby nie widział jej wcześniej. W pozornie pospolitej twarzy i uderzająco pięknych oczach było coś hipnotyzującego, niemal nieodpartego.

— Powiedz — odważył się — co tu robicie, żeby się rozerwać, kiedy Glyrendena nie ma, a pogoda zmusza was do pozostania w domu?

— Mam tu bardzo niewiele rozrywek nawet wtedy, gdy Glyrenden nie przebywa poza domem — powiedziała.

Uniósł brwi.

— Chyba nie siedzisz przez cały dzień, patrząc na bezustanną krzątaninę Arachne?

Przelotny, najkrótszy z uśmiechów przemknął po jej pełnych wargach.

— Nawet to po pewnym czasie przestaje bawić — przyznała.

— A więc, co robisz podczas takich burz jak ta? — naciskał.

— Przeważnie patrzę przez okno na niedostępny dla mnie świat.

— Grasz w karty? Szyjesz? Pisziesz listy? Przecież musisz coś robić.

Lekko przechyliła głowę na bok, jakby w końcu zaintrygowana.

— Nic z tych rzeczy — powiedziała.

— Dlaczego?

— Nie mam do kogo pisać, nigdy nie szyłam i nie umiem grać w karty.

Jego uśmiech jeszcze się poszerzył.

— A są tu jakieś karty?

— Pewnie tak.

— A więc nauczę cię grać. Mamy na to cały dzień.

Wysłali wściekłą Arachne na poszukiwanie talii kart oraz innych gier, jakie zdoła znaleźć. Wróciła z trzema taliami zwykłych kart i jedną do tarota, którą Aubrey niecierpliwie odrzucił na bok. Ponadto znalazła trzy pary kości: dwie z kości słoniowej i jedną z onyksu nabijanego małymi rubinami — tę Aubrey zatrzymał. Gospodyni odkryła też drewnianą planszę do gry, ale bez figur. Tablica składała się z wypalonych w drewnie trójkątów i kół tworzących skomplikowany wzór, lecz Aubrey nie miał pojęcia, do jakiej służyła gry. Ją również odłożył na bok.

— No dobrze — powiedział, tasując jedną talię i układając karty w równych rzędach. — Zaczynamy, mając pięćdziesiąt dwie różne karty...

Odkrył, że Lilith jest pojętną uczennicą i do końca dnia nauczył ją kilku prostych gier w rodzaju „osuszania studni” i bardziej skomplikowanych, takich jak wist czy pikiet. Skupiała całą uwagę na zawiłościach gry, obracając każdą kartę w palcach przed jej położeniem lub pociągnięciem, jakby te małe kolorowe prostokąciki szeptały rady lub słowa zachęty. Nie przegrywała wiele, a nawet raz czy dwa wygrała z nim, zanim dzień dobiegł końca.

Arachne ignorowała ich całkowicie, kręcąc się wokół tak, jakby ich tam nie było, a raz czy dwa Aubrey miał wrażenie, iż przesunęła ścierką do kurzu po jego ramionach i plecach. Jednak około południa Orion przyszedł obserwować ich w ponurym milczeniu i z tak wyczuwalną tęsknotą spoglądał na piki i trefle, kara i kiery, że Aubrey zaczął tracić ochotę do gry.

— Musimy dać mu zagrać — powiedział do Lilith, kiedy Orion już od dwóch godzin patrzył na nich w milczeniu.

— On nie jest zbyt bystry — stwierdziła, co Aubrey uznał za nieuprzejme wobec siedzącego tak blisko olbrzyma. — Nie wiem, czy zdoła się nauczyć.

— A więc spróbujmy jedną z prostszych gier. Może „osuszanie studni”?

— Może być.

Nauczyli go trzymać przed sobą karty i rzucać jedną po drugiej, mówiąc mu, kiedy jego królowa pobiła ich figury (co wprawiło go w dzikie podniecenie) i gdy jego dwójkę pokonała czwórka (na co niepokieszony osunął się na krzesło). Aubrey, będący mistrzem takich sztuczek, niepostrzeżenie rozdał karty tak, że wszystkie króle i asy w magiczny sposób dostały się Orionowi, który w końcu wygrał grę. Z początku nie mógł tego pojąć; potem nie posiadał się z radości i nie chciał oddać Lilith kart, chociaż usiłowała wyjaśnić mu, że wygrał grę, nie talie.

— Mówiłam ci, że nie zrozumie — zauważyła.

— Nieważne — odparł Aubrey. — I tak mam już dość kart.

Najwyraźniej nikt nie zamierzał zaproponować innej rozrywki, więc Aubrey zaczął zabawiać ich, pokazując kilka prostych, lecz efektownych sztuczek. Wyjął monety z ucha Oriona (i pozwolił biedakowi zatrzymać je); sprawił, że fartuch Arachne na chwilę nakrył jej głowę; wziął nóż kuchenny i udał, że odcina sobie rękę, aby przytwierdzić ją do kolana. Nawet Arachne przystanąła na chwilę, żeby popatrzeć na jego zabawne występy i Aubrey miał wrażenie, że na twarzy Lilith pojawił się prawdziwy, szeroki uśmiech.

Jednak nie lubili ognia. Arachne odwróciła się i wróciła do sprzątanania, gdy wykrzesał niebieski płomyk z czubków swych palców. Orion jęknął, chowając się pod stół i nawet Lilith cofnęła się z przerażeniem, kryjąc twarz w dłoniach. Aubrey natychmiast zgasił płomień.

— Przepraszam — rzekł do niej, lekko zbity z tropu. — Nie chciałem was przestraszyć.

Odśloniła twarz, lecz jej policzki nadal były popielatoszare.

— Zawsze obawiałam się ognia — powiedziała.

— A więc jak się ogrzewasz?

Znów ten nikły uśmiech, jakby widmowy.

— Ja nigdy nie marznę, nawet w zimie. Nie potrzebuję ognia, żeby się rozgrzać.

— To masz więcej szczęścia ode mnie. Ja zawsze wtedy marznę.

— Zatem lepiej nie zostawaj tu na zimę — powiedziała. — Ponieważ to zimny dom.

To wszystko zdarzyło się podczas pierwszego dnia pobytu Aubreya w domu zmiennokształtnego.

## 2

Przebudziwszy się następnego dnia, Aubrey stwierdził, że jasne słońce usiłuje wdrzeć się przez okiennicę do pokoju; w powietrzu wisiał gęsty, gorący zapach pięknego dnia.

Zszedłszy na dół dowiedział się, że Orion już ruszył na całodzienne łowy i zapewne nie wróci do zmroku.

— Jest dobrym myśliwym? — spytał Aubrey.

Lilith popijała swoje mleko z miodem i patrzyła, jak Aubrey kończy śniadanie.

— Bardzo dobrym. Nawet w czasie ciężkich zim, gdy nie ma zwierzyny, Orion ją znajduje. Podczas szczególnie srogich zim wieśniacy czasem przychodzą do nas, żeby kupić od niego jelenia czy królika. Jednak robią to tylko wtedy, jeśli są bardzo głodni.

Już po raz drugi powiedziała coś takiego i tym razem Aubrey podjął temat.

— Nie lubią Glyrendena?

— Nie lubią nas wszystkich. — Trzymacie się z dala od wioski?

Wzruszyła ramionami.

— Nie mamy tam po co iść. Orion chodzi do wsi mniej więcej raz na tydzień kupić mleko, owoce i inne rzeczy, których potrzebujemy.

Orion nie wyglądał na dostatecznie sprytnego, by przeprowadzić choćby najprostszą transakcję i Aubrey dał wyraz swoim wątpliwościom.

— I nie oszukują go?

Lilith uśmiechnęła się.

— Oszukiwać jednego ze sług Glyrendena? Nie byłiby tak głupi. Jeżeli już, to są wobec niego więcej niż uczciwi. Jednak on nie lubi chodzić do wioski, więc stara się znaleźć w lesie wszystko, czego potrzebujemy.

— Jeśli nie lubi chodzić do wioski, to dlaczego...

— Glyrenden mu każe.

Powiedziała to zwyczajnie, z prostotą, lecz jej słowa zmroziły Aubreya. Lilith najwyraźniej nie tęskniła za nieobecny mążem.

— Masz jakieś plany na dzisiaj? — zapytał ją. Potrząsnęła głową. — To chodź ze mną na spacer. Jestem sztywny i obolały przez wczorajszy brak ruchu.

— Raczej od spania w niewygodnym łóżku — powiedziała, wstając. — Zaczekaj, zmienię buty.

Pięć minut później maszerowali jednym z leśnych traktów, ledwie widocznym w gęstym poszyciu. Aubrey prowadził, odginając gałęzie i krzaki, idąc zwawo, by otrząsnąć się z dziwnego,

trapiącego go niepokoju; Lilith bez słowa skargi dotrzymywała mu kroku. Przez pierwszą godzinę nie rozmawiali wiele, aż Aubrey zwolnił, by podziwiać rozpościerający się przed nimi piękny widok.

— Bardzo ładny — przytaknęła Lilith. Oparła dłoń o jeden z wielkich dębów otaczających polanę; szybki marsz sprawił, że jej twarz nabrała kolorów. Po raz pierwszy w ciągu tych dwóch dni ich znajomości wyglądała na ożywioną i promienną.

— Spacerujesz czasami po lesie? — spytał Aubrey. — Te ścieżki nie wyglądają na często używane.

— Wolę szlak wiodący do królewskiego pałacu — odparła — ale nie bywam tam często. Tą drogą zazwyczaj chodzi Glyrenden.

Kolejne dziwne stwierdzenie.

— A co ciekawego można zobaczyć przy drodze do pałacu króla? — zapytał.

— Niewiele; tyle, że — jeśli iść długo i daleko — dojdzie się do Królewskiego Gaju, a to moje ulubione miejsce w całym królestwie.

Odwrócił się i spojrzął na nią. Nie była piękna, lecz regularne, czyste rysy jej twarzy nieustannie przyciągały jego uwagę; głębia zielonych oczu niepokoiła go.

— A czym jest ten Królewski Gaj?

Zmieniła pozycję, opierając się plecami o szeroki pień, przyciskając ramiona do drzewa tak, że wydawała się doń tulić. Przymknęła oczy i mówiąc, nie patrzyła na Aubreya.



— Królewski Gaj to zbiorowisko drzew z całego świata, obejmujące wszystko, co rośnie w tym królestwie oraz w każdym z trzech królestw na zachodzie. Nikomu nie wolno ścinać drzew w tym gaju, nikt nie może wycinać swego imienia na ich pniach ani nawet zbierać uschniętych gałęzi na ognisko, ponieważ ten gaj jest święty i należy do króla, tak więc pozostanie nietknięty aż po kres czasu. To piękne miejsce.

— Musimy tam kiedyś pójść — rzekł Aubrey, nie wiedząc dobrze, co mówi. — Czy to daleko stąd?

— Niezbyt daleko, jeśli zechcesz spędzić dzień czy dwa w podróży.

— A więc pojedziemy tam kiedyś.

Słyszając to, otworzyła oczy i spojrzała na niego, a on poczuł, że nagle opuszcza go nonszalancja i beztroska.

— Może — powiedziała i znów zamknęła oczy.

Aubrey cofnął się o krok, a potem zrobił krok naprzód, czując dziwne zmieszanie. Skierował niewidzące spojrzenie na rozpościerający się przed nim krajobraz: kilka malowniczych drzew wokół szarego jak dym jeziora pośrodku polany porośniętej bujną, letnią trawą. Gdy tak patrzył, dwie wiewiórki zbiegły z jednego drzewa, przemknęły przez polankę i wbiegły na inny dąb; wilgi wirowały czarno-czerwonym korowodem na niebie. Kręgi na stawie obiecywały obfitość ryb, a bzykanie i buczenie owadów tworzyło miły akompaniament rozmowy.

— Nic dziwnego, że Orion ma sukcesy w łowach — rzekł Aubrey tylko po to, żeby coś powiedzieć. — W lesie roi się od zwierzyny.

Lilith otworzyła oczy i tym razem nie dostrzegł w nich nic szczególnego prócz ich niezwykłego koloru.

— Tutaj, tak — powiedziała. — Trzeba odejść kawałek od naszego domu, żeby coś upolować.

Aubrey zastanowił się nad jej słowami; nie pamiętał, aby bawiąc u Glyrendena widział w pobliżu domu choć jednego ptaka czy wiewiórkę.

— No tak, to prawda — rzekł powoli. — To dziwne.

Wzruszyła ramionami.

— Zwierzęta boją się Glyrendena. Nie zbliżają się do domu ani do niego. Nie może do nich podejść dostatecznie blisko, żeby zapolować. To dlatego Orion dostarcza nam mięso.

Aubrey zmarszczył brwi.

— Słyszałem o psach i koniach stroniących od niektórych ludzi, ale... to śmieszne. Przecież wszystkie zwierzęta w lesie nie mogą unikać jednego człowieka. To nie ma sensu.

— Naprawdę? — spytała Lilith z lekkim rozbawieniem. — A więc może istnieje inne wytłumaczenie. On jest czarodziejem. Może rzucił zaklęcia odstrasżające je od domu.

— Tak, to bardziej prawdopodobne — rzekł Aubrey, nie dodając „o ile to prawda”.

Wydało mu się, że zamierzała jeszcze coś powiedzieć, lecz wtem wydarzyło się coś dziwnego. Powietrze, przez cały ranek nieruchome i rozgrzane słońcem, gwałtownie ożywiło się; wiatr tak chłodny, że zdawał się gasić barwy, przeleciał wśród drzew i przemknął po powierzchni jeziora. Gęste, letnie listowie nad ich głowami szeptało o sprawach poznanych w ciągu dwóch krótkich pór roku. Wiewiórki, wilgi i srebrnogrzbiete ryby zniknęły nagle.

Lilith oderwała się od dębu, choć wciąż opierała jedną dłoń o jego gruby pień. Obróciła głowę w kierunku ścieżki, którą przyszli i przez ramię powiedziała do Aubreya: — Glyrenden wrócił.

I lekki niepokój, który zniknął w trakcie tego spaceru, znów powrócił, jeżąc jasne włosy na karku Aubreya.

— Skąd wiesz?

— Wiem — odparła. — Chodź. Musimy wracać do domu.

Nie zamienili ani słowa przez całą drogę powrotną — która zajęła im więcej czasu, gdyż Lilith bynajmniej nie spieszyła się, a tym razem to ona szła przodem. Najwyraźniej nie przejmowała się tym, co powie jej mąż stwierdziwszy, że zwiedzała okolice z przyjezdnym uczniem czarodzieja. Aubrey też zwolnił kroku; nagle zaczął mniej chętnie myśleć o spotkaniu z największym z żyjących magów.

Kiedy jednak godzinę później wrócili do domu, Glyrenden czule powitał małżonkę, a na widok Aubreya wydał okrzyk radości. Był wysokim, chudym i ruchliwym mężczyzną, na którym wszystkie barwy zdawały się intensywniejsze. Nosił jaskrawo-czerwoną tunikę oraz jasnoniebieskie spodnie. Jego gęste włosy były tak smoliście czarne, że Aubrey miał wrażenie, iż mogą zostawiać czarne smugi na czole i policzkach, lecz twarz czarodzieja była biała jak marmur. Miał tak czarne oczy, że odbijały się w nich błyski światła z okien i drzwi pokoju, a jego szerokie i pełne usta były czerwone jak u dziewczyny.

Zobaczył, jak wchodzi do pokoju i podszedłszy do Lilith, wziął ją w ramiona. — Moja droga — powiedział, całując ją mocno i czule. Stała nieruchomo w jego objęciach, nie oddając ani nie zrywając uścisku, akceptując trzy pocałunki, jakie złożył na jej wargach. Aubrey, który zwykle odwróciłby oczy od takiej sceny, teraz nie mógł ich oderwać; jednak widok nie odwzajemnionych pocałunków zaniepokoił go.

Glyrenden podniósł głowę, spojrzał na Aubreya, roześmiał się i dopiero wtedy puścił Lilith.

— Wybacz mi — rzekł i z wyciągniętą ręką podbiegł do gościa. — Słudzy powiedzieli mi, że przybyłeś dwa dni temu. Przykro mi, że byłem nieobecny, ale wierzę, iż zadbali, aby było ci wygodnie?

Tak wygodnie, jak to tutaj możliwe, pomyślał Aubrey i uścisnął dłoń Glyrendena. Była niespodziewanie zimna, jakby czarodziej właśnie wrócił z długiej zimowej przejażdżki; a przecież nikt nie powinien tak zmarznąć w taki piękny, letni dzień.

— Bardzo wygodnie, panie — odrzekł. — Jednak przykro mi, jeśli narzucam się niespodziewanie...

Glyrenden puścił rękę Aubreya i niedbale machnął swoją w powietrzu.

— Nonsens. Oczekiwałem cię w każdej chwili. Jednak często jestem nieobecny, wiesz. Nie będę mógł udzielać ci zwyczajnych, codziennych lekcji, ponieważ mój rozkład zajęć zmienia się co tydzień.

— Z chęcią się dostosuję — powiedział z uśmiechem Aubrey. — Bardzo chcę poznać wszystko, czego możesz mnie nauczyć.

Przez chwilę czarodziej miał sceptyczną minę, jakby wątpił, czy Aubrey zdoła się wiele nauczyć, lecz zaraz uśmiech powrócił na jego wargi. Aubrey odpowiedział uśmiechem. Zauważył sceptycyzm tamtego, lecz nawet Cyril zrobił taką minę, kiedy po raz pierwszy zobaczył go w progu swego domu. Aubrey wiedział, że jego miła aparycja i otwarta twarz zwodzą ludzi, którzy nie oczekują po nim rozsądku ani silnej woli. Glyrenden musiał jeszcze wiele dowiedzieć się o Aubreyu, tak samo jak on o czarodzieju.

Z początku wcale nie wyglądało to na naukę magii. Glyrenden przyniósł stos książek jako obowiązkową lekturę, potem wyjawiał młodemu magowi kilka pomniejszych zaklęć i kazał je ćwiczyć. Aubrey był serdecznie znudzony. Książki były suchymi podręcznikami z różnych dziedzin: geografii, mineralogii, ornitologii, anatomii człowieka, meteorologii i chemii. Ćwiczenia były proste, polegały głównie na koncentracji i iluzji, choć wymagały więcej niż jednego talentu. Niektóre z nich Aubrey już znał, innych nie, lecz żadne nie przekraczało jego niepospolitych zdolności, więc zaczynał denerwować się tak powolnym cyklem szkolenia.

Jednak Glyrenden, choć wyczuwał niecierpliwość ucznia, nie dawał się popędzać. Przez następne trzy tygodnie przepytawał go z materiału zawartego w podręcznikach, a kiedy

Aubrey nie znał któregoś na wrywki, musiał czytać jeszcze raz. Mistrz kazał mu rzucać zaklęcia, a sam próbował odwrócić jego uwagę swoimi dziwactwami i czarami. Jeśli wytworzone przez ucznia złudzenia rozwiewały się pod naporem Glyrendena, ten nie chciał uczyć go nowych. Tak więc Aubrey zacisnął zęby i wziął się do nauki, poprzysięgając w duchu, że wykuje materiał na blachę i stworzy tak doskonałe złudzenia, że nawet Glyrenden nie zdoła ich przejrzeć.

— Aby dokonać skutecznego przekształcenia — powiedział mu pewnej nocy czarodziej, kiedy stworzona przez Aubreya iluzja oparła się wszelkim jego wysiłkom — musisz posiadać pełną wiedzę o tym, czym zamierzasz się stać. Wymaga to również umiejętności pozostania tą rzeczą, mimo wszelkich wyobraźalnych przeciwności. Powiedzmy, że zmieniłeś się w zającą i zaatakuje cię wilk. Jeżeli zapomnisz, że jesteś zającem i możesz szybko wskoczyć do nory zbyt małej dla wilka — i dla człowieka, którym naprawdę jesteś — jeśli, jak powiadam, zapomnisz, że jesteś zającem, staniesz jak wryty. Nie będziesz mógł się ruszyć. A jeśli nawet, to nie jak zając, lecz jak stworzenie będące w połowie czymś innym. Wilk dopadnie cię i pożre z takim samym apetytem, z jakim zjadłby zającą nie będącego w rzeczywistości człowiekiem.

— Jeśli zaatakuje mnie wilk, dlaczego nie miałbym z powrotem zmienić się w człowieka? — zapytał rozsądnie Aubrey. — Albo — jeszcze lepiej — w orła i odlecieć sobie?

— Oczywiście, że mógłbyś i powinieneś tak zrobić, jeśli uznasz, że zając nie zdoła uciec przed wilkiem. Jednak jeżeli nie przestudujesz książek, które ci dałem, nie będziesz wiedział, czym jest człowiek, z jakich składa się mięśni, kości i komórek. Tak samo z orłem; a jeśli nie nauczysz się koncentrować, nie będziesz mógł rzucać zaklęć. Zdolność transformacji musi być natychmiastowa, niemal odruchowa; a znajomość tego, czym się masz stać, musi być częścią twojej podświadomości, inaczej nigdy nie będziesz wielkim zmiennokształtnym. Może nauczysz się zmieniać postać powoli i w idealnych warunkach, lecz nie wtedy kiedy od tego zależy twoje życie — a to jedyny powód, by zmieniać swą postać. Moim zdaniem.

Tak więc Aubrey ponownie przeczytał książki i poprosił o kilka następnych; uczył się o skałach, drzewach i górach, jak również o królikach, jeleniach oraz wilkach. Miał nadzieję, że w końcu nie będzie żadnej rzeczy, żywej czy nieożywionej, w jaką nie potrafiłby się zmienić w razie potrzeby. Jeśli kiedykolwiek nauczy się zaklęć, które umożliwią mu takie zmiany.

Glyrenden znał te zaklęcia. Aubrey nie miał co do tego wątpliwości. Te czarne oczy kryły wiedzę rozleglejszą niż znajdująca się gdziekolwiek poza bezpretensjonalnym domostwem Cyrila. Zaś Aubrey, którego głód wiedzy wiódł ścieżkami, na jakie mniej zdolni adepci wahałoby się wkroczyć, zabobonnie odżegnując się od zła, gorąco pragnął informacji posiadanych przez Glyrendena. Dlatego czuł dla niego podziw graniczący z fanatyczną ekstazą. Obserwował czarodzieja z niesłabnącą, obsesyjną uwagą; usiłował wyczytać coś z twarzy stworzonej do skrywania tajemnic; drżał z zadowolenia, kiedy Glyrenden chwalił go i pogrążał się w gniewnej rozpacz, kiedy mag był niezadowolony.

A Glyrenden nie robił nic, żeby temu zapobiec. Jeżeli już, to podsycił oddanie młodzieńca. Płynnymi gestami swych długich, szczupłych palców hipnotyzował go; pochylał się mówiąc doń, tak że jego czarne oczy zmieniały się w błyszczącą kurtynę oddzielającą Aubreya od reszty świata; kusił wzmiankami o wiedzy, którą wkrótce, ale nie za szybko, mu wyjawia. Krył w sobie prawdziwą ucztę, lecz nie zaspokajał głodu Aubreya, który obserwował go nieustannie, codziennie i niestrudzenie.

Kilkakrotnie wieczorami Glyrenden zabierał Aubreya do miasteczka. Przy kufkach piwa i rozmowie spędzali długie godziny w tawernie, w której pierwszego dnia Aubrey pytał o drogę. Właściciel lub jego córka obsługiwali ich uprzejmie, ale żaden z innych bywalców gospody nie przyłączał się do nich ani nie zapraszał do stołu. Glyrenden zdawał się tego nie

zauważać; Aubrey zauważył, ale nie był zdziwiony. Wieśniacy często obawiają się magów, a Glyrenden należał do tego typu czarodziejów, którzy budzą lęk i niechęć prostych ludzi.

W innych okolicznościach Aubrey próbowałby oczarować niechętnie nastawionych mieszkańców, gdyż zawsze potrafił zdobyć sympatię każdego, kogo chciał, lecz towarzystwo Glyrendena wystarczyło mu. Był nawet rad, że nikt im nie przerywa. Siedział naprzeciw zmiennokształtnego w małej, mrocznej tawernie, chłonąc jego opowieści. Często upajał się nimi bardziej niż piwem. Najbardziej lubił historie o tym, jak Glyrenden wykorzystywał swoją umiejętność zmiany kształtów w interesie króla, a takich opowieści czarodziej miał niewyczerpany zasób.

— Kiedyś poselstwo z... zaraz, to było Monterris, przybyło do pałacu na tydzień — opowiadał mu Glyrenden. — Lord Evan Monterris chciał omówić kwestię otwarcia dla nas ich północnych portów, ale król mu nie ufał. Nie ufał mu za grosz. Mimo to czekał nas cały tydzień przyjaznych imprez — polowanie, bal, uroczyste obiady. Wiesz, jak król podejmuje gości.

Aubrey nie wiedział, ale kiwnął głową; wyobrażał sobie ten przepych.

— Pierwszego dnia, przed polowaniem, zmieniłem się w sokoła i jechałem na ramieniu Evana Monterrisa. Schwyciłem dla niego trzy zające oraz parę przepiórek. Był bardzo zadowolony.

— Glyrenden uśmiechnął się na to wspomnienie. — Jednak przez cały dzień otaczali nas pomniejsi panowie i Lord Evan nie powiedział niczego, co by go kompromitowało. Podczas trwania jego wizyty przybierałem taką postać, jaka wydawała się odpowiednia w danej sytuacji. Zmieniłem się w psa myśliwskiego i w jedną z wielkich złotych ryb pływających w ogrodowej sadzawce króla. Wielokrotnie zmieniałem się w tłustego, ospałego, białego kota i leżałem na podółku Lady Monterris, kiedy siedziała w sypialni słuchając gadaniny męża. Mruczałem, gdy mnie głaskała, żeby ją uspokoić, gdyż jej małżonek był cholerykiem i denerwował ją. Bardzo się do mnie przywiązała — nawet pytała króla, czy mogłaby mnie zabrać, kiedy będzie wyjeżdżał.

Aubrey zaśmiał się.

— Zakładam, że odmówił?

Glyrenden zawtórował mu śmiechem.

— Myślę, że zgodziłby się, gdybym nie dowiedział się tego, co chciał wiedzieć.

— Czego?

— Och, że Monterris zamierzał zaatakować nas znienacka, gdybyśmy spróbowali skorzystać z jego północnych portów. Podejrzewaliśmy to przez cały czas, ale nie mieliśmy dowodów, dopóki nie zdołałem wykorzystać swoich użytecznych zdolności.

— Król musiał być z ciebie bardzo zadowolony.

— Istotnie.

— Inne przypadki. Co jeszcze udało ci się zrobić?

Glyrenden znów roześmiał się gardłowo.

— Pewnego razu przemieniłem się w młodą i piękną kobietę, aby poznać sekrety przysłanego do nas posła. Rozumiesz, był podatny na kobiece wdzięki i powiedział mi znacznie więcej, niż zamierzał.

— W kobietę! — Aubrey był pod wrażeniem. — To chyba było szczególnie trudne?

— Trudniejsze niż przemiana w kota lub sokoła?

— Cóż...

— Ponadto interesowała mnie budowa kobiety. Sądziłem, że znajomość tego zagadnienia może mi się przydać.

Aubrey z podziwem potrząsnął głową.

— Zdumiewające. Przemiana mężczyzny w kobietę. Nie sądziłem, że to możliwe.

Glyrenden uśmiechnął się i podniósł rękę, prosząc o następną kolejkę.

— Jeszcze wiele musisz się nauczyć, młodzieńcze — rzekł.

Po minucie czy dwóch śliczna młoda córka karczmarza przyniosła tacę z kufkami. Chłodno skinęła głową Glyrendenowi, lecz dziękującego jej Aubreya obdarzyła miłym uśmiechem. — To dobre piwo — powiedziała. — Mój tato sam je warzy, a przed nim warzył je jego tato. Teraz ojciec uczy mojego brata.

— A ty będziesz tu pracować z bratem, gdy to miejsce przejdzie w jego ręce? — spytał Aubrey, uśmiechając się do niej.

Wybuchnęła śmiechem.

— Ojej, nie, ja nie chcę być kobietą pracującą — odparła. — Wpadł mi w oko pewien miły młodzieniec; kupimy gospodarstwo i będziemy hodować kurczaki. Oraz dzieci — dodała, robiąc zabawną minę.

— Już wybrałaś sobie młodzieńca, a ja ledwie miałem czas cię poznać — odparł Aubrey, przyciskając dłoń do serca. Dziewczyna była przyzwyczajona do flirtowania; znów zaśmiała się i zaczęła skubać fartuszek.

— Ty jesteś z tych, którzy mają lubą w każdym miasteczku — powiedziała rozsądnie. — Nie musisz robić słodkich oczu do mnie.

— Przecież w każdym mieście są śliczne dziewczyny — protestował Aubrey. — Jak mógłbym się oprzeć?

— Przez takie pytania młodzi ludzie zawsze wpadają w tarapaty — odrzekła. Ktoś na końcu sali zażądał następnej kolejki; pomachała mu ręką i dygnęła przed Aubreyem. — Muszę wracać do pracy. Krzyknijcie, jeśli będziecie chcieli więcej piwa.

I odeszła z uśmiechem.

Aubrey skosztował piwa, które istotnie było przednie, a gdy podniósł głowę, zobaczył, że Glyrenden przygląda mu się z sardoniczną miną.

— Instynkt podpowiada mi, że miała rację — powiedział czarodziej. — Naprawdę w każdej wiosce masz dziewczynę?

— Skądże — wyszczerzył zęby Aubrey. — Rozdaję pochlebstwa i uśmiechy. Rzadko *zdana* się coś więcej.

— Jednak lubisz kobiety.

Aubrey roześmiał się.

— A który mężczyzna nie lubi?

Glyrenden ruchem głowy wskazał na córkę karczmarza, która teraz prowadziła ożywioną rozmowę z klientami na końcu sali.

— Na przykład ta. Uważa cię za miłego, przystojnego mężczyznę. Mógłbyś mieć ją dziś wieczorem, gdybyś chciał.

— Nie, jestem pewien, że nie. Słyszałaś, co mówiła — ma już chłopaka, z takich solidnych, który stworzy jej dom i rodzinę. Nie jest tak lekkomyślna, by zrezygnować z tego dla uboższego terminatora.

— Magia czyni lekkomyślnymi nawet najrozsądniejsze dziewczyny — zauważył Glyrenden.

— Magia? Mówisz o napojach miłosnych? — Aubrey usiadł wygodniej na krześle, szykując się do dyskusji. — W swoim czasie zmieszałem kilka i widziałem ich natychmiastowe działanie, ale przyznaję, iż uznaję je za kiepski substytut prawdziwego uczucia.

— Ach, jesteś romantykiem — rzekł Glyrenden, poważnie kiwając głową. — Wierzysz w prawdziwą miłość.

— Oczywiście! Kto chciałby wymuszonych pocałunków? No cóż, wiem, że napój miłosny nie powoduje fizycznego przymusu i może tylko wzmocnić uczucia kobiety, która go wypije, ale to jakoś obraża moje poczucie sprawiedliwości. Ja nie chciałbym zaznać miłości wywołanej czarami, tak jak nie chciałbym wierzyć, że nikt nigdy nie pokocha mnie z własnej woli.

Glyrenden wzruszył ramionami.

— Nawet ludzie nie uciekający się do pomocy czarów posługują się odrobiną magii w swych podbojach — rzekł. — To chyba zależy od punktu widzenia. Jeżeli mężczyzna trzyma kobietę w ramionach i szepce jej łgarstwa do ucha, a ona w nie wierzy, czy to jest uczciwsze od rzucenia czaru? A jeżeli uwiedzenie poprzedza długotrwała kampania — przysyłanie róż i zaproszeń, a w tę specjalną noc muzyka, zapach kadzideł i wino — tak że kobieta może stracić głowę i poddać się, chociaż wcale nie miała takiego zamiaru. Czy to nie jest swego rodzaju magia? A mężczyźni stosują ją cały czas.

Aubrey znów się roześmiał.

— Tak, ale kobieta może posłużyć się taką samą magią wobec mężczyzny — kłamstwami, obietnicami, księżycem i perfumami. Ponadto, obie płci umieją bronić się przed zakusami drugiej strony. Tymczasem któż obroni się przed magią?

— Tylko drugi czarodziej — rzekł Glyrenden.

— Właśnie! Dlatego używanie napojów miłosnych jest nieuczciwe.

Glyrenden podniósł kufel do ust.

— Dlatego — powiedział z powagą — jestem czarodziejem.

Jednak takie przerwy były rzadkie i zdarzały się tylko po bardzo wypełnionych, pracowitych dniach. Od powrotu Glyrendena Aubrey nieczęsto widywał pozostałych mieszkańców domu. On i czarodziej często rozpoczynali zajęcia, zanim tamci wstali na śniadanie. Arachne codziennie przynosiła im obiad, a często także kolację. Podczas nielicznych posiłków, jakie zjadali z innymi, Glyrenden był wesoły i rozmowny, czuły dla żony oraz wyrozumiały wobec Oriona. Tamci nie mówili wiele, ale niemal nie odrywali od niego oczu; szczególnie Orion mierzył czarodzieja nieruchomym, ciężkim spojrzeniem. Lilith zerknęła na męża, odwracała wzrok, a potem znów patrzyła, jakby nie mogła się powstrzymać. Glyrenden z uśmiechem uwielbienia obserwował jej zgrabne, szybkie ruchy.

Aubrey, któremu było szkoda tracić czas na posiłki, jadł szybko i zawsze kończył przed pozostałymi. Te zupy i gulasze nie były jego ulubionym pożywieniem, a dziwne napięcie panujące między tamtymi mężczyznami i kobietami sprawiało, że czuł się odrobinę nieswojo. Chętnie zupełnie zrezygnowałby z posiłków i nawet powiedział o tym Glyrendenowi, ale ten tylko roześmiał się i nie wyraził zgody. Tak więc nadal jadali razem.

### 3

I tak minęły trzy tygodnie, a na początku czwartego Glyrenden znów zaczął szykować się do wyjazdu na nieokreślony czas.

— Ostrzegałem cię, prawda? — rzekł, śmiejąc się ze zdziwienia Aubreya. — Mówiłem, że będę wyjeżdżał i wracał, więc nie możesz oczekiwać ode mnie stałego rozkładu zajęć. Jednak nie martw się. Wrócę do ciebie najszybciej, jak będę mógł.

Mówił jak czuły stary kochanek do niecierplivej oblubienicy, lecz Aubrey był niepokieszony.

— Pozwól mi pojechać z tobą — prosił. — Mógłbym przyglądać się, jak pracujesz.

— Nie mógłbyś.

— Nie wchodziłbym ci w drogę.

— Nie chcę, żebyś obserwował mnie przy pracy.

Glyrenden powiedział to z uśmiechem, więc Aubrey nie obraził się.

— To może następnym razem? Bo przecież będzie następny raz, prawda?

— Następny i jeszcze jeden. Niczego nie obiecuję, mój drogi. Jednak zastanowię się nad tym.

Kolejny dzień stracony, ale nie była to pierwsza myśl, jaka przyszła do głowy Aubreyowi, kiedy zbudził się nazajutrz rano. Prawdę mówiąc, dopiero po dłuższej chwili pomyślał o czymkolwiek, budząc się w tym przydużym, zapadniętym, wilgotnym łożu. Bolały go wszystkie mięśnie, jak po długotrwałym wysiłku; był oszołomiony i rozbity. Sam pokój wydawał się nieproporcjonalny, asymetryczny. Aubrey usiadł i zakręciło mu się w głowie. Ukrył twarz w dłoniach, zbierając myśli, a potem spojrzął ponownie, bardziej

krytycznym okiem. Tak, to była komnata, w której umieszczono go pierwszej nocy w tym domu. Dlaczego więc wyglądała tak dziwnie? Czuł się tak, jakby podano mu jakiś narkotyk, który nagle przestał działać, pozostawiając go niezdolnym do rozróżnienia rzeczywistości od fikcji, prawdy od zmyślenia. A może zachorował na jakąś chorobę, która zatkała mu uszy i zamgliła wzrok? To było bardziej prawdopodobne, szczególnie że przez ostatnie trzy tygodnie zaniedbał swoje ciało.

Powoli wstał, najpierw przytrzymując się łóżka, a potem ściany, lecz zanim zszedł na dół, zaczął dochodzić do siebie. W kuchni nie było nikogo, ale tego dnia, inaczej niż zwykle, przyszedł później od innych. Mamrocząc coś pod nosem, Arachne podała mu śniadanie, które Aubrey zjadł jak człowiek dopiero co wyrwany z transu.

Przez cały dzień był do niczego, a Orion ani Lilith nie próbowali nawiązać z nim rozmowy przy obiedzie, dopiero następnego dnia poczuł się znacznie lepiej. Raźnie wyskoczył z łóżka i dołączył do nich przy śniadaniu, przy którym wrócił mu normalny, dobry humor.

— Pytałem cię kiedyś, co robisz, kiedy mąż wyjeżdża—rzekł do Lilith. — A ty odpowiedziałaś, że nic szczególnego. Teraz

rozumiem dlaczego. Jego obecność naprawdę zmienia to miejsce, które podczas jego nieobecności staje się nudne i senne.

Zmierzyła go beznamiętnym spojrzeniem tych niewiarygodnych oczu. Nadal nie zważała, co do niego mówi.

— Tak sądzisz? — powiedziała. — Ja uważam, że wprost przeciwnie. Jestem o wiele szczęśliwsza, kiedy go nie ma.

— Och, to nie może być prawdą — rzekł serdecznie, nalewając sobie drugą filiżankę herbaty i mocno ją słodząc. — On najwyraźniej cię uwielbia.

— Tak sądzisz? — spytała ponownie.

— A ty musiałaś go kiedyś kochać — nalegał, podnosząc kanapkę i gryząc spory kęs. — Inaczej dlaczego byś go poślubiła?

Na jej bladych wargach znów pojawił się drwiący uśmiezek.

— Właśnie, dlaczego?

Prawie jej nie widywał, kiedy Glyrenden był w domu, lecz teraz przekonał się, że musiał o niej myśleć, gdyż dobrze pamiętał regularny owal jej twarzy i głęboką zieleń oczu. Uznał za dziwne, że w obecności Glyrendena zapomniał o istnieniu Lilith, ale tak właśnie się stało; czarodziej zupełnie przesłonił mu żonę. Wydawało się, że umysł nie może pomieścić podziwu dla obojga z nich, a w ciągu minionych dni Aubrey częściej przebywał z Glyrendenem.

Jednak czarodzieja nie było ponad tydzień i przez ten czas sytuacja zmieniła się. Aubrey zawsze był prostodusznym młodzieńcem, szybko nawiązującym przyjaźnie i nieskorym do ich zrywania, ponadto rzadko zmieniał opinię o kimś, jeśli raz już ją sobie wyrobił. Jednak kiedy Glyrenden wyjechał, Aubrey przypomniał sobie, że Lilith zdawała się nie lubić męża; a teraz, gdy już poznał czarodzieja, chciał dowiedzieć się, dlaczego. Choć nie miał pojęcia, czemu go to interesuje.

Lilith nie wydawała się mieć mu za złe tego, że kompletnie ją ignorował, kiedy mąż był w domu. Ze zwykłym uprzejmym spokojem ponownie zaakceptowała towarzystwo Aubreya. Godzinami grał z nią w różne gry, pokazał, jak się gra w kości, zrobił drewnianą planszę do warcabów i nauczył ją zasad. Kiedy nie mogli już znieść milczącej obserwacji Oriona, wciągali i jego do zabawy lub wymykali się na długie spacerunki po lasach, podczas których rozmawiali lub milczeli. Aubrey zastanawiał się nad tym raz czy dwa, ale nie zaproponował długiej wyprawy do Królewskiego Gaju, a Lilith już o tym nie wspominała.

Pewnego dnia poszli ścieżką do wioski kupić przyprawę, owoce i ser. Orion twierdził, że ma gorączkę, chociaż czoło miał zimne, a prawie skończyły im się zapasy.

— On po prostu nie chce iść do wioski — rzekła Lilith, stojąc obok Aubreya i bez większego zainteresowania spoglądając na leżącego. Miała zwyczaj mówić o wielkoludzie w jego obecności, jakby go tam nie było, lub jakby nie potrafił jej zrozumieć. — Jestem pewna, że czuje się doskonale.

— Być może, ale nie możemy go zmuszać, żeby tam szedł, jeżeli naprawdę nie chce — zauważył Aubrey.

— Glyrenden może — powiedziała.

Aubrey zignorował tę uwagę. Położył dłoń na brzuchu olbrzyma, który natychmiast podkurczył kolana i wydał głuchy jęk.

— No cóż, jestem niezłym uzdrowicielem — rzekł w końcu Aubrey — ale on nie reaguje na żadne z prostszych zaklęć. Tak więc albo udaje, albo zachorował na coś, czego nie potrafię wyleczyć.

W oczach Lilith pojawiła się iskierka zainteresowania.

— Chcesz powiedzieć, że on może umrzeć?

Wydawało się, że cieszy się z takiej możliwości. Aubrey był zdumiony; nie przypuszczał, że nie lubiła sługi, który mieszkał z nią pod jednym dachem.

— Tego nie powiedziałem. Zapewne po prostu udaje.

— Od początku tak mówiłam.

— Jednak w tym stanie nie możemy wysłać go do wioski. Chodźmy zamiast niego, ty i ja.

— Do wioski? — powtórzyła, jakby zaproponował wyprawę do sąsiedniego królestwa. — Po co?

— Po żywność. I dlatego, że się nudzę. A ponadto jestem przekonany, że taka odmiana dobrze ci zrobi.

— Spacer do wioski nie wyjdzie mi na dobre.

— Boisz się?

— Wcale nie. Jeśli tego chcesz...

— No to chodźmy.

Poszli i Aubrey po raz pierwszy wyszedł na słońce, od kiedy rozpoczął naukę u Glyrendena. Z początku miał takie samo wrażenie, jak tego ranka po wyjeździe czarodzieja: wszystko wydawało mu się niezwykle. Gospodarze za straganami, wieśniacy w połatanych ubraniach, śliczne dziewczyny w kolorowych sukienkach, a nawet psy, konie oraz solidne budynki wyglądały obco i egzotycznie. Wiedział, że to skutek zbyt długiego przebywania z dziwnymi ludźmi w dziwnym domu; a przecież upłynął dopiero miesiąc, od kiedy był tu ostatnio. Nie powinien tak tego odczuwać.

Razem z Lilith szli przez targowisko jak zwyczajna para mieszczuchów, ona z koszykiem, a on z pieniędzmi, jakie Arachne zazwyczaj dawała Orionowi. Lilith niezbyt radziła sobie z zakupami, ponieważ nie miała pojęcia, czego potrzebują ani ile co powinno kosztować, ale zdawało się, że wybieranie dojrzałej dyni lub wążanie pomarszczonego melona sprawia jej przyjemność. Aubrey nabył chleb i zioła, oraz wino i sól. Za garść drobnych, które jej dał, Lilith kupiła bukiet kwiatów i wplotła sobie kilka purpurowych kwiatuszków we włosy nad prawym uchem. Nadały jej dziewczęcy, uwodzicielski wdzięk, jakiego dotychczas nie zauważył.

Właśnie opuścili mały, pasiasty kramik, przy którym Lilith obejrzała duży arbuz i zrezygnowała z zakupu, kiedy Aubrey obejrzał się, słysząc jakiś hałas za plecami. Mała, brudna kobieta, u której nie dokonali zakupu, z całej siły rzuciła arbuzem o ziemię i rozdeptywała słodki, czerwony miąższ. Podniosła głowę, pochwytiła zdumiony wzrok Aubreya i odpowiedziała mu gniewnym spojrzeniem.

— Zepsuła! — krzyknęła do niego, potrząsając pięścią. — Zepsuła go, ot co!

Aubrey zrobił krok w jej kierunku, zbyt zaszokowany, by myśleć rozsądnie.

— Dobra kobieto... — zaczął, ale Lilith szarpnęła go za rękaw, pociągając za sobą.



— Zostaw — mruknęła.

— Zepsuła go, ot co! — wrzeszczała kobieta. — Nic innego nie można zrobić z takim ładnym arbuzem, jak wyrzucić go, kiedy położyła na nim rękę! I tak będzie zgniły!

Aubrey strząsnął rękę Lilith i podszedł do kobiety, czując, jak i w nim budzi się gniew.

— Jak śmiesz tak mówić o porządnej kobiecie? — rzekł stanowczo. — Płacimy wam dobrymi pieniędzmi za dobre towary i powinniście...

— Porządnej! — zaskrzeczała. Do tej pory zwróciła już uwagę większości pobliskich handlarzy i grupki kupujących. — To wiedźma, ot co! Odmieniec! Nie podchodzą do niej psy, konie czy koty, nawet szczury jej unikają. Dzieci uciekają przed nią i wszyscy ludzie odwracają głowy, kiedy przechodzi. Jak czegoś dotknie, to nikt potem...

— Dość tego! — huknął Aubrey i handlarka zamilkła, przerażona. Czując, jak ogarnia go wściekłość, musiał zebrać wszystkie siły, żeby nie dać się jej ponieść i nie wymówić znanych sobie zaklęć, które ukarałyby winowajczynię. — Ani słowa więcej, słyszysz? Inaczej przysięgam, że pożałujesz, iż twoja noga stała w tej wiosce, nie mówiąc już o obrażaniu damy, która...

— Damy—powtórzyła handlarka, odzyskując głos.—Jeżeli ona jest damą, to ja jestem...

— Aubrey — usłyszał głos Lilith, chłodny i orzeźwiający jak rosa; stała przy nim, nie patrząc na pieniącą się sprzedawczynię. — Daj spokój. Chodźmy już.

Niestety Jej interwencja tylko dołała oliwy do ognia. Handlarka wyciągnęła przed siebie ręce i demonstracyjnie skrzyżowała palce, robiąc w kierunku Lilith znak odpędzający złe moce.

— Demon! — wrzasnęła. — Demon! Odejdź ode mnie, demonie! Albo niech spadnie na ciebie krew, zguba i nienawiść...

Nie czekając, aż kobieta dokończy klątwę, Aubrey odruchowo podniósł rękę. Jednak Lilith ponownie chwyciła go za ramię i powstrzymała. Spojrzał na nią i jakby z oddali ujrzał jej regularne rysy, lekko zmacone gniewem. W tym momencie gdzieś z głębi świadomości przypląnęła zimna, spokojna myśl: To dziwne. Mógłbym zabić dla tej kobiety. Natychmiast otrzeźwiał i cały świat odzyskał swe normalne proporcje.

— Zostaw — powtórzyła Lilith. — Mamy już to, po co przyszliśmy. Chodźmy stąd.

Nie odrywając oczu od jej twarzy, pozwolił, aby go prowadziła, żeby nie spojrzeć ponownie na kobietę, której o mało co nie zaczarował; pozwolił jej wyprowadzić się z targowiska, z miasteczka i na ścieżkę wiodącą do domu Glyrendena. I ani razu nie spojrzął za siebie, pod nogi czy na biegnącą przed nimi ścieżkę, ponieważ przez cały czas nie odrywał oczu od jej profilu. Oboje milczeli przez całą powrotną drogę, a Lilith ani na chwilę nie puściła jego ramienia.

Glyrendena nie było jeszcze przez dwa dni. Przez ten czas Aubrey pilnie uczył się w komnacie, w której razem z mistrzem praktykowali magię, a gdzie Lilith, Orion czy Arachne nigdy nie wchodzili. Nie chciał okazywać, że stało się coś niezwykłego, więc pojawiał się na posiłkach, tryskając humorem. Jednak wiedział, że to daremne próby. Orion pochłaniał swoją porcję i umykał od stołu; Arachne krzątała się wokół, przynosząc i zabierając półmiski; obojgu było obojętne, czy milczy, czy nie. Lilith grzecznie odpowiadała, kiedy zwracał się do niej i posłusznie milczała, gdy nic nie mówił. Nie był nawet pewny, czy wyczuła jego napięcie powodowane jej obecnością. Jednak nic szczególnego nie zaszło, a Glyrenden miał wrócić za dzień lub dwa.

Wrócił po siedmiu dniach, późną nocą i Aubrey wyczuł to, gdy rankiem otworzył oczy. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego jest tego pewien, ale był; w obecności Glyrendena powietrze wydawało się cięższe, a światło jakby przechodziło przez inny filtr. Przez pierwsze

dni nieobecności czarodzieja Aubrey tęsknił za nim i niecierpliwie wyglądał jego powrotu. Tymczasem teraz z dziwną niechęcią myślał o zejściu na dół i dołączeniu do maga przy śniadaniu lub w pracowni.

Przyszedł na śniadanie późno, ale mąż i żona nadal siedzieli przy kuchennym stole. Glyrenden trzymał w dłoni smukłą dłoń Lilith i darzył jej palce czułą, miłosną pieśczętą. Wydawało się, że bierze po kolei każdy jej palec i mocno go odgina; ale uśmiechał się przy tym, a twarz Lilith była pozbawiona wszelkiego wyrazu, chyba więc nie sprawiał jej bólu. Gdy wciąż zaspany Aubrey wszedł do kuchni, Glyrenden ucałował dłoń małżonki i puścił ją. — Ach, mój uczeń — rzekł, mierząc Aubreya badawczym spojrzeniem bystrych, czarnych oczu. — Długo spałeś. Czy podczas mojej nieobecności bywałeś na hucznych przyjęciach i piłeś całą noc?

— Nie, skądże. Prawie cały czas studiowałem, żeby zrobić na tobie wrażenie.

— Przecież twoje zdolności już zrobiły na mnie wrażenie. Na pewno nieraz ci o tym mówiłem?

— Każdy powinien się doskonalić.

— Oczywiście — rzekł Glyrenden, ale Aubrey odniósł wrażenie, że czarodziej nie jest zbyt zadowolony. — Oprócz mojej kochanej Lilith. Ona jest doskonała.

Z gracją skłonił się swojej małżonce. Aubrey był odrobinę zmieszany.

— Ty najlepiej możesz to ocenić — powiedziała chłodno Lilith. Aubrey zerknął na nią, ale nic nie powiedział.

Glyrenden wstał.

— Jedz szybko, mój młody uczniu. Będę czekał na ciebie w mojej pracowni.

Aubrey usiadł i pospiesznie nałożył sobie to, co zostało na stole. Ku jego zdziwieniu, Lilith pozostała z nim po odejściu męża, popijając mleko i patrząc, jak je.

— Bardzo ci się spieszy — zauważyła, widząc, że żuje i przełyka najszybciej, jak potrafi.

— Nie chcę nadużywać jego cierpliwości — wyjaśnił Aubrey z pełnymi ustami. — Ma wybuchowy charakter, czasem denerwują go zupełnie drobiazgi.

— Naprawdę? — powiedziała z rozbawieniem. — Nie zauważyłam.

— Musiałaś zauważyć — rzekł cicho Aubrey.

— Może nie zwracam na to uwagi.

— To dość oczywiste.

— A co jeszcze we mnie jest oczywiste?

Dotychczas nigdy nie pytała go o opinię w żadnej sprawie, więc uznał za dziwne to, że zadała takie pytanie teraz, kiedy jej mąż był zaledwie dwadzieścia jardów dalej.

— Prawie nic — odparł Aubrey z lekkim rozgoryczeniem.

Ponownie uśmiechnęła się.

— Musisz się wiele nauczyć.

Aubrey na stojąco przełknął ostatni łyk kawy, czując się równie swobodnie jak Orion przy posiłku.

— Tak, tak myślę — rzekł i opuścił kuchnię.

Poranne zajęcia szły mu kiepsko. Zastanawiając się nad przyczyną, Aubrey złożył ją na karb swego zmieszania, wątpliwości związanych z Lilith oraz słabych podejrzeń w stosunku do Glyrendena. Te uczucia zbudowały niewidzialny mur między nim a nauczycielem, nie dający się opisać czy omówić, a jednak istniejący. Nie radził sobie nawet z dobrze znanymi mu zaklęciami i z trudem przyswajał nowe, więc Glyrenden już wczesnym popołudniem ogłosił koniec lekcji.

— Nie zrobiłeś dziś na mnie wrażenia, mój drogi — rzekł stary czarodziej. — Miejmy nadzieję, że rano pójdzie ci lepiej.

I następnego ranka rzeczywiście tak się stało. Aubrey stanowczo odepchnął od siebie wszelkie myśli o Lilith; wszedł do pracowni zdecydowany poczynić postępy. Zastał Glyrendena tworzącego fantastyczne barwy w świetlnej kuli, którą stary trzymał w dłoni. Przez chwilę stał, zdjęty podziwem. Potem Glyrenden odwrócił się, uśmiechnął do ucznia i podał mu płonący kalejdoskop kolorów. Aubrey wziął je do ręki i poczuł, że są zimne jak lód, choć unoszący się z nich szary dym gryzł go w oczy i napełniał je łzami.

— Czy to nie ładne? — zapytał Glyrenden. — I bardzo proste. Chodź. Możesz mi powiedzieć, z czego to jest zrobione?

Aubrey skupił się i znów poczuł zimny kształt w swojej dłoni, w lśniącym kamieniu dojrzał błękit i rdzę; poznał, że trzyma w ręce kawałek oceanu. Pospiesznie wyrecytował zaklęcie przywracające pierwotny kształt przedmiotom, a ogień zgasł, zmienił się w wodę i przeciekł mu przez palce.

— Morze — powiedział Aubrey.

— Morze — potwierdził Glyrenden. — Teraz jestem pod wrażeniem.

Po raz pierwszy Aubrey zmienił jakąś rzecz, więc był bardzo podniecony. Przemiana jednego nieożywionego przedmiotu w drugi, nawet za pomocą zaklęcia przywracającego pierwotny kształt, nie była zbyt trudna, ale też i niełatwa, dlatego był zadowolony z siebie. Wyczytał prawdę za fasadą zmienionej postaci i prawidłowo wymówił zaklęcie. I Glyrenden był z niego zadowolony.

Przez cały tydzień zmieniał jedne rzeczy w drugie i znów przywracał im kształt. Najłatwiejsze, jak pokazał mu Glyrenden, były przemiany nadające czemuś podobną lub przysłą postać. Na przykład, bardzo łatwo było zmienić kawałek węgla w diament, gąsienicę w wielkiego, wielobarwnego motyla. Podstawowe prawdy i struktury były zawarte w nich samych, należało je tylko poznać i wykorzystać. Znacznie trudniej, rzekł Glyrenden, było wziąć coś i całkowicie to przerobić.

— Jednak można tak zrobić — powiedział. — To trudna przemiana, która wymaga wielkiej zręczności i jest prawie zawsze nieodwracalna, ale można tak zrobić.

Glyrenden trzymał w swoim pokoju rzeźbioną drewnianą kasetkę z łańcuchem pereł. Należały — jak twierdził — do kochanki, którą dawno temu kochał, a teraz serdecznie nienawidził.

— Dała mi pudełko, a ja jej naszyjnik. Teraz mam oba — rzekł z przebiegłym uśmiechem. — Pewnie uważała, że to nieuczciwe, ale czarodziejowi trudno pogodzić się z przegraną w miłosnej grze. A może już o tym wiesz? Czasem zastanawiam się, co już wiesz, a czego nie.

Glyrenden jak zwykle usiłował rozmową odwrócić uwagę Aubreya od zadania, które mu wyznaczył, polegającego na zmianie drewnianej kasetki w kryształową. Aubrey próbował nie słuchać gładkiego, hipnotycznego głosu, koncentrując się na stojącym przed nim puzderku, lecz mimo wszystko pochwycił uchem kilka słów.

— Miłość to coś, o czym chyba mógłbyś mi trochę powiedzieć. Obaj jesteśmy magami — spoglądamy na te sprawy oczami nawykłymi do zmian. Jak sądzisz? Czy miłość jest największym ze złudzeń? Czy też tym, czym się zdaje — największą ze wszystkich transformacji?

Mimo woli Aubrey oczami duszy zobaczył regularne rysy Lilith. Tak bardzo zdziwiło go pytanie Glyrendena, że na chwilę oderwał uwagę od wykonywanego zadania. Kasetka uparcie pozostawała drewniana. Glyrenden uśmiechnął się z satysfakcją.

— Czy wiesz, jakim jesteś atrakcyjnym chłopcem? Z pewnością tak, ale nieczęsto to wykorzystujesz. Pod twoją szczerością wyczuwam młodzieńczą naiwność, a pod pogodnym usposobieniem — nieśmiałość. Powiem ci, że mógłbym cię nauczyć czegoś więcej niż tylko zmieniania kształtu, gdybyś tylko chciał.

Aubrey zdecydowanie nie dopuszczał do siebie sensu słów Glyrendena, chociaż głos czarodzieja był tak sugestywny i starannie modulowany, że trudno było całkowicie go zignorować. Całą uwagę skupił na gładkim, politurowanym, cedrowym pudełku, na słojach drewna świadczących o wieku i historii drzewa, które rosło pięćdziesiąt lat, zanim przyszedł drwal z toporem, zobaczył je i zaznaczył węglem miejsce, w którym zamierzał rąbać. Aubrey czuł — jakby dotykał ich palcami — gładką, kremową powierzchnię zamkniętych w środku pereł, niedbale rzuconych do pudełka, plecioną jedwabną nić przechodzącą dokładnie przez sam środek ich serc. I tak, jakby sam ściał tamte drzewo, jakby był tym ziarnkiem piasku, które usadowiło się w białym kokonie ostrygi, zrozumiał istotę tego drewnianego pudełka oraz sznura pereł, a kiedy pojął, zmienił je.

— Jednak nigdy się nie dowiesz, prawda?—rzekł Glyrenden. — Ponieważ nie słyszałeś ani słowa z tego, co powiedziałem.

Aubrey spojrział na niego i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Uświadomił sobie, że pot wystąpił mu na czoło i piersi, ale czuł się wspaniale.

— Popatrz — powiedział. — Zrobiłem to.

Glyrenden podniósł kasetkę, teraz zrobioną z delikatnie rżniętego kryształu i spojrział na zamknięty w niej naszyjnik ze szmaragdów.

— A więc zrobiłeś to — rzekł. W jego głosie było coś, czego Aubrey nigdy przedtem nie słyszał, jakiś paskudny, nieprzyjemny ton, który zgasił uśmiech młodego czarodzieja.

Glyrenden otworzył szkatułkę i wyjął szmaragdowy naszyjnik, wielki, ciężki, gruby i zimny. Aubrey uznał, że właśnie to zdenerwowało mistrza.

— Zaraz zmienię je z powrotem — zaproponował pospiesznie. — Po prostu pomyślałem... no wiesz, chciałem udowodnić... że potrafię robić dwie rzeczy jednocześnie.

— Dobrze wiem, co chciałeś mi pokazać — rzekł Glyrenden, nadal nie odrywając oczu od naszyjnika. Kiedy w końcu to zrobił, Aubrey zadrzał, widząc gniew i wściekłość w jego spojrzeniu; cofnął się o krok, lecz czarodziej uśmiechnął się do niego. — Rzeczywiście, to robi wrażenie — rzekł swoim zwykłym, spokojnym głosem.

Aubrey nie wiedział, co o tym sądzić.

— Zmienię je z powrotem — powtórzył nerwowo.

— Nonsens, po co? Są dość ładne — o wiele ładniejsze od pereł, ponadto nie budzą mojej sentymentalnej niechęci. Podarujemy je Lilith. Czy to nie będzie miłe? W ten sposób na zawsze zatrzymamy wspomnienia o tamtej kochance. Tak będzie lepiej dla wszystkich, nie uważasz?

Jednak Aubrey, który tego ranka wszedł do pracowni obiecując sobie bezgranicznie ufać czarodziejowi, nie dał się zwieść. Glyrenden wściekł się na niego za tę podwójną transformację; nie chciał, żeby Aubrey opanował tę sztukę, a przynajmniej jeszcze nie teraz. To wydało się dziwne Aubreyowi, gdyż Cyril zawsze cieszył się z czynionych przez niego postępów, kiedy w przebłysku genialnej intuicji rozwiązywał naprawdę trudne zadania, chociaż stawiano przed nim znacznie łatwiejsze. Może Glyrenden wcale nie chciał, żeby Aubrey nauczył się zmieniać kształty? W takim razie, dlaczego w ogóle zgodził się go przyjąć?

Wieczorem, przy kolacji, Glyrenden sprezentował Lilith sznur szmaragdów.

— Zrobił go dla ciebie Aubrey—powiedział żonie, z niespieszną czułością zakładając jej naszyjnik na szyję. — Czyż nie jest wspaniały?

Pochyliła głowę i przytrzymała rozpuszczone włosy tak, żeby mógł łatwiej zapiąć zamek. Kiedy przemówiła, jej głos był zduszony z powodu nachylenia głowy.

— Dlaczego dał mi ten prezent? — zapytała.

— Ponieważ jesteś bardzo piękna—rzekł Glyrenden. Schylił się i ucałował jej odsłonięty kark, tuż pod linią włosów. Nie poruszyła się. Pocałował ją jeszcze raz, kładąc dłoń na jej szyi, na klejnotach, przytrzymując ją w uścisku. Miał zamknięte oczy; jego palce zacisnęły się na jej białym ciele, a potem rozluźniły się i opadły, chociaż nie przerywał pocałunku.

Siedziała, jakby przemienił ją w marmur. Ani jeden kosmyk włosów nie wymknął się z prowizorycznego koka, który przytrzymała ręką; nie zadrżała, nie cofnęła się — nie zareagowała w żaden sposób. Zdawała się nie oddychać.

Aubrey obserwował to wbrew swej woli; czuł, jak jego żołądek ścisną się w twardą, ołowianą kulę. Ta scena nie trwała dłużej niż trzy minuty, ale wydawała się ciągnąć godzinami: mężczyzna chłonący zapach kobiecej skóry, kobieta nieruchoma jak posąg w jego objęciach. Nigdy w życiu nic nie napełniło Aubreya większą odrazą, chociaż nie wiedział, dlaczego tak reaguje; jednak nie mógł odwrócić oczu od czarodzieja całującego żonę. Żołądek zmienił mu się w bryłę lodu, która miała stopnieć dopiero po kilku dniach.

#### 4

Glyrenden był w domu przez trzy dni, a potem niespodziewanie wyjechał. Budząc się rano w dziwnie dobrym humorze, Aubrey od razu zrozumiał, że czarodzieja nie ma w domu. Nie chciał analizować powodów swej ulgi; pospiesznie umył się i ubrał, przez cały czas zdecydowanie odpychając od siebie wszelkie takie myśli.

Zszedłszy na śniadanie zastał Oriona i Arachne pogrążonych w niemal milczącej dyskusji, podczas gdy Lilith obserwowała ich bez zainteresowania zza kuchennego stołu. Arachne gestykulowała i mamrotała w swój dziwny, gniewny sposób; Orion potrząsał głową i pomrukiwał, uparcie nie zgadzając się z czymś.

— Co się dzieje? — zapytał Aubrey, opadając na krzesło naprzeciw Lilith i nakładając sobie na talerz.

— Musimy uzupełnić zapasy żywności, a Orion nie chce iść do miasta.

— Czy już tego nie przerabialiśmy?

— Często.

Aubrey jadł śniadanie. Arachne, chociaż roztrzępiona, potrafiła być bardzo stanowcza. Pokazując puste pojemniki na ryż i mąkę, tupiała ze złości. Orion schował się w kącie i zatkał uszy rękami.

— Nie — mruczał. — Nie, nie, nie.

Nie mogąc już dłużej tego znieść, Aubrey spojrzał na Lilith i uniósł brwi. Potrząsnęła głową.

— Nie idę — powiedziała. — Idź sam.

Aubrey zawahał się, wzruszył ramionami i wstał.

— Nie chcę umrzeć z głodu — powiedział. — Orionie! Wstawaj, człowieku. Pójdę z tobą.

Kilka minut później obaj szli drogą. Aubrey był pewny, że tworzyli przedziwną parę: on w postrzępionej opończy, długonogi i jasnowłosy; Orion o dobrą głowę wyższy, owłosiony jak zwierzę, kroczący ociężałym, rozkołysanym krokiem. Jednak Orion poruszał się bezszelestnie i Aubrey zaczynał rozumieć, dlaczego był tak dobrym myśliwym. Nieustannie rozglądał się na boki, reagując na odgłosy, które Aubrey ledwie słyszał — krzyk ptaka, szelest biegnącego jelenia, skrzypienie sosnowego pnia. Był nie tyle nerwowy, ile czujny; chwycił wszelkie zapachy i dźwięki przynoszone przez wiatr. Aubrey musiał przyznać, że jest pod wrażeniem.

Kiedy jednak dotarli do miasta, Orion zaczął zdradzać wyraźny niepokój. Gdy Aubrey wszedł między rzędy straganów, wielkolud trzymał się tuż za nim. Dygotał na każdy niespodziewany dźwięk, a w pewnej chwili aż jęknął z jakiegoś powodu. Czarodziej czuł irytację zmieszaną ze współczuciem. Zastanawiał się, w jaki sposób Glyrenden kiedykolwiek zdołał nakłonić Oriona, by sam wybrał się do miasta.

— Jeszcze piętnastofuntowy worek mąki, dziesięciofuntową torbę cukru i jeden z tych dużych worków ziemniaków — tak, ten

— mówił Aubrey do obsługującej go dziewczyny. — Nie, mam worki, bardzo dziękuję.

Wziął swoje zakupy, odwrócił się i prawie wpadł na Oriona.

— Musisz odsunąć się trochę, chociaż cal czy dwa — powiedział Aubrey, starając się ukryć zniecierpliwienie. — Słuchaj, weź to, mozesz? Nie będzie ci za ciężko?

Orion zarzucił na plecy dwa duże płócienne worki, które już były pełne. Aubrey niósł na ramieniu trzeci.

— Ciężkie — rzekł Orion.

— Zbyt ciężkie? Doniesiesz je?

— Doniosę.

— To dobrze. Potrzebujemy jeszcze owoców... ach, tam na końcu jest stragan.

Tłum na targowisku gęstniał i Aubrey chciał jak najszybciej skończyć zakupy.

— Słuchaj. Widzisz jakieś miłe miejsce?

Czarodziej lekko popchnął sługę w kierunku drewnianej ławeczki otaczającej pień dębu.

— Siądź tutaj. Zaczekaj. Wrócę za chwilę. Nie musisz z nikim rozmawiać i niczego robić. Tylko czekaj. W porządku?

— Spiesz się — mruknął gardłowo Orion.

— Tak zrobię. Skoczę tylko do tego straganu. Zaraz wrócę.

Aubrey ruszył żwawo, przeciskając się przez tłum znacznie szybciej, niż mógłby to uczynić z depczącym mu po piętach Orionem. Niestety, w kolejce do straganu stały już trzy kobiety, tak że minęło prawie dwadzieścia minut, zanim mógł kupić to, co chciał.

— Jabłka, pomarańcze, rodzynki i granaty — wypalił, wybierając pierwsze lepsze owoce, jakie wpadły mu w oko. — Cytryny. Winogrona.

— Czy to wszystko, panie?

— Tak, wystarczy, bardzo dziękuję.

Właśnie położył monety na wyciągniętej dłoni gospodarza, gdy jakiś nagły hałas za plecami sprawił, że odwrócił się na pięcie. Zanim jeszcze zlokalizował wzrokiem źródło zamieszania, wiedział, że coś stało się Orionowi; a widząc ludzi cisnących się wokół dębu, zrozumiał, że miał rację. Jednak tłum był zbyt gęsty. Aubrey nie mógł dostrzec, co się stało. — Niech mnie demony — mruknął jedno z przekleństw, jakich przestał używać, ponieważ Cyril marszczył brwi na bluźnierstwa, i chwycił swoje pakunki. W powrotnej drodze przez zatłoczony rynek był już mniej uprzejmy, rozpychając się łokciami przez ciżbę. Spod dębu dolatywały coraz głośniejsze i bardziej gniewne krzyki. Aubrey nie był jedynym zmierzającym w tym kierunku. Kiedy powietrze przeszył piskliwy, dziecinny okrzyk strachu, Aubrey upuścił pakunki i energicznie przepchnął się przez tłum.

Widok, jaki zobaczył pod dębem, sprawił, że zamarł na moment. Orion stał na ławce, unosząc obronnym gestem wielkie, muskularne ramiona. Przed nim stali trzej mężczyźni; jeden uzbrojony w widły, drugi w wielki myśliwski nóż, a trzeci wymachiwał zardzewiałym łańcuchem. Cztery jardy od nich leżało na ziemi ciało małego chłopca, nieruchome i zakrwawione. Pochylały się nad nim dwie kobiety; jedna łkała. Reszta tłumu trzymała się z daleka, obawiając się groźnego wielkoluda, lecz głośno domagając się sprawiedliwości i ukarania sprawcy.

— Zabij go, Joe! Pchnij.

— Widzieliście? Rzucił tym chłopcem jak snopkiem, pewnie skręcił mu kark.

— To zwierzę! Zwierzę!

Aubrey przecisnął się między mężczyzną z nożem a jego partnerem uzbrojonym w łańcuch i wskoczył na ławkę obok Oriona. Natychmiast poczuł, że strach olbrzyma trochę zelżał.

— Co tu się dzieje? — zapytał Aubrey, jakby nie widział, jakby nie mógł zgadnąć. Nadał swemu głosowi stanowczy, niezadowolony ton. — Co się stało?

— Ten szaleniec uderzył Kendala w głowę. Pewnie go zabił! — odkrzyknął mężczyzna z widłami. — Powinieneś dać sobie spokój. To nie twoja sprawa.

— Ten człowiek jest pod moją opieką — rzekł Aubrey, nie ustępując. — Nikt go nie tknie.  
Odpowiedziało mu dwadzieścia lub więcej gniewnych okrzyków. Aubrey podniósł głos.

— Chcę wiedzieć, co zaszło — rzekł. — Dlaczego skrzywdził chłopca? Co zrobił mu ten chłopiec?

— Nic nie zrobił! Kendal po prostu stał...

— Ten szaleniec rzucił nim o ziemię...

— Kendal tylko stał sobie...

Aubrey lekko obrócił głowę i zapytał Oriona:

— Co się stało? Dlaczego uderzyłeś tego chłopca?

— To on mnie uderzył — odparł z emfazą olbrzym. — Kamieniami. Rzucac we mnie. Wiele razy.

Aubrey natychmiast zerknął pod nogi. Wokół ławki leżało kilka szarych kamieni, ale cała ulica była nimi zasypana; trudno dowieść, że tymi ktoś rzucał.

— To wszystko?

— I bić mnie. Kijem.

Rzeczywiście, tuż obok głowy rannego chłopca leżała długa żerdź. Aubrey ponownie podniósł głos.

— Czy ktoś widział, jak było? Orion twierdzi, że chłopiec drażnił go — rzucał kamieniami i bił.

— I nic dziwnego! — odkrzyknął jakiś męski głos. — Ten głupi kloc nie ma tu czego szukać! Wszyscy się go boją, ot co! Jest zły i obcy...

— To nie powód, żeby na niego napadać — rzekł Aubrey, ale nikt go nie słyszał; inni wzięli stronę młodego Kendala.

— Ten czarodziej nie powinien sprowadzać tu takich dziwnych stworzeń, tego szaleńca i tej kobiety...

— Chłopiec miał prawo przyjść do miasta, zobaczyć targ...

— Kendal tylko sobie stał...

— Kendal nic mu nie zrobił...

Nagle przez gniewny pomnik tłumu przedarł się inny głos.

— Kendal rzeczywiście rzucał kamieniami w tego człowieka; ja to widziałam i wy też — powiedziała stanowczo jakaś dziewczyna. Aubrey szybko odszukał ją w tłumie i rozpoznał córkę właściciela gospody. — I szturchał go kijem — o, tym. Sama widziałam. Nic dziwnego, że ten biedak go uderzył. Sama często mam ochotę uderzyć Kendala.

Odpowiedziało jej kilka podniesionych głosów, lecz już z mniejszym przekonaniem. Do tej pory klęczała nad Kendalem, ale teraz stała podpierając się pod boki, z gniewnym wyrazem twarzy.

— Teraz wracajcie do swoich straganów — powiedziała. — Przygłup nikogo już nie skrzywdzi.

— Tak, tak, a co z Kendalem? — zawołał ktoś i inni podjęli tę myśl. — Co z Kendalem? Co z nim?

— Kendalowi nic nie będzie, jeśli chwilę poleży sobie w spokoju — odparła z przekonaniem dziewczyna. — No już, idźcie! Zejdźcie mi z drogi!

— Zostań tu — rzucił Aubrey do Oriona i zeskoczył z ławki. Znalazłszy się między niezadowolonymi gapiami, zaczął kierować ich w stronę straganów, uśmiechając się szeroko, zapewniając, że wszystko w porządku i poklepując po plecach. W takich sytuacjach nie waha się używać magii, zaklęcia poprawiającego humor i każącego zapomnieć o gniewie. W ciągu kilku minut tłum rozproszył się.

Wtedy Aubrey szybko zajął się Kendalem, nadal dziwnie nieruchomo leżącym na ziemi. Domyślił się, że klęcząca obok kobieta była zapewne matką chłopca. Uklęknął przy niej.

— Co z nim? — zapytał.

Potrząsnęła głową.

— Oddycha, ale nic więcej nie mogę powiedzieć.

Aubrey kiwnął głową i przesunął dłonie po czaszce, szyi i piersi chłopca. Nie był jednym z tych magów, którzy posiadają wrodzony dar uzdrawiania, ale znał podstawowe techniki medyczne; tych Cyril nauczył go najpierw. Uzdrawianie polega przede wszystkim na spajaniu, rzekł. Zarówno choroby jak i rany przerywają idealne i komplementarne układy ludzkiego ciała. Znajdź nieczynną synapsę, pęknięte naczynie, źródło podwyższonej temperatury — usuń lub napraw. Palce Aubreya, przesuwające się po skórze chłopca, wykryły krew sączącą się przez elastyczne tkanki, wokół twardych kości. Oczyszczył uśpiony mózg z odprysków kości, spoił pękniętą arterię i upewnił się, że powietrze dochodzi do płuc. Kendal westchnął i poruszył się, instynktownie przywierając do matki.

— Wygląda na to, że nic mu nie będzie — rzekł Aubrey, podnosząc się z ziemi. — Jestem pewny, że po południu poczuje się zupełnie dobrze.

— Dzięki, panie — powiedziała kobieta. Pochyliła się nad synem. — Kennie, kochanie, słyszysz mnie? Och, grzeczny chłopiec, lubię, jak te twoje wielkie oczy...

Aubrey odwrócił się i ruszył w kierunku Oriona — ale drogę zastąpiła mu córka karczmarza.

— Wydobrzeje, prawda? — zapytała.

— Tak sądzę. Nie był ciężko ranny.

Aubrey zerknął na Oriona, który nie spuszczał go z oka, a potem odwrócił się do dziewczyny.

— Dziękuję, że ujęłaś się za nim. Ci ludzie chcieli samosądu.

Wzruszyła ramionami.

— Tutejsi ludzie nie przepadają za tymi, których czarodziej trzyma w swoim domu — powiedziała. — I za samym czarodziejem także.

Uśmiechnęła się i dodała:

— Jednak nie mówisz czarodziejowi, że go nie lubisz, inaczej mogą to być ostatnie słowa w twoim życiu.

Aubrey odpowiedział uśmiechem, coraz bardziej ją lubiąc.

— Glyrenden jest nieszkodliwy — rzekł. — Tak samo jego słudzy. I żona. Przyznaję, że są dziwni — przynajmniej słudzy. Jednak nie sądzę, aby Orion zaatakował kogoś nie sprowokowany. Bardziej obawia się ludzi niż oni jego.

— Cóż, jeśli znów przyślesz go do miasta, na pewno będą kłopoty — stwierdziła. — Na twoim miejscu nie robiłabym tego.

Aubrey zaśmiał się.

— Ostatnimi czasy towarzyszę im przy zakupach i za każdym razem jest awantura. Może to przeze mnie, a nie przez nich.

Obdarzyła go ślicznym uśmiechem.

— Następnym razem spróbuj przyjść sam, to się przekonasz — podpowiedziała.

— Może tak zrobię.

— A wtedy wpadnij do karczmy mego ojca, to postawię ci piwo. A może nawet obiad.

Roześmiał się.

— Hej, czy nie mówiłaś mi, że wybrałaś już sobie jakiegoś miłego chłopca, który dotrzymuje ci towarzystwa?

Odgarnęła włosy na ramiona.



— Proponowałam ci tylko obiad — powiedziała ze śmiechem. — Dziewczyna może przecież od czasu do czasu porozmawiać z mężczyzną, zanim wyjdzie za mąż i ustatkuje się.

— Racja — odparł Aubrey, odpowiadając uśmiechem. — Jeśli następnym razem będę sam, wpadnę na kufel warzonego przez twojego ojca piwa.

Wydawało się, że chciała jeszcze coś rzec, ale wtedy ktoś ją zawołał, machając do niej z drugiej strony drogi. W ten sposób Aubrey poznał jej imię — Veryl.

— Muszę już iść — powiedziała. — Nie zapomnij.

Znów obdarzyła go tym łobuzerskim uśmiechem i odeszła, zwinnie poruszając się po pokrytej grubą warstwą pyłu drodze.

Aubrey odprowadzał ją spojrzeniem. Drgnął, czując, że ktoś łapie go za ramię. Szybko odwrócił się i stwierdził, że Orion zszedł z ławki i stoi obok niego.

— Iść już — nalegał wielkolud. — Iść już. Dom. Już. Aubrey pokazał mu puste ręce.

— Zostawiłem owoce — rzekł. — Kupię nowe; potem pójdziemy.

— Iść już — powtórzył olbrzym. Zawahał się, szukając słowa; jego czarne oczy miały błagalny, psi wyraz. — Proszę — dodał.

Aubrey westchnął, ale nie chciał okazać się człowiekiem bez serca.

— No, dobrze — powiedział. — Wracajmy do domu. Kupimy owoce innym razem.

Kiedy wracali leśnym traktem, Orion był nieco mniej zainteresowany otoczeniem. Ze spuszczoną głową, mocno ściskając worek, człapał obok Aubreya prawie nic nie mówiąc. W pewnej chwili rozejrzał się, łowiąc jakiś dźwięk czy zapach, ale zaraz westchnął i znów wbił wzrok w ziemię. Aubrey zastanawiał się, ile razy w przeszłości Orion, zmuszony samotnie iść na targ, był wyśmiewany i prześladowany. Czy Glyrenden wiedział o tym? I co zrobiłby, gdyby wiedział? Aubrey zdecydował, nie roztrząsając swoich motywów, że to nie on powie o tym czarodziejowi.

Jednak kiedy następnym razem będą musieli uzupełnić zapasy, pójdzie do miasta sam. A wtedy być może wpadnie do karczmy na obiad; przyda mu się odrobina rozrywki; poza tym człowiek musi coś zjeść. I byłoby nieźle, pomyślał, poflirtować z inną kobietą: śliczną, wesołą blondynką. Tak przyzwyczał się do Lilith i Arachne, że zapomniał, jakie są zwyczajne kobiety — a nawet zapomniał o tym, że one nie są zwyczajne. Tak, nawet Lilith, z którą tak miło spędzał większą część dnia. Była dziwna i zamężna, więc dobrze mu robi, jeśli od czasu do czasu wpadnie do miasta sam. Może nawet nie będzie czekał do następnych zakupów.

Kiedy dwa dni później Glyrenden wrócił do domu, był niezwykle uradowany.

Wszyscy to zauważyli, ale nikt nie zapytał, co go tak cieszy. Dopiero po obiedzie wyjawiał im powód, wysoko unosząc kielich z winem, jakby w toaście na cześć jakiejś nieobecnej osoby.

— Lilith, kochanie — rzekł. — Zgadnij, gdzie spędzisz wakacje w porze żniw?

Spojrzała na niego zupełnie obojętnie.

— Pewnie tutaj.

— Ach, nie. Ty i ja zostaliśmy zaproszeni w gości do domu Lorda Rochestera. Na tydzień.

Lilith tylko kiwnęła głową i znów wbiła wzrok w pusty talerz. Aubrey wyraził swoje zdziwienie i niechętny podziw. Lord Rochester był najbogatszym szlachcicem w okręgu, kuzynem króla i bardzo wpływowym człowiekiem. Glyrenden, który często o nim mówił, od dawna zabiegał o jego względy.

— Jakie zapowiedziano atrakcje? — zapytał Aubrey.

Glyrenden skierował na niego swoje wielkie rozgorączkowane oczy.

— Ach, jak zwykle. Łowy, uczyty, bale, konkursy muzyczne.

— Nie wiedziałem, że Lord Rochester jest taki religijny — rzekł Aubrey, ponieważ w królestwie, z którego pochodził, tylko dewotki i wieśniacy świętowali dożynki. Tam, tak

samo jak tutaj, obchodzono je pod koniec lata, dziękując bogom za dobry urodzaj i prosząc o równie pomyślne zbiory w nadchodzącym roku.

Glyrenden roześmiał się.

— Nie jest Bynajmniej. Tutaj wszyscy jesteśmy poganami — a przynajmniej większość z nas. A Faren Rochester na pewno. We wschodnich królestwach dożynki nie są świętem, lecz raczej festynem. Myślę, że spodoba ci się to.

— A więc jadę z wami?

— Oczywiście! Przecież jesteś moim uczniem, prawda? Musisz przywyknąć do bywania w szlacheckich domach — bo, uwierz mi, kiedy skończysz naukę, będą cię poszukiwali najbogatsi ludzie na tym kontynencie.

Aubrey odrzekł z uśmiechem:

— No cóż, będąc u Cyrila, odwiedziłem pałac czy dwa i nie przyniosłem mu wstydu.

— Stary Cyril — rzekł Glyrenden z dziwnym naciskiem — nigdy nie zabrałby cię do miejsc, które możesz odwiedzić ze mną.

Aubrey nie wiedział, co na to powiedzieć.

— No cóż, nigdy nie zabrał mnie do Lorda Rochestera — tylko to zdołał wymyślić, ale to wystarczyło; Glyrenden uśmiechnął się.

— Kiedy wyjeżdżamy? — zapytała Lilith. Nadal wpatrywała się w talerz.

— Za tydzień. Lepiej wkrótce zaczniemy się pakować.

Podniosła oczy.

— Nie mam nic ładnego, co mogłabym włożyć na bal czy obiad u Lorda.

— Mój kochany aniele, mogłabyś tam pójść w łachmanach i zaćmiłabyś wszystkie inne kobiety.

Wzruszyła ramionami i znów wbiła wzrok w stół.

— Jednak tak się składa — ciągnął jej mąż — że przewidziałem twoje zmartwienie.

A na użytek Aubreya dodał:

— Kobiety robią tyle zamieszania wokół swoich sukni i fatałaszków.

Aubrey pomyślał, że jeszcze nigdy nie spotkał kobiety, która mniej przejmowałaby się swoim wyglądem od Lilith, ale nie powiedział tego głośno.

Czarodziej mówił dalej:

— Przejeżdżając przez miasto, zamówiłem dla ciebie siedem sukni. Dostarczą je za cztery dni. Będziesz wspaniale ubrana.

I triumfalnie rozparł się na krześle, jakby czekał na gratulacje. Lilith obrzuciła go beznamiętnym spojrzeniem.

— Zamówiłeś dla mnie siedem sukni?

— Tak.

— A jeśli mi się nie spodobają?

Glyrenden zaśmiał się wesoło, jakby powiedziała coś niewiarygodnie zabawnego.

— Czy ja kiedykolwiek dałem ci coś, co ci się nie spodobało, moja śliczna?

Zdawała się rozważać tę kwestię.

— Tylko jedno — powiedziała w końcu.

Znów podniósł kielich, tym razem w toaście na jej cześć.

— I w swoim czasie docenisz nawet to, moja droga. Nawet to.

Aubrey nie miał pojęcia, o czym mówią, lecz miał wrażenie, że to zbyt intymna rozmowa, aby prowadzili ją w obecności gościa. Pospiesznie przeprosił i odszedł. Glyrenden, wciąż obserwując żonę, tylko niedbale pomachał mu ręką, ale Lilith spojrzała na Aubreya z tak poważną i niezgłębioną miną, że na moment stanął jak wryty. Potem mruknął coś pod nosem i opuścił pokój.

Cztery dni później dostarczono suknie, w czasie gdy Aubreya i Glyrendena nie było w domu. Młody czarodziej wrócił pierwszy i znalazł w przedpokoju pudło, jeszcze związane

sznurkami przez dostawcę. Poszedł do kuchni i znalazł tam Lilith, siedzącą beczynn timer przy stole.

— Hej, nie wiesz, że są tu już twoje suknie? — zawołał do niej ze śmiechem. — Nie jesteś podniecona? Nie jesteś ciekawa? Nie chcesz zobaczyć, co zamówił dla ciebie mążnek?

Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem.

— Dobrze — odparła. — Potrzebny będzie nóż do przecięcia sznurka.

— To weź nóż! — rzekł wesoło. Arachne, pomrukując pod nosem, odepchnęła go, kiedy sięgał do szuflady i sama poszukała sztućca. Nóż, który mu wręczyła, był stępiony od długotrwałego używania, ale Aubrey uznał, że wystarczy do przecięcia sznurka.

— Dziękuję! — rzekł z lekko ironiczną kurtuazją i przepuścił Lilith w drzwiach kuchni.

Kiedy szła do przedśionka, kraj jej szarej sukni zamiatał grubą warstwę kurzu; buty Aubreya zapadały się w nim po kostki.

— Czy w tym domu nie ma ani jednego czystego pomieszczenia? — narzekał, gdy dotarli do kufra. — Nie możesz przymierzać nowych sukni tutaj, w przedpokoju. Ubrudzą się, zanim je włożysz.

— Możemy zanieść pudło do mojego pokoju — powiedziała. — Tam jest dostatecznie czysto.

Aubrey przymierzył się do pudła, ostrożnie podnosząc je za sznurki.

— Zbyt ciężkie? — zapytała Lilith.

Chrząknął i zarzucił je sobie na ramię.

— Nie za bardzo — odparł z wymuszonym uśmiechem. — Prowadź.

Sypialnia znajdowała się na górze i nierówna powierzchnia stopni sprawiała mu spory kłopot. Sam kufer byt nie tyle ciężki, ile nieporęczny; obijał się o ściany i o gardło niosącego, który zasapał się, zanim dotarł na piętro.

— Tędy — powiedziała i poprowadziła go korytarzem.

Aubrey nigdy nie był w sypialni Lilith i Glyrendena, więc postawiwszy pudło, z zaciekawieniem rozejrzał się wokół. Pokój miał dziwny kształt, pięć ścian i wysoki sufit opadający skośnie ku łukowemu oknu. Był skromnie umeblowany — łóżko nakryte wiśniową, aksamitną narzutą, umywalka, wysiedziany fotel oraz spora dębowa szafa. Przez otwarte okno wpadało chłodne powietrze, lecz niewiele światła, ponieważ niemal całkowicie zasłaniała je gruba kurtyna bluszczu. Prawdę mówiąc, pnącza wchodziły przez parapet i wkradały się do wnętrza pokoju, pełznąc po chropowatych ceglach ku stojącemu pod ścianą, szerokiemu łóżu. Kilka pędów ośmieliło się nawet opleść wezglowie i ananasowate zdobienia czterech słupków łóżka.

— Patrzcie! — wykrzyknął Aubrey. — Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby bluszcz wchodził do domu!

— Tylko na moją połowę łóżka — odparła Lilith.

Aubrey podszedł, żeby obejrzeć to z bliska. Gęste zielone pnącze były mocne i żywe.

— Nie boisz się, że kiedyś obudzisz się w środku nocy i stwierdzisz, że ono cię dusi? — zapytał półżartem.

Jej szybki uśmiech pojawił się i zniknął.

— Ja nie, Glyrenden — tak.

— A więc dlaczego pozwala, by bluszcz wchodził do pokoju?

— Nie pozwala. Wciąż go przycina. Jednak on nadal rośnie.

— Chcesz, żebym go przyciął? Nie sądzę, żeby Glyrenden wrócił do domu przed nocą.

Podeszła do niego i na chwilę położyła dłoń na płaskich, sercowatych liściach.

— Nie — odparła. — Lubię je.

Stali tak przez chwilę, ramię w ramię; potem Aubrey odwrócił się.

— No tak! — oznajmił, nieco zbyt głośno. — Zobaczmy, co kupił dla ciebie mąż.

Przyklęknął obok pudła i przeciął sznurki, po czym odsunął się, pozostawiając Lilith przyjemność sprawdzenia zawartości. Po chwili wahania pochyliła się i szybkim ruchem podniosła ciężkie wieko.

Glyrenden istotnie zadbał o swoją żonę. Jeden po drugim, Lilith wyjmowała istne skarby — suknie z zielonego jedwabiu, czerwonej tafty, czarnego aksamitu. Kupił jej szale z frędzlami, koronkowe rękawiczki oraz zgrabne satynowe pantofelki naszywane perłami. Ponadto emaliowane spinki do włosów, srebrne bransoletki, buteleczki perfum i słoiczki kosmetyków. Jedne po drugim, Lilith wykładała je na wiśniową kapę, aż skończyła i spojrzała na nie.

Wcale nie wyglądała na kobietę uradowaną hojnością męża. Bardziej na taką, której podano dwa zatrute napoje, a ona postanowiła wypić tylko jeden i właśnie usiłowała zdecydować, który lepiej jej posmakuje.

Aubrey podniósł suknię, która spodobała mu się najbardziej, tę ze szmaragdowego jedwabiu, z głęboko wcięтым dekoltem i sięgającymi do łokci, wąskimi rękawami.

— Ta jest śliczna — rzekł. — Nie uważasz?

— Bardzo ładna — odparła.

— Oczywiście, jeszcze ich nie przymierzyłaś — powiedział. Miał wrażenie, że mówi tylko po to, by wypełnić pustkę, ponieważ jedno z nich powinno coś mówić; jedno z nich powinno być zadowolone. — Nie wiadomo, czy będzie pasowała.

— Będzie.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Ponieważ zamówił je Glyrenden, a on wie, jak jestem zbudowana.

To była taka dziwna odpowiedź — choć tak typowa dla Lilith — że Aubrey nie mógł już dłużej udawać, że niczego nie zauważa.

— Lilith, dlaczego nie chcesz jechać z wizytą do Lorda Rochestera? Sądzę, że dobrze byś się tam bawiła. Nigdy nigdzie nie bywasz, a powinnaś — być między ludźmi, bawić się, nawiązywać znajomości...

— Czuję się najlepiej, kiedy jestem sama — odparła chłodno.

— Myślę, że ty po prostu boisz się ludzi — powiedział.

Spojrzała na niego.

— Naprawdę?

— Tak, boisz się, że będą wrogo nastawieni albo sarkastyczni. Wielu ludzi obawia się innych, wiesz. Po prostu musisz być dla nich miła; większość ludzi bardzo chętnie nawiązuje przyjaźnie.

— Nie zauważyłam — odparła sucho.

— Ponieważ z zasady nie jesteś zbyt wylewna — dodał pospiesznie. — Miałem na myśli to, że nie wydajesz się zainteresowana tym, co inni mają do powiedzenia, ani... ani ich życiem. To zamyka im usta. Jeżeli w przeszłości ludzie byli dla ciebie niemili, to może dlatego, że nie okazałaś im odrobiny ciepła.

— Ciepła — powtórzyła. — Nie, z całą pewnością nie okazałam.

— A u Lorda Rochestera...

— U Lorda Rochestera będzie setka dziwnych osób, a ja będę z nich najdziwniejsza — przerwała mu z pasją, która była niepodobna do niej. — Będą patrzeć na mnie z ukosa. Będą obgadywać w przedpokojach. Będę tam bardziej samotna niż tutaj. Sam zobaczysz.

— Nie będziesz sama — rzekł Aubrey. — Twój mąż...

— Mój mąż będzie zaskarbiał sobie łaski Farena Rochestera i jego przyjaciół.

— No cóż, ja tam będę. Glyrenden tak powiedział. Będę ci towarzyszył.

Znów obrzuciła go tym uważnym, taksującym spojrzeniem, które znajdował tak niepokojącym i wzruszającym.

— Zrobisz to? — zapytała.

— Oczywiście! Będę przynosił ci kieliszki, wachlował, jeśli będzie ci gorąco i tańczył z tobą, jeżeli mi pozwolisz. Umiesz tańczyć?

— Glyrenden nauczył mnie kiedyś — odparła. — Nie mam pojęcia po co, ponieważ nigdy nie zabrał mnie gdzieś, gdzie mogłabym potańczyć.

W nagłym przebłysku zrozumienia Aubrey pomyślała: czyżby na tym polegał jej problem? Była zła, że mąż trzymał ją zamkniętą w murach tej fortecy, z dala od ludzkich oczu, że przez niego zapominała wszelkie towarzyskie umiejętności, które pozwalają ludziom zaakceptować się wzajemnie. Wcale nie była niezadowolona z zaproszenia, okazji czy nowych strojów — jak mogłoby się wydawać — tylko zła, że nie otrzymała ich wcześniej.

— No — rzekł z uśmiechem — powiedz mi, która z tych nowych sukni podoba ci się najbardziej.

Lekko zmarszczyła brwi i spojrzała na niego ze zdziwieniem, jakby rozczarowana tym, że źle ją rozumiał. Potem jej twarz znów wygładziła się w piękną, nieruchomą maskę i zwróciła w kierunku rzeczy leżących na łóżku.

— Nie podoba mi się żadna z nich — odparła.

— No cóż, a więc którą uważasz za najładniejszą?

Wzruszyła ramionami; teraz, pomyślała, jest celowo uparta.

— Wszystkie wyglądają tak samo. Ta, którą mam na sobie, też mi się podoba.

— Ta, którą masz na sobie! — powtórzył. — Ta stara szara suknia, którą nosisz na co dzień!

— Jest wygodna i przywykłam do niej.

Potrząsnął głową.

— Nie rozumiem cię — rzekł z uśmiechem, jakby drażnił się z nią. — Każda inna kobieta, której mąż kupiłby takie stroje, byłaby zachwycona. Każda kobieta, jaką znam...

— Ja nie jestem taka jak inne kobiety — powiedziała ostro. — Nie lubię rzeczy, które one lubią i nie czuję tego, co one czują. I tak jest lepiej. Nie chcę być taka jak one. Nie chcę stać się jedną z nich.

Aubrey wytrzeszczył oczy. Zabrakło mu słów. Odpowiedziała mu gniewnym spojrzeniem, które zaszokowało młodego czarodzieja. Nie rozumiał, co też takiego powiedział, że wywołał tak gwałtowną reakcję; nie miał pojęcia, co się jej przydarzyło, składając do mówienia takich rzeczy. Chciał przeprosić, ale nie wiedział, co powiedzieć. Rozłożył bezradnie ręce, a potem odwrócił się i zostawił ją samą.

## 5

Trzy dni później wyruszyli do posiadłości Lorda Rochestera. Byli w drodze przez dwa dni i prawie przez cały czas mieli kłopoty.

Problem sprawiały im konie. Glyrenden jechał w siodle, jak zawsze, lecz Aubrey i Lilith podążali za nim wynajętym powozem. Aubrey umiał jeździć, chociaż niezbyt dobrze, gdyż jego dochody rzadko były dostatecznie duże, aby pozwalały na luksus posiadania wierzchowca; Lilith w ogóle nie jeździła konno. Tak więc siedzieli w powozie, razem z tobołkami i pakunkami, oglądając przesuwany się przed ich oczami krajobraz.

Glyrenden jechał na wielkim, muskularnym ogierze, czarnym i nerwowym — wybuchowa mieszanka siły, szybkości i temperamentu. Na każdy dziwny odgłos — trzask gałązki czy podrywające się na dźwięk nadjeżdżających stado przepiórek — przestraszony ogier stawał dęba, bijąc powietrze przednimi, podkutymi kopytami. Bezlitosna dłoń Glyrendena natychmiast ściągała wodze, po czym karosz niezmiennie rzucał się naprzód, jakby usiłując umknąć przed jakimś końskim koszmarem. Jego przestрах udzielał się zwierzętom w zaprzęgu, które tarnosiły uprząż, płacząc się w niej i nie reagując na polecenia. Podczas pierwszego dnia podróży trzykrotnie zmieniali zaprzęg, lecz każda para wynajętych koni reagowała w ten sam sposób, gdy Glyrenden galopował naprzód na swym rozszalałym ogierze.

— Nie mogę w to uwierzyć — mruknął Aubrey, kiedy po raz trzeci czy czwarty musieli przystanąć, żeby rozplatać uprząż. — Dlaczego nie pozbędzie się tej bestii? Ten koń zabije go, jeśli nie będzie uważał.

— Zwierzęta nie lubią Glyrendena — odparła Lilith. — Niektóre reagują gorzej niż ten koń.

Aubrey zerknął na nią, ale wyglądała przez okno i nie napotkała jego spojrzenia. Przejeżdżali przez zachodnie krańce lasu otaczającego domostwo czarodzieja i za oknem nie było nic, prócz nie kończących się rzędów pni. Aubrey uznał, że wciąż była na niego zła o coś, co powiedział lub przemilczał, albo nie zrozumiał, kiedy oglądali suknie wybrane przez Glyrendena; jednak nie mógł jej o to zapytać. Mimo wszystko wyglądała na odprężoną, siedząc z rękami na podołku i głową opartą o wytartą tapicerkę fotela. Odwrócił głowę, by obserwować identyczny widok po jego stronie, i tak powoli mijały mile.

O zmroku zatrzymali się w małym zajeździe. Glyrenden dosłownie zmusił swego czarnego ogiera, by wszedł do zagrody na dziedzińcu, podczas gdy trzej stajenni stali opodal, gotowi skoczyć z pomocą. Gdy tylko czarodziej zsiadł z konia, ten uspokoił się; bez oporu dał się odprowadzić jednemu z chłopców.

Wynajęty woźnica nie był taki potulny. Rzucił lejce stajennemu, zeskoczył z kozła i podszedł do czarodzieja.

— Dalej z panem nie jadę, sir! — zawołał. Był niski i krępy, człowiek pracy dumny ze swej zręczności i samowystarczalności.

— Nigdy nie widziałem człowieka, który tak denerwowałby zwierzęta! Wystarczy, że na pana spojrzę, a zaczynają szaleć! Dość tego. Musicie znaleźć sobie jutro inny powóz.

Glyrenden zmierzył go zimnym spojrzeniem.

— Zapłaciłem ci z góry za dwa dni jazdy tam i z powrotem

— rzekł lodowatym tonem. — Zawieziesz nas tam, gdzie każę.

Woźnica splunął.

— Tyle co do pańskich pieniędzy — rzekł. — Za żadne skarby nie pojedę z panem dalej.

— Myślę, że pojedziesz — mruknął Glyrenden. Bez zmrużenia oka patrzył na woźnicę, który odpowiedział mu hardym spojrzeniem. Nie odrywając oczu od tamtego, czarodziej zdawał się skupiać wokół siebie ciemność; jego czarne oczy straciły blask, a twarz kolory. Woźnica niespokojnie przestąpił z nogi na nogę, ale nie odwrócił głowy. Glyrenden przez minutę czy dwie patrzył mu w oczy. Woźnica nie poruszał się. Aubrey i Lilith bez słowa siedzieli w powozie.

— Jeszcze dwadzieścia koron powinno ci wystarczyć, nie uważasz? — rzeki w końcu Glyrenden tonem towarzyskiej pogawędki. — Dziesięć teraz, dziesięć po zakończeniu podróży.

— Dwadzieścia koron — powtórzył mężczyzna dziwnie monotonnym głosem — powinno mi wystarczyć.

— Doskonale — rzekł Glyrenden i wręczył mu kilka złotych monet. — Masz tu czekać na nas jutro rano. Skoro świt.

— Mam tu czekać jutro rano — posłusznie odpowiedział tamten. — Skoro świt.

Glyrenden skinął głową i podszedł do otwartych drzwi powozu.

— Moja droga — rzekł, pomagając Lilith wysiąść. — Przerwijmy tu naszą podróż. Ach, Aubrey. Jak ci się podoba wycieczka?

— Zgodnie z oczekiwaniami — odparł lekko zbity z tropu Aubrey. Odwrócił się i spojrzął za umykającym, wyraźnie oszołomionym woźnicą. — Ten człowiek... on tak raptownie zmienił zdanie...

Glyrenden uśmiechnął się i zdjął walizkę Lilith z dachu powozu.

— To moja siła perswazji — oświadczył. — Nie ma się czym przejmować. Na pewno jesteś głodny. Wejdźmy do środka i zjedźmy coś.

Tej nocy Aubrey spał jak zabity, a po przebudzeniu z niedowierzaniem spojrzął na dawno nie widziane słońce. Nie pamiętał już, kiedy obudziło go po raz ostatni, chociaż na pewno było wiele słonecznych poranków, od kiedy zaczął naukę w mrocznej i cichej fortecy Glyrendena. Pospiesznie umył się i ubrał, nie chcąc pozostać w tyle za niecierpliwym mistrzem.

Podróż przebiegała tak samo jak poprzedniego dnia. Do wieczora Aubrey miał serdecznie dosyć monotonii leśnej drogi, nieustannego kołysania powozu i milczenia towarzyszkii podróży. Ilekroć próbował nawiązać rozmowę, Lilith odpowiadała monosylabami, a czasem milczeniem. W końcu zrezygnował.

Wreszcie zjechali z traktu na wiejską drogę, a potem na podjazd i Aubrey na chwilę zapomniał o Lilith. Posiadłość Rochestera wznosiła się pół mili dalej i była wspaniała.

Główna część budynku miała cztery kondygnacje z ciemnoszarego marmuru, który w blasku księżycy wydawał się smoliście czarny. Z czterech stron świata wieńczyły go wieżyczki; na każdej wisały kolorowe flagi, łopoczące na wietrze. W każdym oknie wychodzącym na podjazd paliły się świece; przez masywne frontowe drzwi, szeroko otwarte na przyjęcie nowych gości, wylewał się potok żółtego światła lamp, ukazujący wypielegnowany trawnik. Nawet z daleka było słychać ciche dźwięki muzyki i śmiech; po zasłonach w oknach niemal każdego pokoju przesuwały się cienie. Widocznie już zaczęto świętować.

— Światło, muzyka i śmiech — rzekł Aubrey, zapominając, że Lilith z nim nie rozmawia. — Czy to cię nie porusza?

Spojrzała na niego, chociaż w ciemności trudno było dostrzec jej twarz.

— Cieszysz się, że tu jesteś — zauważyła.

— Tak — przyznał. — Zawsze byłem towarzyski. Zapomniałem, jak bardzo brakuje mi towarzystwa innych.

— Za długo z nami przestajesz — rzekła. — My nie jesteśmy dla ciebie towarzystwem.

— Nie to miałem na myśli — dodał szybko.

— A jednak to prawda. Może czas, abyś nas opuścił. — Nie — odparł bez namysłu. — Jeszcze nie mogę odejść.

— Nadal jeszcze tyle musisz dowiedzieć się o Glyrendenie?

— Od Glyrendena — poprawił.

— Nie warto — powiedziała. — Nic o tym nie wiesz — odparł z uśmiechem.

— Wiem więcej, niż przypuszczasz.

— Jeszcze nie jestem gotowy odejść — powtórzył.

Wskazała na posiadłość Rochestera, znajdującą się tak blisko, że z powozu nie widzieli już wieżyczek ani górnych pięter.

— Nawet kiedy widzisz taką posiadłość jak ta i przypominasz sobie?

— Co?

— Innych ludzi. Takich, którzy nie są... obcymi, tak jak my. Zwyczajnych mężczyzn i kobiety.

Nigdy nie mówiła w ten sposób. Dopóki nie posprzeczali się o jej nowe suknie, nie sądził, że Lilith wie, jak bardzo różni się od innych kobiet.

— Mówisz tak, jakbyś chciała, żebym odszedł.

— Może tak byłoby lepiej.

— Lepiej? — powtórzył. Był kompletnie zbity z tropu, powóz w każdej chwili mógł stanąć, a wtedy Glyrenden otworzy drzwi. — Chcesz powiedzieć, lepiej dla ciebie? Dla Glyrendena?

— Dla ciebie — odparła. — Dla Glyrendena to żadna różnica.

— A dla ciebie? — zapytał, bardzo ryzykując, gdyż słyszał już, jak woźnica cicho woła „Prr!”

— Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie?

Wydawało mu się, że patrzyła na niego przez długi czas; ledwie widział jej twarz w blasku pochodni niesionych przez nadchodzącą z pałacu służbę.

— A dlaczego miałyby mieć? — zapytała w końcu.

Poczuł ostre ukłucie rozczarowania; nawet wydało mu się, że wydał jęk protestu, lecz to był tylko pisk nie nasmarowanych drzwiczek, gwałtownie otwartych przez Glyrendena.

— Kochana! Dojechaliśmy! Nie, zostaw rzeczy, jeden z tych ślicznych chłopców zanieś twoje torby i pakunki. Mówią, że przyjechaliśmy w samą porę na kolację, więc pośpiesz się! Wsiadaj.

Mąż chwycił ją za rękę i Aubrey zauważył, że podniecony Glyrenden ścisnął je o wiele za mocno. Nadal nie odrywała oczu od Aubreya; zdawała się nie zauważać, że ktoś inny mówi do niej, dotykają.

— Jednak ma — powiedziała i pozwoliła Glyrendenowi wyciągnąć się z powozu.

Aubrey niewiele zapamiętał z tego pierwszego wieczoru. Rzeczywiście, zdążyli na kolację, ale w ostatniej chwili. Wszyscy już siedzieli, mając za sobą dwa lub trzy dania, kiedy oni zajęli trzy miejsca na końcu stołu. Jedząc, Aubrey uważnie rozglądał się wokół. Przepych wnętrza, szacowni goście, wspaniałe jedzenie i muzyka płynąca z zasłoniętej kotarą alkowy — tyle było do oglądania, smakowania i słuchania, że z trudem rejestrował szczegóły. Tak więc jadł i kontemplował, mając nadzieję, że nikt z tłumu gości nie weźmie go za idiotę.

Po posiłku cały, prawie stuosobowy tłum gości przeszedł do sąsiedniej, ogromnej komnaty, w której ustawiono wyściełane aksamitem ławy. Tam orkiestra przygrywająca im przy kolacji przez następne dwie godziny grała cudowne, liryczne utwory. Aubrey wygodnie usadowił się na ławce i słuchał, oczarowany. Cyril nauczył go cenić sztuki piękne, zabierając Aubreya na koncerty, ilekroć miał po temu okazję, tak więc młody czarodziej dostatecznie znał się na muzyce, żeby ocenić jakość wykonania. Orkiestra grała z takim uczuciem, jakby przygrywała przy narodzinach świętego, i Aubrey był zachwycony.

Dopiero gdy muzycy zrobili krótką przerwę, Aubrey przypomniał sobie, że nie znalazł się tu sam. Odwrócił się, by poszukać swoich towarzyszy. Glyrenden stał na drugim końcu komnaty, pogrążony w rozmowie z kilkoma poważnie wyglądającymi mężczyznami, lecz Lilith siedziała tuż obok.

— Bardzo ci się podobało — zauważyła.

Uśmiechnął się blado.

— Czy tak rzucało się to w oczy?

— Tak.

— A tobie nie? — zapytał impulsywnie i natychmiast tego pożałował. Lilith nigdy nie okazywała entuzjazmu, a nie chciał by jej chłodna obojętność zepsuła wspomnienie koncertu.

Jednak ona zaskoczyła go.

— To było piękne — powiedziała. — Dziwne, ale muzyka jest czymś, co zawsze lubiłam.

— Dlaczego to miałyby być dziwne? — spytał z ulgą.

Zdawała się rozważać to pytanie,

— Ponieważ nie znam się na muzyce — powiedziała w końcu.

— Och, ja też nie. Co wcale nie oznacza, że nie możemy się nią cieszyć. O czym myślisz, kiedy słuchasz takiej muzyki?

Znów zastanowiła się.

— Takiej muzyki? — powiedziała powoli. — Kiedy grali, widziałam w myślach różne obrazy. Widziałam wartką letnią rzekę, posrebrzoną księżycem, płynącą przez brzozowy gaj i pluszczącą o brzegi. Widziałam, jak jej nurt zwalnia i rozlewa się w jezioro, srebrne i ciche, a w tym jeziorze ujrzałam odbicie każdego owocowego drzewa posadzonego kiedykolwiek w tym królestwie. Drzewa uginały się od jabłek, gruszek i granatów, okrywało je gęste i zielone listowie, ale była noc, która kryła ich kolory. Tak więc było widać tylko ich srebrne kształty i



kontury na tle srebrzystej toni, a gdy drżały w niej lekko, nie dało się powiedzieć, czy wiatr marszczył jezioro, czy też szeleścił liśćmi.

Aubrey przez moment poczuł się jak jedno z tych drzew; zadrzał i nie wiedział, co go poruszyło.

— Jesteś poetką — rzekł.

Obdarzyła go przelotnym uśmiechem.

— Podobała mi się muzyka — powiedziała.

Zanim Aubrey zdążył coś dodać, podszedł do nich Glyrenden. Nawet w tym otoczeniu robił wrażenie; miał charyzmę sprawiającą, że trudno było oderwać od niego wzrok. Jego woskowe policzki były lekko zarumienione; w oczach miał fanatyczny błysk.

— Kochanie, są tu ludzie, których chciałbym ci przedstawić — rzekł. — Na przykład, nasz gospodarz. Wślizgnęliśmy się tutaj, nie witając się z nim. Aubreyu, ty także. Musisz poznać Lorda Rochestera i jego przyjaciół.

Glyrenden zaprowadził ich do grupki pięciu mężczyzn stojących na końcu sali. Czarodziej, jego żona i uczeń byli nadal w podróżnych strojach, co Aubrey uświadamiał sobie coraz bardziej, w miarę jak podchodzili do tamtych, gdyż Faren Rochester i jego przyjaciele mieli na sobie tyle koronek i atłasów, jakby wybierali się na królewski dwór.

— Lordzie Rochester — rzekł Glyrenden, kłaniając się wysokiemu, dobrze zbudowanemu mężczyźnie w średnim wieku. — Chciałbym przedstawić panu moją żonę, Lilith, oraz ucznia — Aubreya. Mamy zaszczyt być pańskimi gośćmi.

Faren Rochester uścisnął dłoń Lilith i skinął głową. Miał ogniście rude włosy i metaliczny błysk w niebieskich oczach. Zmierzył Aubreya spojrzeniem, w którym kryło się zimne wyrachowanie.

— Pani — powiedział. Puścił rękę Lilith i lekko skinął głową Aubreyowi. — Panie.

— Oraz Lord Stephanis, Lord Maloran, sir Calcebray — ciągnął Glyrenden, wskazując trzech następnych mężczyzn. Każdy z nich powtórzył ruchy Lorda Rochestera i Aubreyowi wydał się bliźniaczo podobny do gospodarza.

— Lilith, moja droga — rzekł Glyrenden — to jest Sirrit. Czarodziej. Służy Lordowi Rochesterowi.

Piąty mężczyzna był zdecydowanie inny. W przeciwieństwie do Rochestera i pozostałych lordów odzianych w sztywne, obcisłe aksamity, miał na sobie powiewną czarną szatę obficie haftowaną srebrem. Na jednej ręce nosił trzy srebrne pierścienie, na drugiej srebrny i onyksowy oraz złotą bransoletę na przegubie. Siwe, przerzedzone włosy ukazywały jeszcze ślady czerni; zaczesane do góry, odsłaniały wysokie czoło i miękkimi puklami opadały na ramiona. Był o dobre dwadzieścia czy trzydzieści lat starszy od Farena Rochestera i co najmniej równie inteligentny, a nim jeszcze dokonano prezentacji, Aubrey pojął dwie meczy. To był nadworny mag Farena Rochestera i Glyrenden nie lubił go.

Jeśli nawet ton jego głosu nie był obraźliwy, to słowa na pewno tak. W chłodnych błękitnych oczach Rochestera zapalił się błysk, gdy Lord z zainteresowaniem czekał, jak Sirrit zareaguje na zniewagę.

Stary czarodziej uśmiechnął się lekko i podał rękę Lilith.

— Oto moja ręka, jeśli zechcesz ją uścisnąć — powiedział, a Rochester roześmiał się.

— Ten duch współzawodnictwa — rzekł ironicznie. — Chyba oszalałem, przyjmując pod mój dach więcej niż jednego czarodzieja.

— A komu potrzeba wielu magów? — zapytał słodko Glyrenden.

Rochester wzruszył ramionami.

— A dlaczego czarodziej potrzebuje wielu panów? — odparł. — Ty służysz mojemu kuzynowi, królowi, lecz chętnie spełniłbyś i moje życzenia.

Uśmiech Glyrendena poszerzył się.

— Mam moc i znacznie więcej, co pozwala mi zaspokajać życzenia pańskie, króla i wielu innych ludzi — rzekł.

— Jednak ja zawsze niechętnie dzieliłem się moimi skarbami z innymi — powiedział Rochester.

— Ja również — odrzekł Glyrenden. — Lilith, kochanie, nie uścisnęłaś ręki dobrego Sirrita.

Rzeczywiście, przypadkiem czy celowo, Lilith odsunęła się od czarodzieja najdalej, jak mogła w tym ciasnym kręgu i stanęła bokiem do niego. Teraz, gdy Glyrenden wypchnął ją naprzód, Sirrit z uśmiechem wyciągnął do niej rękę. Powoli, jakby niechętnie, Lilith uścisnęła jego dłoń.

Aubrey nie odrywał oczu od Sirrita, od kiedy usłyszał jego imię (często i z szacunkiem wymawiane przez Cyrila), tak więc widział twarz czarodzieja, kiedy ten dotknął Lilith. Na pobrużdżonej twarzy pojawił się przedziwny grymas i natychmiast zniknął; przez chwilę dłoń starego czarodzieja ścisnęła rękę kobiety w bynajmniej nie towarzyskim uścisku. Potem Sirrit puścił ją, Lilith cofnęła się i nagle wszyscy zaczęli rozmawiać o polityce.

Jednak Aubrey zauważył jeszcze dwie rzeczy: Lilith nawet nie spojrzała na Sirrita, a ten nie mógł oderwać od niej oczu. To było tak dziwne, że dopiero dwa dni później Aubrey uświadomił sobie, że po tym dziwnym wstępie Glyrenden nie przedstawił go staremu czarodziejowi — i chyba nie był to przypadek.

## 6

Następnego ranka Aubrey entuzjastycznie włączył się w wir zaplanowanych na ten dzień rozrywek. Dla mężczyzn były to łowy w pachnących, okolicznych lasach, a dla kobiet spacer po rozległych pałacowych ogrodach. Dzień był piękny, pożyczony koń łagodny, a polowanie przyjemne, chociaż Aubrey odmówił udziału w zabijaniu zwierząt. Mimo to świetnie się bawił. Znalazł się w towarzystwie pół tuzina młodych ludzi mniej więcej w jego wieku, którzy bez wahania przyjęli go do swego grona i bawili wesołą rozmową. Jak powiedział Lilith, był człowiekiem towarzyskim i brakowało mu tego przez parę ostatnich miesięcy.

Wrócili z polowania w samą porę, by przebrać się do kolacji, która tego wieczoru miała znacznie bardziej ceremonialny charakter niż poprzedniego dnia. Aubrey włożył swoje najlepsze ubranie i użył odrobiny magii, by wyglądało ładniej niż w rzeczywistości. Potem pospieszył do wielkiej sali na dole, żeby zająć miejsce przy jednym z długich stołów.

Znalazł się między dwiema kobietami. Jedna była tak stara, że mogłaby być jego matką, lecz odziana zgodnie z ostatnimi wymogami mody; miała na twarzy grubą makijaż i tak wymyślną fryzurę, że chyba musiała unikać szybkiego obracania głowy, w obawie przed jej zburzeniem. Mimo to była czarującą rozmówczynią, znającą wszystkie ploteczki. Pokazała mu kilku siedzących przy tym stole notabli, informując o ich ostatnich poczynaniach i skandalach.

Partnerka z drugiej strony była młoda i nieśmiała, a ponadto dostatecznie ładna, by pochlebiało to Aubreyowi; ktokolwiek rozsądzał gości, najwidoczniej uznał, że młody mag zasługuje na atrakcyjne towarzystwo. Powiedziała mu, że ma na imię Mirette. Miała platynowojasne włosy i wielkie, piwne oczy. Kiedy uśmiechał się do niej, czerwieniła się i spuszczała oczy, ale dostrzegł nikły uśmiech w kąciu jej ust.

— Na pewno nie przyszłaś tu sama — rzekł. — A więc z kim? Z mężem? Bratem? Z rodzicami?

Uśmiech pogłębił się.

— Och, nie z mężem! — odparła bez tchu. — Ja nie... Ja nie mam męża.

— A więc z rodziną?

Kiwnęła głową.

— Tak, z mamą, ojcem i siostrami.

— Z siostrami! — powtórzył Aubrey. — To jest was więcej?

Roześmiała się cicho.

— Jeszcze dwie.

— I są równie piękne jak ty?

Zaśmiała się znowu, nieco onieśmielona.

— Jak możesz pytać! Na pewno uznasz, że są o wiele ładniejsze.

— To chyba lepiej zasłonię oczy, kiedy je spotkam — odparł poważnie Aubrey. — Zwykli śmiertelnicy nie powinni oglądać takich widoków.

Tym razem zachichotała i zerknęła na niego spod gęstych brew.

— Wielu śmiertelników widziało nas razem i nie oślepiło — powiedziała.

— Jak to możliwe? Ja już teraz jestem tego bliski.

Plótł głupstwa i tak to też traktowała; Aubrey doszedł do wniosku, że nie jest taka naiwna, jak wydała mu się na początku rozmowy, ale zdecydowanie urodziwa. Raz czy drugi zauważył, że inni młodzieńcy przy stole spoglądają na niego z zazdrością. Jeden z towarzyszy polowania nawet mrugnął do niego porozumiewawczo, a potem rozłożył ręce, zabawnie udając latanie. Aubrey poznał ten męski gest, który oznaczał: „Atakuj jak sokół” i zawsze wyrażał aprobatę.

Oczywiście, nie mógł przez cały czas zajmować się Mirette; jej sąsiad z drugiej strony również chciał z nią poflirtować, a Aubrey musiał zająć się sąsiadką z lewej. Dopiero po pewnym czasie przyszło mu do głowy, żeby rozejrzeć się po sali i sprawdzić, czy inni jego znajomi bawią się równie dobrze. Glyrendena nietrudno było znaleźć: siedział u szczytu stołu, zaledwie dwa czy trzy miejsca od gospodarza. Natomiast z trudem odszukał Lilith.

Jednak kiedy już ją zauważył, nie mógł oderwać od niej oczu; przez chwilę poczuł się zdezorientowany, oszołomiony. Włożyła zieloną jedwabną suknię, która tak mu się podobała i wyglądała naprawdę wspaniale. Czarne włosy, splecione w gruby warkocz, upięta w kok złotymi spinkami. Założyła szmaragdowy naszyjnik, który Aubrey zrobił jej ze sznura pereł i zielen klejnotów żywo kontrastowała z jej alabastrową skórą. Była delikatnie umalowana — trochę różu na policzkach, nieco cienia pod wysokimi tukami brwi — i Aubreyowi wydało się, że nawet z daleka wyczuwa subtelny zapach jej perfum.

Siedziała przy jasno oświetlonym stole wśród setki ludzi i wpatrywała się w talerz, prawie nic nie jedząc; po obu jej stronach i naprzeciw niej siedzieli mężczyźni, ale nikt na nią nie patrzył. Wydawała się zupełnie sama, opuszczona, obca i dziwna. Tak jakby siedziała w plamie cienia, tak głębokiego, że nikt nie chciał weń zajrzeć. Aubrey nie potrafił rzec, czy ten mrok emanował z niej, czy ją otaczał, ale wszyscy przy stole, świadomie czy nie, zdawali się to wyczuwać i ignorowali ją.

A jednak miał wrażenie, obserwując ją z odległości dwudziestu stóp, że jest bardziej dostojna, bardziej żywa i piękniejsza niż ktokolwiek z obecnych tu ludzi. Regularne rysy, gęste włosy, smukłe nadgarstki, biała skóra — znał je tak dobrze jak własną twarz i ciało, a jednak teraz ich widok uderzył go z nieodpartą siłą. Jej niepokojąca uroda zaparła mu dech. Wydawało mu się niewiarygodne, że nikt inny jej nie zauważył, nikt nie patrzył na nią takim zafascynowanym wzrokiem. Nie mógł uwierzyć, że nie otacza jej krąg mężczyzn, błagających choć o przelotne spojrzenie lub muśnięcie palców. Spoglądał na nią i kręciło mu się w głowie. Nawet gdyby musiał, nie zdołałby w rym momencie wstać z krzesła i przejść przez pokój. Była cienistym centrum wesołego i jasnego Wszechświata; przyciągała go swą mroczną urodą, tak że nie mógł oderwać od niej oczu.

— Aubreyu — usłyszał cichy głos nad uchem i drgnął tak gwałtownie, że o mało nie rozlał wina. Głos zaśmiał się, a Aubrey zdołał obrócić głowę i zlokalizować jego źródło. Siedząca obok blondynka ponownie wymówiła jego imię. — Aubreyu. Zamierzasz nie odzywać się do mnie do końca wieczoru? Czym cię uraziłam?

Usłyszał słowa, a dopiero po chwili je zrozumiał, a jeszcze dłużej szukał sensownej odpowiedzi. Dziewczyna, którą przed chwilą podziwiał, nagle wydała mu się płytka i

niezgrabna, złożona ze zbyt jaskrawych kolorów i pustego śmiechu. W porównaniu z tajemniczym cieniem świeciła zbyt jasno; a jej uroda gasła jak kaganek przy blasku Lilith.

Jakoś udało mu się dotrzeć do końca uczy. Jeśli sędzić po perlistych wybuchach śmiechu Mirette, jego zmiana nastroju nie została zauważona, a prawdę mówiąc, starał się udawać wesołość. Jednak pożałował tego pod koniec kolacji, kiedy zwróciła się do niego dama siedząca po lewej.

— Dziś wieczór będą tańce—powiedziała.—Faren uwielbia chwalić się swoją salą balową. Musisz wybaczyć mi bezpośredniość jako osobie znacznie od ciebie starszej, ale powiedz, proszę, czy zechciałbyś zatańczyć ze mną pierwszego walca?

Pragnął natychmiast podejść do Lilith, lecz kurtuazja nie pozwalała odmówić sąsiadce. — Będzie mi bardzo miło — rzekł. — Uprzedziła pani moje pytanie.

Mirette słyszała każde słowo; nic nie mógł na to poradzić. — A ty, najpiękniejsza damo — powiedział, mając nadzieję, że zabrzmiało to szczerze — zaszczycisz mnie następnym tańcem?

Posłała mu swój śliczny, miły uśmiech.

— Oczywiście. Bardzo dziękuję, że oszczędziłeś mi trudu proszenia cię o to.

Najedzeni goście zaczęli wstawać od stołu i przechodzić do sali balowej, gdzie stawali w grupkach, plotkując, jak członkowie orkiestry czekający na sygnał dyrygenta. Lilith znalazła się po przeciwnej stronie sali, sama, oparta plecami o malowaną marmurową ścianę. Stała zupełnie nieruchomo, ze spojrzeniem wbitym w podłogę. Ręce schowała za plecy, jakby przyciskała je do ściany, nie pozwalając im na żaden ruch czy gest. Z jej owalnej twarzy Aubrey nie mógł wyczytać żadnych uczuć. Ludzie ocierali się o nią i nie zauważali jej; nikt z nią nie rozmawiał.

Aubrey już chciał do niej podejść, gdy muzyka zaczęła grać. Starsza dama wzięła go pod rękę.

— Ach, „Taniec najad” — powiedziała, podając mu tytuł utworu. — To jeden z moich ulubionych. Jestem pewna, że jesteś wspaniałym tancerzem.

Prawdę mówiąc, tańczył całkiem przeciętnie, ale partnerka była tak dobra, że jego braki przeszły nie zauważone. Mirette również okazała się świetną tancerką, potrafiącą wesoło flirtować z partnerem, nie gubiąc przy tym kroku. Miał nadzieję, że jej nie rozczarował. Starał się zręcznie odpowiadać na jej uwagi i prawie komplementy zbyt wyświechtane, by można je wziąć serio lub tak ekstrawaganckie, że wprost niewiarygodne. Mimo to, kiedy taniec się skończył, obdarzyła go uśmiechem i głębokim dygnięciem.

— Może jeszcze później... ?—zaczęła i delikatnie przerwała.

— Będę czekał z niecierpliwością—rzekł Aubrey z ukłonem. Jeszcze trzymał jej dłoń, gdy przepchnęło się do nich trzech młodzieńców, by poprosić Mirette o następny taniec i Aubrey zdołał umknąć.

Lilith. Gdzie jest Lilith?

Kiedy ją zobaczył, przeżył drugi silny wstrząs tego wieczoru. Tańczyła z mężem; mocno obejmował rękami jej opiętą zielonym jedwabiem talię, a jej dłonie spoczywały spokojnie na jego szerokich ramionach. Twarz miała schowaną na jego piersi, lecz Aubrey widział uczucia wypisane na twarzy Glyrendena: uniesienie, satysfakcja, uwielbienie. Aubrey odwrócił się szybko, w przyпіływie niespodziewanych emocji. To dziwne, ale zapomniał, że Lilith ma męża, który ją kocha.

Mimo to, w tym stuosobowym tłumie gości nie było nikogo, z kim chciałby porozmawiać lub zatańczyć. Tak jak przedtem Lilith, znalazł wygodny, pusty kawałek ściany i oparł się o nią plecami. Nadużywając prywatnej magii w publicznym miejscu, rzucił krótkie zaklęcie odwracające uwagę obecnych, tak że mógł bez przeszkód obserwować tańczących.

Chociaż wydawał się trwać godzinami, taniec Lilith z mężem skończył się po kilku minutach, jednak kiedy orkiestra przestała grać, Glyrenden nie dał żonie wtopić się w anonimowy tłum. Ku zdumieniu Aubreya podszedł do nich wysoki, ciemnowłosy młodziwiec, który nerwowo skłonił się przed Glyrendenem i poprosił o zaszczyt zatańczenia z jego małżonką.

Glyrenden wyglądał na rozbawionego, chociaż Aubrey nie dosłyszał, co czarodziej odpowiedział pytającemu. Słabo przypominał sobie, że nieco wcześniej spotkał już tego młodego człowieka — Royela Stephanisa, bo tak się nazywał. Był to trzeci syn potężnego lorda i źródło wiecznego utrapienia dla rodziny, ponieważ miał artystyczną duszę poety. Royel niezbyt dobrze bawił się na polowaniu i został daleko w tyle, gdy psy dopadły zwierzynę. Miał proste, gęste włosy i rumianą, wyrazistą twarz; był chudy jak szczapa i niezgrabny, lecz wyraźnie dobrze wychowany. To zupełnie wystarczało Glyrendenowi. Czarodziej podniósł dłoń Lilith do swych ust, a potem wsunął ją w wyciągniętą rękę Royela.

Zagrali kolejnego walca, jeszcze wolniejszego niż poprzedni. Royel, mimo innych braków towarzyskich, umiał tańczyć. Delikatnie i z szacunkiem objął Lilith, po czym poprowadził ją przez skomplikowane figury walca. Tak jak przedtem, Lilith miała opuszczoną głowę. Jej dłonie, spoczywające na ramionach partnera, zdawały się ledwie go dotykać. Royel przysunął usta do jej ucha i szeptał jej coś — sądząc po jego minie, jakieś komplementy i pochlebstwa. Wydawała się nie reagować, a nawet nie słuchać ich, tylko raz odpowiedziała mu szybkim, przeczącym ruchem głowy. Royel nie dał się zniechęcić i zapytał ponownie, a tym razem nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Aubrey, patrząc na to ze stworzonego przez siebie cienia, cierpiał straszliwe katusze. Gwałtownie, serdecznie nienawidził Glyrendena i Royela; czuł jednak też głęboki szacunek dla Royela za to, że ten zauważył i docenił przedziwną urodę Lilith; był zdumiony, wściekły i przerażony głębią swych uczuć oraz otepieniem, które tak długo trzymało je w ukryciu. Ponadto serce krajało mu się na widok Lilith — tak pięknej, tak wrażliwej — w ramionach innego mężczyzny.

Royel przetańczył z nią dwa tańce, mimo słabego protestu Lilith za drugim razem, a Glyrenden następny. Aubrey postanowił poprosić o kolejny. Rozproszył mgłę, w której się ukrył i natychmiast wpadł na kobietę, która siedziała obok niego przy kolacji.

— Och, witaj — powiedziała, uśmiechając się ze szczerym zadowoleniem. — Nie zauważyłam cię. Skąd się wziąłeś?

— Byłem tu przez cały czas — odparł, usiłując odpowiedzieć uśmiechem. — Dobrze się bawisz?

— No cóż, najlepszy był ten taniec, który zatańczyłam z tobą — powiedziała z nadzieją w głosie.

Aubrey zmusił się do ukłonu.

— A więc może powtórzmy teraz to przyjemne doświadczenie — rzekł.

Oczywiście, przyjęła zaproszenie i znów zatańczyli. Przy pierwszej dogodnej okazji Aubrey przekazał ją innemu partnerowi i zaczął szukać Lilith.

Była tam; znów sama, znowu stała pod ścianą. Gdyby posiadała choć niewielkie umiejętności magiczne, podejrzewałby ją, że otoczyła się niewidzialną zasłoną, gdyż stojący w pobliżu ludzie znów kompletnie ją ignorowali. Nawet Royel, który wyraźnie szukał jej po drugiej stronie sali, nie zdołał jej dostrzec. Jednak Aubrey widział ją wyraźnie i precyzyjnie się do niej przez tłum.

— Lilith — powiedział, a ona spojrzała mu w oczy. Oczekiwał, że teraz, kiedy w końcu zdołał stanąć z nią twarzą w twarz, będzie zmieszany jak sztubak, tymczasem stało się inaczej. Widok tych niezgłębionych zielonych oczu uspokoił go, pozwolił mu odzyskać równowagę ducha, a nawet dobry humor. Stwierdził, że uśmiecha się do niej, pragnąc, żeby odpowiedziała mu uśmiechem.

— Wyglądasz tak ślicznie — ciągnął. — Myślę, że to najładniejsza z twoich nowych sukni.  
— Glyrenden też tak mówi — odparła.  
— I twoje włosy. A twarz... umalowałaś ją, prawda?  
— Glyrenden ją umalował. I wpiął mi grzebień we włosy.  
— A więc uczynił cię piękną.  
    Uśmiechnęła się smutno.  
— Sądzę, że taki miał zamiar.  
    Znał odpowiedź, lecz mimo to zapytał:  
— Dobrze się bawisz?  
— Nie — odrzekła.  
— A ten młody człowiek. Royel Stephanis. Wywarłaś na nim wrażenie.  
— Naprawdę?  
— Wiesz, że tak. Tańczył z tobą bez końca i szeptał ci komplementy do ucha.  
— Skąd wiesz, co do mnie mówił?  
— Z jego twarzy wyczytałem wszystko, co chciałem wiedzieć.  
    Nie odpowiedziała.  
— Lubisz go? — nalegał Aubrey.  
— Nieszczerze.  
    Oto dobra wiadomość.  
— Wygląda mi na miłego młodzieńca—rzekł. — Jednak nie powinnaś zbyt z nim flirtować, jeśli nie chcesz złamać mu serca.  
— Jest poetą, więc pociąga go to, co niezwykle — odparła. — Nic na to nie poradzę, jeśli go intryguję.  
    — Ja nie jestem poetą, a mnie też intrygujesz—rzekł Aubrey, zanim zdążył się powstrzymać. Spojrzała na niego.  
— Pewnie dlatego, że i ty jesteś trochę niezwykle — powiedziała.  
    Po raz pierwszy wyraziła jakąś opinię o nim; czekał, czy powie coś więcej. Nie zrobiła tego.  
— Jednak czarodziej Sirrit nie jest poeta, a dziwnie zareagował na twój widok. Dlaczego tak na ciebie patrzył wczoraj wieczorem? Wiesz?  
    Spojrzała w bok; nie potrafił powiedzieć, czy jej policzki lekko zarumieniły się z gniewu, czy ze wstydu.  
— On uważa, że jestem dziwna — powiedziała. — Mówiłam ci, że większość ludzi tak sądzi.  
— A ty zachowywałaś się tak... ostrożnie — ciągnął Aubrey. — Dlaczego? Spotkałaś go już wcześniej? Masz coś przeciwko niemu?  
    Znowu spojrzała mu w oczy.  
— Jestem ostrożna wobec wszystkich magów—powiedziała sucho.  
Znowu złagodził słowa uśmiechem.  
— Mam nadzieję, że mnie się nie obawiasz — rzekł. — Powiedz, że to mnie nie dotyczy.  
    Na jej wargach pojawił się przelotny uśmiech, sprawiając mu niewiarygodną przyjemność.  
— Ty jesteś inny—powiedziała.—Sama nie wiem dlaczego.  
— Może mieszkanie z kimś pod jednym dachem czyni go znajomym — rzekł zdawkowo Aubrey.  
— Czyżby? — rozgniewała się znowu. — Czy ty znasz kogokolwiek z nas? Może Glyrendena? Znasz jego myśli? Arachne, Orion — ich też już rozgryzłeś?  
— A ciebie? — ciągnął łagodnie. — Czy rozwiązałem tę zagadkę? Nie. Muszę przyznać, że nie.  
— Może ci to zabrać więcej czasu, niż masz.  
— Nie sądzę — powiedział poważnie. — Nie odejdę, dopóki nie zrozumiem.

— A kiedy tak się stanie—rzekła—znikniesz, nim zapadnie noc.

Nie wiedział, co na to odrzec, ale na szczęście orkiestra zagrała nowy otwór, umożliwiając mu zmianę tematu.

— Widziałem, jak tańczyłaś z dwoma partnerami — powiedział. — Czy teraz zatańczysz ze mną?

— Jeśli chcesz.

— Bardzo.

— A więc zatańczę.

Zaprowadził ją na parkiet i objął ramionami. Była lekka jak jesienna bryza; ważyła chyba tylko tyle, co płat kory zdarty z brzoźowego pnia. Czuł pod palcami gładki materiał jej sukni, lecz chłodny jedwab zdawał się nie skrywać żywej istoty. Wiedział, że położyła dłonie na jego ramionach, ale nie wyczuwał ich dotknięcia. Przycisnął mocniej i poczuł ją w objęciach, kruche kostki uwięzione w miękkim, bezbronny ciele. Mruknęła coś, protestując bez słów, więc rozluźnił uścisk, jednak nie tak bardzo, jak powinien. Teraz zrozumiał, dlaczego Glyrenden zawsze chwycił ją zbyt mocno; mimo siły jej osobowości, była bardzo drobna. Wydawała się raczej złudzeniem niż realną osobą.

— Czy tak obejmowałaś lady Mirette? — zapytała.

Był tak zaskoczony, że roześmiał się w głos. Nie przypuszczał, że zapamiętała imiona jego partnerek.

— Miretty tego świata są stworzone do igraszek—odparł. — Bardzo możliwe, że przycisnąłem ją raz czy dwa.

— Dziwię się, że zdołała nabrać tchu, żeby z tobą flirtować.

— Ależ mogła, bez trudu — rzekł. — Jednak ty... Ty zdajesz się w ogóle nie oddychać.

— Gdybyś nie trzymał mnie tak mocno...

— Muszę — szepnęła i ponownie przycisnął ją do siebie. Tym razem nie protestowała i tańczyli dalej; Aubrey pragnął, żeby ten walc trwał bez końca, grany wciąż od nowa, aby on mógł trzymać Lilith w ramionach przez całą noc.

Jednak taniec się skończył. Lilith cofnęła się o krok, a Glyrenden wyrósł przy nich jak spod ziemi. Czarodziej nawet nie spojrzał na Aubreya. Całą uwagę skupił na żonie.

— Ach, moja droga — rzekł, biorąc jej dłoń i wkładając ją w zagięcie swojej ręki. — Szukałem cię godzinami. Usiądź przy mnie na chwilę, napij się wina i opowiedz mi, jak się bawisz u Farena Rochesterera.

Posłusznie poszła za nim przez parkiet, trzymając go pod rękę. Żadne z nich nie obejrzało się na Aubreya, który obserwował ich, czując, jak ziemia drży pod grubą podłogą pałacu i dziwiąc się, że nikt inny na sali nie czuje się tak nieswojo jak on.

## 7

Następny dzień, a potem jeszcze jeden, upłynęły w ten sam sposób, chociaż dla Aubreya zmienił się cały świat. W dzień mężczyźni polowali lub jeździli konno małymi grupkami, podczas gdy kobiety plotkowały, malowały się i stroiły; wieczorami odbywały się imprezy w większym gronie. Aubrey nie wiedział, co było gorsze; godziny spędzane bez Lilith, czy te w jej towarzystwie. Nie potrafił rzec, czy bardziej cierpiał stojąc i rozmawiając z nią, polując na każdy jej uśmiech czy spontaniczną uwagę; czy obserwując ją, samotną i bez przyjaciół, otoczoną przez obcych; czy patrząc, jak unika natarczywych zalotów Royela Stephanisa; czy widząc ją w objęciach męża. Był szczęśliwy tylko wtedy, kiedy był z nią, ale znał cenę takiego szczęścia — plonu zebranego z cudzego pola — więc obawiał się przebywać z nią zbyt często.

Czwarty dzień ich pobytu w pałacu Rochesterera upłynął bardzo podobnie. Tak jak tamte, był słoneczny, jesienny, spokojny i ciepły; Aubrey podejrzewał, że Sirrit trochę wpłynął na pogodę. Wieczne imprezy obejmowały spacer po lesie leżącym na wschodnim

skraju posiadłości, przy czym wszyscy goście mieli nieść zapalone świece i śpiewać tradycyjne pieśni.

— Powrót do prymitywnych wiejskich tradycji, co za dziwactwo — usłyszał Aubrey, jak jeden mężczyzna mówił do drugiego, wprowadzając konie do stajni po popołudniowej przejażdżce. — Nie podejrzewałem, że Faren może zmuszać swoich gości do czegoś takiego i nazywać to rozrywką.

— Och, jeszcze nigdy nie brałeś udziału w jednym z festynów Farena?—padła rozbawiona odpowiedź.—To niezwykła impreza. Czujesz się tak, jakbyś szedł przez pierwotny las z prapoczątków czasu, dopiero co odkrywszy magię ognia i przysiągłbyś, że każde drzewo ma oczy, którymi na ciebie patrzy.

Pierwszy mężczyzna roześmiał się.

— Znów rozmawiałeś z Sirritem, prawda?

— Dlaczego tak mówisz?

— Och, on jest jednym z prymitywnych kultystów — no wiesz, jednym z tych, którzy wierzą, że wszystko żyje. Na przykład, że pies ma duszę, kamień czuje, a drzewo jest w rzeczywistości driadą. Słyszałem, jak bez końca mówił o takich rzeczach.

— Hmm, Sirrit... On jest trochę dziwny.

Mężczyźni odeszli i Aubrey nie usłyszał końca rozmowy, ale był zaintrygowany. Od czasu przyjazdu nie rozmawiał z nadwornym czarodziejem, mimo że miał ochotę, choćby po to, aby przekazać Cyriłowi wiadomości od niego. Dlatego teraz, nie mając wiele czasu przed następną imprezą, jaka była w planie, opuścił stajnię i ruszył na poszukiwanie przyjaciela swojego mentora.

Znalazł starego czarodzieja czytającego powieść w bibliotece Farena Rochestera. Sirrit był ubrany tak jak poprzednio, w powiewną czarno-srebrną szatę i wydawał się całkowicie pochłonięty lekturą.

— Jestem rozczarowany — zaśmiał się Aubrey. — Wyglądasz jak ucieleśnienie potężnego czarodzieja, więc bytem przekonany, że znajdę cię w pracowni, sporządzającego mikstury, a przynajmniej studiującego jakąś magiczną księgę.

Sirrit z uśmiechem odłożył książkę i wskazał na fotel obok. Aubrey usiadł.

— Zapamiętałem już wszystkie potrzebne zaklęcia, więc teraz mam czas oddać się trywialnym przyjemnościom — odparł starzec. — Nazywasz się Aubrey, prawda? Twój mistrz nie pofatygował się, żeby cię przedstawić, ale gdzieś posłyszałem twoje imię.

— Ja twoje słyszałem w wielu różnych miejscach — rzekł Aubrey. — Jednak przede wszystkim od mojego mistrza, Cyrila z Południowego Portu.

Sirrit podniósł brwi; wydawało się, że ta wiadomość zrobiła na nim wrażenie.

— Ach! Jesteś jednym z uczniów Cyrila. A zatem musisz być bardzo dobry lub bardzo zły.

Aubrey znów zaśmiał się.

— Mogę zrozumieć bardzo dobrego, ale bardzo złego?

— Jeśli odprawił cię, ponieważ nie chciałeś się uczyć.

— Nie. Prawdę mówiąc, bardzo wiele nauczyłem się od Cyrila. Jednak uznał, że skorzystam ucząc się także u innych nauczycieli i posłał mnie do Glyrendena.

— To trochę dziwne — rzekł sucho Sirrit.

— Dlaczego?

— Cyril i Glyrenden nigdy nie byli... — Sirrit wzruszył ramionami — sojusznikami.

— Nie trzeba kogoś lubić, żeby szanować jego umiejętności

— powiedział spokojnie Aubrey. Niedawno sam się o tym przekonał.

Sirrit uśmiechnął się.

— Mimo to. Cyril zazwyczaj jest bardziej rygorystyczny.

— Ty też nie lubisz Glyrendena — mruknął Aubrey. — Jednak musisz przyznać, że ma wielką moc.



— Co wcale nie skłania mnie do zmiany zdania.

Aubrey roześmiał się i rozłożył ręce. Etyka zawodowa nie pozwalała mu zbyt głęboko wnikać w sens tej uwagi.

— Teraz Glyrenden jest moim mistrzem i uczę się od niego

— rzekł. — Nie mogę źle o nim mówić.

— A ja wcale bym tego nie chciał — rzekł uprzejmie Sirrit.

— Powiedz mi więc, czy dobrze się tu bawisz?

— Bardzo. Szczególnie chciałbym pogratulować ci doskonałej pogody.

Sirrit znów uśmiechnął się.

— Czy to takie oczywiste?

— Nie, to wspaniałe. Wiem, że na dziś wieczór zaplanowano jakąś ceremonię, lecz ja jestem z dalekiego królestwa. Nie znam waszych tradycji.

Sirrit wygodnie usiadł w fotelu.

— No cóż, tutaj tę ceremonię też rzadko się odprawia, ale Faren bardzo interesuje się niektórymi dawnymi zwyczajami, a to jeden z nich. W dawnych czasach ludzie wierzyli, że wszystko posiada duszę. Cztili ziemię za jej skarby, słońce za jego ciepło, kukurydzę, pszenicę i wszelkie rośliny. Wierzyli, że wszystkie stworzenia mają dusze, dlatego gdy zabili jelenia, przepiórkę czy królika, modlili się do ducha zwierzęcia, które zginęło, by utrzymać ich przy życiu. Ich byt był nieustanną walką o zachowanie równowagi z innymi stworzeniami — istotami — z którymi dzielili świat. Wszystko było dla nich zdumiewająco żywe — drzewa, kamienie, rzeki, gwiazdy i księżyc. Każde miało swoją tożsamość, osobowość, jeśli wolisz tak to nazwać, a ludzie traktowali je z szacunkiem i kurtuazją, tak jak innych ludzi. A nawet większa, zważywszy, że regularnie wadzili się ze sobą — stwierdził wesoło Sirrit.

Aubrey był zafascynowany.

— A więc ta dzisiejsza ceremonia...

— Och, jest bardzo przeinaczona. Tysiąc lat temu odprawiano ją, aby zapewnić obfite zbiory — byłyby modły, pieśni pochwalne, składanie w darze płodów rolnych. Chociaż zawsze dziwiło mnie — dodał filozoficznie Sirrit — że jakakolwiek kultura akceptowała palenie czegoś w ofierze. Nie uważasz? Chcę powiedzieć, że jeśli chcesz uhonorować ducha pszenicy jako żywą istotę, posiadającą rozum i duszę, dlaczego masz ją palić? Czy to nie jest inny sposób zabicia jej? Dlaczego zabijanie miałoby być wyrazem szacunku dla bogów zboża, zakładając, że są takowi?

Aubrey roześmiał się.

— Jednak to pytanie teoretyczne, prawda? Chcę powiedzieć, że nie ma bogów zbóż. Pszenica nie ma duszy. Prawda?

Sirrit rozłożył ręce. Były żylaste i silne; ręce czarodzieja, nawykłe do magii.

— Zboża... nie wiem. Pewnie nie. Jednak zwierzęta? Na pewno. Skały? Podejrzewam, że nie. Sama ziemia? Czasem myślę, że tak, czasem, że nie. Drzewa? Jestem tego pewny. Księżyc? Nie...

— Drzewa? — przerwał mu Aubrey. — Zwierzęta, być może — tu mógłbym przyznać ci rację — ale drzewa? Miałyby duszę? Jak ludzie — jak myślące, oddychające stworzenia? To nie wydaje mi się możliwe.

Sirrit spojrzał na niego przeciągle i badawczo. Aubrey miał wrażenie, że czarodziej zastanawiał się, czy powiedzieć mu coś, ale zrezygnował.

— Czy szedłeś kiedyś sam przez las? Czy nie czułeś, że otacza cię coś znacznie starszego i o wiele mądrzejszego od ciebie? Czy wędrowałeś kiedyś przez stary cedrowy las — wśród drzew tak grubych, że nie mógłbyś ich objąć, nawet gdybyś wziął się za ręce z czterema innymi mężczyznami? Czy wiesz, jak stare są niektóre drzewa? Wiesz, ile pokoleń ludzi widziały, przetrwały i zapomniały? Czy rozumiesz, w jaki sposób rosną, korzeniami wyciągając substancje z samej ziemi, a ramiona wyciągając do słońca? Z czego jest zbudowane

drzewo — z wody, powietrza, ziemi i słonecznego ciepła? To podstawowe składniki świata, przyjacielu. Jeżeli drzewo nie jest żywe, to ludzie też nie, ponieważ my składamy się zaledwie z wody i powietrza.

Aubrey milczał chwilę, a potem zaśmiał się cicho.

— Prawie mnie przekonałeś — rzekł.

— Uwierz w to — rzekł Sirrit, patrząc na niego niezgłębionymi, mądrymi oczami starego czarodzieja. — Obiecuję ci, że pewnego dnia przekonasz się, że mówię prawdę.

Tego wieczoru kolacja była późna i mniej ceremonialna. Wszyscy goście Farena Rochesterera przebrali się w eleganckie wersje wieśniaczych strojów — mężczyźni w skórzane spodnie i kamizelki, kobiety w spódnice i bluzki. Proste i pożywne jedzenie pasowało do charakteru imprezy; wszyscy pili piwo zamiast wina i śmiali się z tego.

Kiedy skończyli jeść, Faren Rochester zaprowadził ich do przedsionka, gdzie czekała służba. Jeden po drugim goście odbierali z rąk służących woskowe świece, zapalali je od małego mosiężnego kaganka stojącego przy drzwiach i wychodzili w aksamitny mrok. Gdy już wszyscy stali na brukowanym dziedzińcu, osłaniając dłońmi płomienie świec przed zabłąkanymi podmuchami wiatru, jakaś kobieta zaczęła śpiewać melodyjną piosenkę. Jeden po drugim, przyłączyli się do niej inni. Aubrey nigdy nie słyszał tej piosenki, ale większość gości najwidoczniej dobrze ją znała. Tutaj, na otwartej przestrzeni, pod wyniosłym sklepieniem czarnego nieba, pełgające światełka świec zdawały się nikłe i słabe; stuosobowy chór śpiewał dziwnie cicho wśród przytłaczającej nocnej ciszy.

Jest nas za mało, pomyślał nagle Aubrey, mocniej przyciskając świecę do piersi i zastanawiając się, gdzie w tym tłumie jest Lilith. Jest nas za mało, by odegnąć ciemność i pokonać duchy. I chociaż w przeciwieństwie do Sirrita nie wierzył, że każdy element świata ma swoją duszę, nagle poczuł się mały i słaby.

Śpiewając nową piosenkę, goście powoli opuścili dziedziniec i sformowali pochód na jednej z brukowanych dróg, które wiodły do lasów leżących na ziemi Rochesterera. Aubrey, idąc niemal na końcu, patrzył na podążających przed nim, na długi rząd płomyków widocznych na krętej leśnej ścieżce, chwilami zasłanianych przez pnie drzew i nisko zwisające gałęzie. Płomyki migotały; dłonie trzymające świece zdawały się bezcielesne; głosy śpiewaków nadlatywały z oddali, przeciągłe i upiorne jak jęki umarłych. Szedł z innymi, czując słaby dreszcz przesadnego lęku — cieszył się spacerem, lecz był odrobinę zaniepokojony.

Kiedy pochód przeszedł pół mili lub trochę więcej, Aubrey dostrzegł wielką łunę, rozpraszającą mrok. Ognisko, domyślił się i wyszedłszy spomiędzy pni na rozległą polanę przekonał się, że miał rację. Inni goście zebrawi się wokół ogniska, które było olbrzymie, tak wielkie jak jedna z sal pałacu Rochesterera. Nadal ściskali świece, chociaż nie były im już potrzebne w ciepłym blasku ogniska i wciąż śpiewali. Żar bijący od ognia aż zapierał dech. Stojąc trzy jardy dalej, Aubrey poczuł go na twarzy i musiał się cofnąć.

Robiąc to, prawie wpadł na innego gościa kryjącego się w cieniu. Odwrócił się, zamierzając przeprosić i przekonał się, że prawie wpadł na stojącą tam Lilith.

— Och, tu jesteś—powiedział głupio i uśmiechnął się równie niemądrze. — Nie zauważyłem cię.

Kiwnęła głową i nie odpowiedziała. Nachylił się bliżej, oglądając jej twarz w blasku ogniska. Nie był pewien, gdyż jej mina rzadko zdradzała jakiegokolwiek emocje, ale wyglądała na zdenerwowaną i spiętą. Stała nienaturalnie sztywno. Nie trzymała świecy; przycisnęła ramiona do piersi i lekko drżała.

— Lilith — rzekł zaniepokojony.—Zimno ci? Podejdź bliżej ognia.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

— Nie.

— Przecież trzęsiesz się... zimno ci?

— Nie.

Nie mógł się oprzeć. Czubkami palców dotknął jej policzków i stwierdził, że są zimne jak marmur. Jednak przypomniał sobie swój pierwszy dzień w domu Glyrendena; Lilith nie lubiła ognia.

— Masz — rzekł, zdejmując płaszcz, który włożył mimo ciepłej nocy. Kiedy go nie wzięła, zarzucił jej go na ramiona. — Teraz lepiej?

— Dziękuję — powiedziała.

Nie patrzyła na niego; z bezradną miną spoglądała na ognisko.

— Może powinienem odprowadzić cię do pałacu — rzekł, coraz bardziej zaniepokojony. Znów potrząsnęła głową.

— Glyrenden chciał, żebym tu przyszła.

— Może nie wiedział, że źle się czujesz.

Odpowiedziała tak cicho, że nie dosłyszał. Wydało mu się, że powiedziała „Wiedział”, ale to chyba niemożliwe?

Nadal obserwowała ognisko i drżała. Aubrey stanął za nią i objął ją ramionami, grzejąc jej smukłą postać ciepłem swego ciała. Nie podziękowała mu ani nie odsunęła się, więc stali tak, podczas gdy goście skończyli śpiewać jedną piękną pieśń i zaczęli następną.

Niebawem rozległ się chrzęst obutych nóg deptających ściółkę i na polanę wyszło kilku służących. Nieśli całe drzewo, jeden z wysokich cedrów, których tak wiele rośnie w tym lesie. Sądząc po zapachu i wyglądzie przeciętego pnia, zostało ścięte zaledwie kilka godzin wcześniej. Goście z pomrukiem aprobaty rozstąpili się przed nadchodzącymi; takie wielkie drzewo będzie płonąć całą noc. Nie zważając na żar, słudzy stanęli po obu stronach ogniska, trzymając w rękach kłodę, a potem powoli opuścili ją w żarłoczne płomienie.

W tym momencie rozległ się przeraźliwy krzyk, który zdawał się dobywać z ogniska. Był tak nabrzmiały męką i rozpaczą, że wszyscy goście przelękli się; cofnęli się od ognia, zbijając w gromadę i niepewnie spoglądając wokół. Kilka kobiet pisnęło. Niektórzy mężczyźni chwycili za broń. Lilith osunęła się na ziemię, zemdlona. Aubrey klęknął przy niej.

— Co to? Kto krzyczał? — Głos Farena Rochesterera przedarł się przez gwar.

— Drzewo... — odpowiedział niepewny kobiecy głos i zawtórowały mu dwa lub trzy inne.

— Nonsens, drzewa nie krzyczą — rzekł stanowczo Rochester. — To musiała być sowa lub inne nocne stworzenie. Wszystko w porządku? Nikomu nic się nie stało?

— Ktoś zasnął — padła odpowiedź i po chwili Aubrey, podniósłszy głowę, ujrzał obok siebie Farena Rochesterera. Młody czarodziej podtrzymywał głowę Lilith i szczerze owinął dziewczynę płaszczem. Nie wiedział, czy była nadal nieprzytomna, czy tylko zbyt wyczerpana, aby otworzyć oczy.

— Co się stało? Zemdląca? — zapytał Lord.

— Myślę, że ten krzyk... ten hałas... przestraszył ją i potknęła się o coś — odparł Aubrey, improwizując. — Może uderzyła się w głowę. Jestem pewien, że nic jej nie będzie.

— Każę sługom zanieść ją do domu.

— Nie, ja ją zaniosę — rzekł Aubrey i wstał, trzymając Lilith w ramionach. Faren Rochester przez moment spoglądał na niego niepewnie, a potem kiwnął głową i odwrócił się do pozostałych gości.

— Wszystko w porządku, po prostu zemdląca z gorąca — rzekł, siłą swojej osobowości zaganiając całą grupę ciekawskich z powrotem do ogniska. — Lady Calcebray, może pani zaintonuje następną pieśń? Lady Millson, zechce pani pomóc...?

Spiesząc ścieżką w kierunku pałacu, Aubrey słyszał za plecami wysokie, słodkie tony pieśni. Lilith spoczywała w jego ramionach jak sterta leciutkich liści; ważyła tyle, co nic. Nie miał wolnej ręki, żeby trzymać świecę, lecz z roztargnieniem rzucił zaklęcie, wyczarowując błędny ognik, aby oświetlał mu drogę. Miał już dość tych bzdur — dziwnych starych

rytuałów, bogatych ludzi paradujących w wieśniaczych szatach po lasach. Jakich śpiących bogów zamierzał obudzić Faren Rochester? Jaką pradawną magię miał nadzieję wskrzesić? Aubrey wzmocnił błędny ognek, aż ścieżkę za nim i przed nim zalało szafirowe światło. Ten dowód własnych umiejętności dał mu poczucie bezpieczeństwa. Oto magia, jaką rozumiał; w ten sposób był urządzony ten świat. Aubrey wierzył we własne siły. Nie chciał budzić umarłych, zapomnianych duchów ziemi.

Lilith nie poruszała się w jego ramionach, gdy niósł ją do pałacu i do jej komnaty. Glyrendena nie było w zasięgu wzroku. Aubrey nie widział go także przy ognisku i przez moment zastanawiał się, gdzie też podział się czarodziej. Jednak tylko przez chwile, bo kiedy położył Lilith na białej, satynowej narzucie, wymamrotała coś i otworzyła oczy.

W pokoju zalegał mrok, rozpraszany tylko przez świece palące się w lichtarzu na drugim końcu pokoju. Pomimo to wyraźnie widział jej twarz. Odzyskała normalny kolor i była tak nieprzenikniona, jak zwykle.

Pochylił się nad nią, kładąc dłonie na jej ramionach.

— Lepiej się czujesz? — zapytał. — Przyniosłem cię tutaj.

Powiodła spojrzeniem po ścianach i suficie, jakby upewniając się, gdzie jest.

— Dziękuję — powiedziała. — Teraz pozwól mi spać.

— Potrzebujesz czegoś? Wody... wina... ?

— Nie — odparła. — Tylko daj mi spać.

Nachylił się jeszcze bliżej, podnosząc jedną rękę, żeby odgarnąć włosy opadające jej na oczy.

— Lilith — szepnął, chociaż w pokoju, tak jak w całym pałacu, nie było nikogo, kto mógłby ich podsłuchać. — Dlaczego krzyknęłaś?

Jednak ona odwróciła się od niego, kryjąc twarz w poduszce.

— Daj mi spać, Aubrey — powiedziała zduszonym i cichym głosem. — I nigdy więcej nie przypominaj mi o tej nocy.

Trzy dni później opuścili dom Farena Rochesterera i wrócili do swojego. Tak jak poprzednio, jechali dwa dni i tak jak przedtem, konie narowiły się przez całą drogę, a w czasie tej drugiej i nużącej podróży Lilith prawie nic nie mówiła. Wszystko było tak samo; tylko Aubrey się zmienił. Patrzył przez okno na rdzawą gęstwinę liści i zastanawiał się, co robić.

## 8

Stojący pośród lasu dom czarodzieja wydawał mu się po powrocie mniejszy, bardziej zakurzony i pusty niż przedtem. Kilka następnych dni Aubrey spędził z Glyrendenem w pracowni, lecz nie czynił wielkich postępów. Nie mógł się skupić i Glyrenden śmiał się z niego.

— Brakuje ci nowych, szlachetnie urodzonych przyjaciół — rzekł. — My jesteśmy dla ciebie zbyt szarzy i nudni.

— To nieprawda — odparł szybko Aubrey. — Wolę być tutaj niż u Farena Rochesterera.

— Teraz tak mówisz, chłopcze, teraz tak mówisz. — Czarodziej pakował buteleczki z wywarami, ponieważ nazajutrz rano znów miał wyjechać. Aubrey przyglądał się, jak Glyrenden dobiera i miesza zioła. Jak zawsze, Glyrenden zachowywał w tajemnicy cel podróży i czekające go zadanie; Aubrey nauczył się już nie pytać. — Nadejdzie dzień, kiedy będziesz chciał przebywać tylko wśród lordów i dam.

Aubrey uśmiechnął się.

— Nie sądzę. Nie jestem dobrze urodzony.

— Jednak władza przyciąga władzę, a magia żywi się na dobrze urodzonych — odparł Glyrenden. Wyglądał na rozbawionego. — Jeszcze będziesz flirtował z córkami króla.

— Naprawdę myślisz, że będę kiedyś tak dobry? — spytał Aubrey.

Glyrenden uśmiechnął się do niego szczególnym, niemiłym uśmiechem.  
— Będziesz mądry i potężny, albo będziesz nikim — rzekł. — Nie widzę dla ciebie innej możliwości.

Następnego dnia wyjechał, ale Aubrey wcale nie poczuł się lepiej. Tak rzadko bywał przygnębiony, że przestraszyło go to; nie wiedział, jak odzyskać swój zwykły, dobry humor. Nawet w towarzystwie Lilith nie był szczęśliwy, chociaż tylko jej osoba czyniła znośnym pobyt w tym domu. Jednak teraz właśnie jej obecność tak bardzo go przygnębiała.

— Sądzę, że bardzo się tu nudzisz — powiedziała mu Lilith, kiedy już od dwóch dni snuł się tak po kątach.—Może powinienes pójść na polowanie z Orionem.

— To niezbyt zachęcająca perspektywa — odparł Aubrey. — Jestem przekonany, że on poluje jak dzikus.

— A może powinienes zająć do miasteczka. I tak kończą się nam zapasy.

Ten pomysł spodobał mu się.

— Naprawdę? Zdaje się, że właśnie mamy dzień targowy.

— Spytani Arachne, czego potrzebuje.

Kilka minut później był już w drodze, pchając przed sobą mały, trójkołowy wózek. W miarę jak zbliżał się do miasta, poprawiał mu się humor. Może właśnie taki był powód jego złego samopoczucia — brak towarzystwa. Bawiąc u Farena Rochestera przyzwyczał się do miłej kompanii i teraz brakowało mu jej. Nie przywykł bywać sam — albo prawie sam, jedynie z dwoma dziwnymi sługami jako przyzwoitkami, kiedy dotrzymywał towarzystwa żonie zmiennokształtnego. W takich okolicznościach każdy czułby się nieswojo. Potrzebował wytchnienia, rozmowy ze zwykłymi mężczyznami i kobietami, jakich na pewno mógł znaleźć w miasteczku.

Jak zawsze w dzień targowy, na placu tłoczyli się gospodarze przybyli sprzedać swoje produkty i kupujący je mieszczanie. Aubrey ostrożnie manewrował wózkami w tłumie, często przepraszając, gdy zahaczył o czyjaś kostkę czy biodro. Niespiesznie robił zakupy, prowadząc ze sprzedawcami długie dyskusje na temat przewag czerwonych jabłek nad zielonymi, białego ryżu nad brązowym i żółtych ziemniaków nad białymi.

— A co do ciast — no wiesz, domowych ciast, najlepsze są z zielonymi jabłkami — powiedziała mu pucołowata staruszka. — Są trochę kwaśne, ale jak dobrze je posłodzić i opieć w cieście, będą słodkie jak melasa. Umiesz upiec ciasto, panie?

— Ja? — zaśmiał się Aubrey. — Cóż, nigdy nie piekłem. Jednak nie mam dwóch lewych rąk. Pewnie upiekłbym ciasto, gdybym spróbował.

Uśmiechnęła się do niego, błyskając parą najmniejszych, najbłękitniejszych oczu, jakie kiedykolwiek widział.

— Och, masz kobietę, która ci gotuje — powiedziała, ze zrozumieniem kiwając głową. — No pewnie, tak jest najlepiej, prawda? Mieć kogoś, kto się o ciebie troszczy.

— Mieć kogoś, o kogo można się troszczyć — odparł pogodnie.

Przysunęła się i skinęła na niego, żeby się nachylił. Aubrey przysunął ucho do jej ust.

— O tam — widzisz? Ten kram z czarnym daszkiem. Sprzedają tam rzeczy, które może chciałbyś obejrzeć.

— Jakie rzeczy? — zapytał Aubrey.

— Cii! Nie wszyscy muszą wiedzieć. Złote błyskotki, pierścionki i bransoletki, jakie mężczyzna może dać swojej damie. Przecież masz damę, której mógłbyś je dać?

Aubrey odruchowo pomyślał o Lilith; potem, z determinacją, o jasnowłosej córce karczmarza.

— Tak — odparł.

— A więc idź pooglądać. Mają tam naprawdę ładne rzeczy.

Odsunęła się i uśmiechnęła do niego; on wyprostował się i odpowiedział uśmiechem.

Oczywiście, odprowadzany jej spojrzeniem, musiał podejść prosto do kramu jubilera. Nie zamierzał niczego kupować, ale nie zaszkodzi popatrzeć. Chociaż w ten sposób odwdzięczy się starszycie za wyjawienie mu sekretu.

Na pierwszy rzut oka towar jubilera nie zrobił na nim dobrego wrażenia. Były tam tanie, tombakowe pierścionki ze szklanymi oczkami; woskowe paciorki pomalowane farbą nadającą im perłowy połysk. Z grzeczności Aubrey obejrzał jakiś naszyjnik czy dwa, ale potrząsnął głową, kiedy młody człowiek za ladą zapytał go, czy podoba mu się coś z tych rzeczy.

— Powiedziano mi... sprzedawczynie owoców przy tamtym straganie mówiła, że ma pan złotą biżuterię, która może mi się spodobać — rzekł Aubrey. — Jednak obawiam się, że nie widzę tu nic...

— Ach, złoto — rzekł pospiesznie młodzieniec. Miał dziwny, nieokreślony akcent; nawet Aubrey, który sporo podróżował, nie potrafił go zidentyfikować. — Trzymamy je na zapleczu. Nie każdego na nie stać.

Młodzian zniknął za zasłoną i po krótkiej chwili wyłonił się zza niej, trzymając w jednej ręce tacę nakrytą czarnym aksamitem.

— Może to pana bardziej zainteresuje?

Milczący zachwyt Aubreya był wystarczającą odpowiedzią. Podczas nauki zmieniania kształtów dowiedział się o złocie dość, by docenić jakość tych ozdób. Grube łańcuszki leżały leniwie na czarnym aksamicie, poskręcane w artystycznym nieładzie. Aubrey delikatnie przebierał w bransoletkach, pierścionkach i łańcuszkach na kostki nóg, aż w końcu natrafił na krótki, gruby naszyjnik. Szeroki, płaski i skręcony, leżałby jak smuga światła na kobiecej szyi. W zapięciu osadzono trzy diamenty tworzące trójkąt.

— Myślę, że chyba bez tego nie mógłbym już żyć — rzekł Aubrey, podnosząc ozdobę do światła. — Jednak ostrzegam cię, że jestem czarodziejem o wielkich umiejętnościach. Jeśli cena będzie za wysoka, może będę musiał zamienić cię w małpę, a wtedy będziesz bardzo głupio wyglądał za tą ladą.

Młody człowiek roześmiał się, bez lęku, lecz w wyraźnym zainteresowaniu.

— Czy to prawda? Jesteś czarodziejem? Hmm, cóż... ale pewnie nie zechcesz skorzystać ze swych zdolności za złoto.

Aubrey uśmiechnął się i niechętnie odłożył naszyjnik.

— Korzystałem z nich za skromniejszą opłatą — odparł wesoło. — Czego oczekujesz?

Jubiler nagle wydał mu się znacznie młodszy i mniej pewny siebie.

— Chodzi o mojego ojca. Zwykle jedzie ze mną, kiedy wybieram się na targ, ale teraz jest chory — od miesiąca czy dwóch. Niechętnie go zostawiam, ale ostatnio handel kiepsko idzie. No, wiesz, jak jest, modne kobiety noszą tylko srebrne ozdoby, a my nie mamy żadnych kontaktów z kopalniami srebra. Dlatego jeździmy po jarmarkach i sprzedajemy błyskotki wieśniakom, a złoto lordom i damom. Musiałem jechać, chociaż bardzo nie chciałem zostawiać go chorego...

— Chodzi ci o miksturę? — przerwał mu Aubrey. — Mogę ją sporządzić, jeśli tylko wiesz, co mu dolega.

— To choroba płuc — rzekł młodzieniec. — Przechodzi ją co roku. Jednak... czy mógłbyś zrobić jeszcze coś? Słyszałem, że czarodzieje mogą zerknąć w kubek wody i przywołać wizję. Potrafisz to zrobić? Możesz powiedzieć mi, jak on się dziś czuje?

— No, nie z kubka wody — rzekł Aubrey. Pospiesznie przejrzał rzędy taniej biżuterii wyłożonej na straganie. Odszukał brzydki tombakowy pierścionek z ogromnym szklanym oczkiem; niezbyt nadawał się jako kryształowa kula, ale do takiego prostego zadania powinien wystarczyć. Aubrey podniósł pierścień i wsunął go na mały palec lewej ręki.

— No — rzekł. — Zobaczmy, co uda nam się odkryć.

Wróżenie ze szklanej kuli to pierwsza rzecz, jakiej się nauczył. We wszystkich trzech królestwach nie było dotychczas nikogo, kto robiłby to lepiej od Cyrila, a i Aubrey szybko opanował tę sztukę. Teraz zadał młodzieńcowi kilka pytań („Skąd jesteś? Jak się nazywa twój ojciec? Opisz mi twój dom”), przesuując dłonią po gładkiej powierzchni szkła. Niebawem we wnętrzu kryształu pojawiły się kolorowe smugi, które przybrały konkretne kształty. Aubrey popatrzył na małe, ruchome postacie, a potem skinął na jubilera.

— Sam zobacz — zachęcił.

Młody człowiek, który przedstawił się jako Benni Rosta, spojrział na niego z powątpiewaniem, a potem pochylił się i popatrzył na szkielek. Głośno wciągnął powietrze. — To mój ojciec! — wykrzyknął. — On... on siedzi; rozmawia z kimś. To chyba... tak, to moja ciotka. Widocznie opiekuje się nim podczas mojej nieobecności.

Rozpromieniony spojrział na Aubreya.

— Czuję się lepiej — powiedział.

Aubrey zdjął pierścień. Postacie w szkieleku natychmiast przybladły i zniknęły.

— Na to wygląda — rzekł. — Mówisz, że często ma te kłopoty z płucami?

Benni skinął głową.

— Co roku jest gorzej — powiedział. — Medycy z miasteczka dają mu leki, ale nic nie pomaga. Tego roku było gorzej niż kiedykolwiek.

Aubrey kiwnął głową.

— Czy masz może butelkę wody? — zapytał. — Taką, która nie będzie ci potrzebna w podróży?

— Chyba tak. Na pewno. — Benni spojrział pytająco.

— Zaczaruję tę wodę — wyjaśnił Aubrey. — Kiedy twój ojciec zachoruje, powinien pić ją po trosze, a wtedy wydobrzeje. Wody wystarczy mu na długo — nie będzie musiał pić więcej niż jeden kubek rocznie.

Benni mierzył go zdumionym, niedowierzającym wzrokiem.

— Możesz to zrobić? Aubrey uśmiechnął się.

— Tak — odparł — jeśli masz butelkę wody.

Benni dał mu dwugalonowy gliniany dzban ze szczelnym zamknięciem.

— Bardzo dobrze — rzekł Aubrey i otworzył dzban. Włożył palec do środka, maczając go w wodzie i wymawiając w myślach odpowiednie zaklęcie. Tego również nauczył się wcześniej; ulubioną klientką Cyrila była miła starsza pani, która cierpiała na duszności, a czarodziej zadawał sobie sporo trudu, żeby utrzymywać ją w dobrym zdrowiu.

Jednak Benni zdradzał lekki sceptycyzm.

— I to naprawdę go uleczy? — zapytał. — Ten... napój?

— Nie jest to wywar z ziół, taki jak sporządzają medycy — wyjaśnił Aubrey. — Będzie wyglądał jak woda i smakował jak ona. Jednak przyniesie mu ulgę. Nie mogę ci teraz tego udowodnić, ale możesz mi wierzyć.

— Widziałem jego twarz w moim pierścieniu — rzekł Benni. — Wierzę ci.

Kiedy skończyli z czarami, powrócili do spraw finansowych, spierając się o cenę naszyjnika. Benni twierdził, że usługi Aubreya były warte tej ozdoby, o ile nie więcej; Aubrey chciał jednak zapłacić przynajmniej częściowo, ponieważ uważał, że nie napracował się aż tak. W końcu rozstali się zadowoleni, obaj przekonani, że zrobili dobry interes, a Aubrey ponadto z miłym przeświadczeniem, że wyświadczył przysługę drugiemu człowiekowi.

W tym przyjemnym nastroju dopchał wózek do karczmy, postawił go przed nią, rzucił zaklęcie przeciwwłodziejowe i wszedł do ciepłego, ciemnego wnętrza. Zajął miejsce na końcu sali, kłaniając się innym klientom, gdy mijał ich stoliki. Po kilku minutach podeszła do niego Veryl, niosąc kufel piwa.

— Aha! W domu czarodzieja kończą się zapasy! — powiedziała. — Zastanawiałam się, kiedy do nas zajrzesz.

— Pomyślałem, że lepiej zrobię, przychodząc sam — rzekł Aubrey, uśmiechając się do niej.

— Miałaś rację.

— A więc przyszedłeś na obiad?

— Obiecałaś, że mnie nakarmisz. Nie pamiętasz?

Roześmiała się.

— Pamiętam. Wolisz szynkę czy wołowinę?

Miał ochotę na obie. U Glyrendena jadano przeważnie dziczyznę — sarninę, króliki lub przepiórki przynoszone przez Oriona.

— Chyba szynkę — odparł. — Ze wszystkimi dodatkami.

Wróciła po pięciu minutach, niosąc dwa talerze. Postawiła je na stole i usiadła naprzeciw Aubreya.

— Ja też zjem obiad — powiedziała. — Zgłodniałam przy pracy.

Przez chwilę jedli w milczeniu i Aubrey w duchu podziwiał jej apetyt. Lilith jadła tyle co nic, a jeszcze nigdy nie widział, żeby Arachne zjadła cokolwiek. Zapomniał, że kobieta może mieć równie zdrowy apetyt jak mężczyzna.

— I co dziś kupiłeś? — zapytała, kiedy uporała się już z większością swojej porcji.

Pomyślał o złotym naszyjniku, spoczywającym w czerwonym woreczku z aksamitu.

— Och, nic szczególnego — rzekł. — Ryż, cukier i ziemniaki.

Potrząsnęła głową.

— Ceny są straszne — powiedziała. — Wiem, że gospodarze stracili sporą część zbiorów w wyniku suszy, ale wydaje im się, że mogą żądać od mieszczan tyle, ile im się spodoba. My mamy pole kilka mil za miastem i całe szczęście! Nie sądzę, żebyśmy zdołali utrzymać się w interesie, gdybyśmy musieli kupować wszystko na targu.

— Niewiele wiem o cenach warzyw — rzekł Aubrey.

— Och, zanim tato otworzył karczmę, mieliśmy stragan na targowisku — powiedziała Veryl.

— Głównie z owocami i kukurydzą, ale kiedy tato kupił farmę starego Russeta, zaczęliśmy też siał zboże. Ja nie pracowałam w polu — tato wynajmował do tego ludzi — ale i tak naharowałam się na straganie, mówię ci! Od świtu na nogach! Rozstawianie stoiska, układanie owoców. Niech nikt mi nie mówi, że to lekka praca.

Aubrey nie mógł uwierzyć, że ktoś może tyle mówić; że ktokolwiek może tyle mówić. Wystarczyło, że od czasu do czasu przytaknął albo odpowiedział na jakieś nagłe, szybkie pytanie, a znów zaczynała trajkotać. Udawał zainteresowanie, ale zastanawiał się, jak długo będzie musiał siedzieć tu i słuchać. Denerwowały go także jej miny — śmiała się, krzywiła, marszczyła czoło lub unosiła brwi niemal przy każdym zdaniu, jakby podkreślając tą pantomimą sens swoich słów. Aubrey czuł, że od wymuszonego uśmiechu zaczynają mu drętwieć mięśnie twarzy.

— Bieganie i obsługiwanie wszystkich klientów też nie jest łatwe — mówiła. — Jednak przynajmniej pracuję pod dachem, więc nie ma znaczenia, czy pada deszcz, czy świeci słońce! Na rynku siedzieliśmy zimą i latem, w śnieg i pluchę. I powiem ci, że bywały naprawdę zimne dni, kiedy stałam tam sprzedając jabłka.

— Veryl! — zawołał ktoś z drugiego końca sali — męski głos, zapewne jej ojciec. Veryl zerwała się, chwytając talerz i kubek.

— Wygląda na to, że już po obiedzie — powiedziała, śmiejąc się do Aubreya. — Było miło, prawda?

— Bardzo miło — potwierdził. — Cieszę się, że mogłaś dotrzymać mi towarzystwa.

— Och, od czasu do czasu mam wolną chwilę — rzuciła niedbale.

— Veryl! — Jej ojciec wyraźnie się niecierpliwił.

— Na razie — powiedziała i ze śmiechem pomknęła do kuchni.

Aubrey szybko wypił resztę piwa, położył pieniądze na stole i wstał z krzesła. Jak mógł najszybciej wyszedł z karczmy i znów ruszył leśnym traktem. Nie chciał o tym myśleć,



więc nie wyciągał wniosków z tego popołudnia, ale jedno wiedział na pewno: może jeszcze nie raz wróci do tego miasteczka; może będzie tu uzupełniał zapasy lub szukał towarzystwa; może nawet znów spędzi pół godziny, słuchając, jak córka karczmarza streszcza mu historię swego życia. Jednak nie było tu niczego, co pociągałoby go; nic, na czym by mu zależało i co mogłoby go na dłużej niż jedno popołudnie wyciągnąć z zimnej, szarej fortecy Glyrendena lub sprawić, by choć na godzinę zapomniał o jej mieszkańcach.

Tego wieczoru przy kolacji Aubrey dał naszyjnik Lilith. Orion już skończył swoją porcję i schował się w kącie. Arachne sprzątała, prychając i sycząc na bałagan, jaki zostawili na stole. W pewnej chwili, gdy Lilith sięgnęła po kubek, Arachne uderzyła dłonią w stół obok niego, tak że Lilith zawahała się, zanim upiła kolejny łyk mleka z miodem.

— Mucha — powiedziała obojętnie Lilith, gdy Aubrey spojrzał na nią ze zdziwieniem. — Arachne nienawidzi ich.

Aubrey zastanawiał się, w jaki sposób wręczyć jej prezent, ale wszystkie wydawały mu się głupie. Kupiłem ci ten śliczny podarunek, ponieważ ty też jesteś śliczna... Myślę o tobie, śnię o tobie, chcę, żebyś mnie pamiętała — przyjmij ten prezent... Sięgnął do kieszeni i wyjął woreczek z czerwonego aksamitu.

— Masz — rzekł, podając go jej przez stół. — Kupiłem ci coś w miasteczku.

Bez zainteresowania wzięła od niego woreczek i wysypała zawartość na dłoń. Złoty łańcuszek rozwinął się i rozbłysnął w jej palcach.

— Naszyjnik — powiedziała. — O, dziękuję, Aubreyu.

— Oddałem przysługę jubilerowi na targu — powiedział Aubrey. — W zamian dał mi ten naszyjnik,

— Mogę go teraz założyć?

— Och, tak.

Zapięła go na szyi, przez moment walcząc z opornym zapięciem. Błyszczące ogniwa nie pasowały do matowoszarej, bawełnianej sukni z wysokim kołnierzem.

— I jak wygląda? — zapytała.

— Bardzo ładnie — odparł Aubrey. To nie była prawda; wyglądał śmiesznie i nie pasował do zgrzebnej sukni. Jednak Aubrey odczuwał dziwną przyjemność, wręczając tej kobiecie taką piękną ozdobę.—Mam nadzieję, że będziesz go często nosić.

Dotknęła satynowo gładkich, złotych ogniwi.

— Glyrenden będzie się dziwił, skąd go mam.

Aubrey zaśmiał się.

— Powiem mu, że ćwiczyłem umiejętność zmieniania kształtów i zrobiłem go dla ciebie z kawałka sznurka.

— I uwierzy ci?

— Chcesz wiedzieć, czy potrafiłbym zrobić coś takiego?

— Być może.

— Z pewnością mógłbym. Sam mnie tego nauczył.

— A więc nie ma powodu, żeby ci nie uwierzył.

Ani tego wieczoru, ani nigdy więcej nie rozmawiali już o naszyjniku, lecz Aubrey z zadowoleniem zauważył, że Lilith nosiła go przez cały tydzień. Pewnego ranka pojawiła się na śniadaniu bez niego, a po południu wrócił Glyrenden. Nie zakładała naszyjnika przez następne dwa dni, do czasu kolejnego wyjazdu męża.

## 9

Aubrey sam nie wiedział, czy cieszy się, czy żałuje, kiedy Glyrenden oznajmił im, że wrócił do domu tylko na dwa dni. Nieufność, jaką od początku budził w nim czarodziej, jeszcze pogłębiła się i utrwaliła, jednak miał ogromny podziw dla jego umiejętności — oraz niepohamowaną chęć nauczenia się wszystkiego, co mistrz zechce mu wyjawić. Ponadto,

zakochał się w jego żonie, co stawiało go w trudnej sytuacji, gdy Glyrenden zjawiał się przy stole w roli męża. Mimo to Aubrey, nadal usiłując myśleć racjonalnie, rozumiał, że wyjdzie mu na dobre, jeśli od czasu do czasu coś przypomni mu, że ta kobieta ma męża — a łatwo mógłby o tym zapomnieć pod nieobecność Glyrendena,

Tak więc zdołał okazać szczerze rozczarowanie, gdy Glyrenden powiedział, że niebawem wraca na królewski dwór.

— Tak szybko? — zapytał Aubrey. — Ostatnio rzadko tu bywasz.

— I tak będzie przez następny miesiąc czy dwa, bo na dworze dużo się dzieje — odparł mag. Pakował kryształki do sakwy i szukał zaklęć w magicznych księgach; zdawał się zaabsorbowany, ale nie zirytowany towarzystwem Aubreya.

— Znowu zmiany kształtów? — zapytał Aubrey.

Glyrenden rzucił mu podekscytowane spojrzenie.

— Nie tym razem — odrzekł. — To jedna z tych wypraw, podczas których iluzje służą mi lepiej niż przekształcanie.

— Nie ćwiczyliśmy iluzji, od kiedy tu przybyłem — przypomniał Aubrey.

Glyrenden zaśmiał się.

— Naprawdę? To muszę ci pokazać jakąś sztuczkę czy dwie. Podszedł do drzwi.

— Orionie! Arachne! Chodźcie tu na chwilę. Jesteście mi potrzebni.

Aubrey zdziwił się, ponieważ Glyrenden z zasady nie zapraszał do swej pracowni nikogo oprócz swego ucznia. Nie podobał mu się złośliwy humor czarodzieja i zastanawiał się, co naprawdę dzieje się na królewskim dworze. Nie po raz pierwszy stwierdził, iż z dezaprobatą myśli o królu i jego metodach.

Orion i Arachne weszli. Wielkolud trzymał się za plecami kobiety; oboje nie wyglądali na zadowolonych z wezwania. Arachne ukradkiem rozglądała się po pokoju, oceniając panujący tu bałagan i grube pokłady kurzu; Orion szedł niechętnie, powłócząc nogami po kamiennej posadzce i nie odrywając oczu od twarzy czarodzieja.

— Nie obawiaj się, nic ci się nie stanie — ostro skarcił go Glyrenden. — Po prostu stańcie tam, oboje, o tak. Dobrze. Spróbujcie się nie ruszać. Niezbyt atrakcyjna para, prawda? — ciągnął mag, nie próbując zniżyć głosu, zwracając się do Aubreya. — Czy wywraca ci się w żołądku, kiedy bierzesz od niej mięso albo siedzisz z nim przy stole?

Aubrey był tak wstrząśnięty okrutnym postępowaniem czarodzieja, że nie wiedział, co powiedzieć.

— Nie! Chcę powiedzieć, że... oboje wyglądają całkiem dobrze — dokończył kulawo. — Nie każdy człowiek jest piękny.

— Jednak magia mogłaby ich takimi uczynić — rzekł Glyrenden. — Ja mógłbym ich takimi uczynić. Mogę zrobić ich pięknymi. Patrz.

Mówiąc to, czarodziej uniósł ręce; teraz, jednym płynnym ruchem, poruszył palcami w powietrzu i opuścił ramiona. Zafascynowany i zniechęcony, Aubrey uważnie obserwował służących. Przez chwilę ich twarze zdawały się to rozmywać, to jarzyć słabą, luminescencyjną poświatą; potem mgielka zniknęła i znowu widział ich wyraźnie. A może nie...

Szeroka, owłosiona twarz Oriona zmieniła się, wyszczuplała; wciąż miał wydatne kości policzkowe i wysokie czoło, ale wyglądał jak zwyczajny, brodaty mężczyzna o przeciętnej inteligencji. Mała, gniewna twarz Arachne wygładziła się i wyładniała. Siwe włosy, ściągnięte do tyłu, miały przyjemny złoty połysk. Tak jak Orion, wyglądała jak przeciętna wieśniaczka napotkana na ulicy — zdecydowanie niezbyt urodziwa, ale na pewno nie brzydka.

— Co zrobiłeś? — zapytał Aubrey z przestachem i podziwem.

— Och, to tylko zręczna sztuczka — padła niedbała odpowiedź. — Złudzenie, nie transformacja. Widzisz?

Glyrenden znów poruszył palcami i złudzenie zniknęło. Obie postaci odzyskały znajomy wygląd, cierpliwie czekając na rozkaz pana. Glyrenden uśmiechnął się.

— Chwilowa aberracja. Możecie już odejść — powiedział sługom, po czym wielkolud i kobieta wyszli z pracowni.

— Imponujące — rzekł Aubrey, ponieważ musiał coś rzec.

— Jesteś w tym równie dobry jak we wszystkim.

Glyrenden ponownie zaśmiał się pobłaźliwie.

— Och, wolę czystą alchemię — odparł — jednak często zdarza się, że nie można się nią posłużyć. Mimo to zdziwiłbyś się, jak wielu ludzi wierzy w złudzenia, nawet kiedy iluzja znika. Gotowi są uwierzyć, że fałsz jest prawdą, a prawdziwym obliczem jest to, które było ułudą.

— A jak można je rozróżnić? — zapytał spokojnie Aubrey.

Glyrenden rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć, że nie wie.

— Czy to ważne? — spytał łagodnie. — Kiedy iluzja jest lepsza od nagiej rzeczywistości?

— Ważne — rzekł Aubrey.

— Musisz być przygotowany na przykre niespodzianki, jeśli zamierzasz nieustannie poszukiwać ziarnka prawdy — przestrzegł go Glyrenden.

— Jednak magia opiera się na prawdzie — rzekł Aubrey. — Nie rozumiejąc, czym naprawdę jest dana rzecz, nie można jej odkryć ani zmienić.

— Jednak sercem magii jest iluzja — stwierdził Glyrenden.

— A bez łatwowiernych ludzi w ogóle by jej nie było.

Glyrenden odjechał wieczorem, lecz jego niepokojące słowa pozostały w pamięci, tak samo jak wspomnienie zmienionych przez niego twarzy służących. Następnego dnia przy śniadaniu Aubrey stwierdził, że wciąż wspomina urządzony przez Glyrendena pokaz, obserwując Oriona i Arachne uważniej niż kiedykolwiek. Sam nie wiedział, dlaczego to robi, co spodziewa się wyczytać w ich upartych, znajomych rysach. W końcu nie zostali przecież na stałe zmienieni w pracowni czarodzieja. Byli tacy sami jak zawsze, a jednak... jednak...

Arachne znów uwijała się wokół stołu tymi szybkimi, bocznymi kroczkami, poruszając rękami tak szybko, że wydawało się, iż ma ich cztery lub osiem — na pewno nie dwie. Jej błada skóra była dziwna, grubsza od normalnej, z lekkim wilgotnym połyskiem nie pochodzącym od potu. Aubrey spojrzał na jej twarz, próbując zajrzeć w oczy, lecz miała odwróconą głowę i nie patrzyła w jego kierunku. Przebiegając koło niego, mamrotała jakieś przekleństwa; oderwane słowa pozbawione sensu, jak zawsze.

Orion, jak zwykle, w niebywałym pośpiechu skończył posiłek i podniósł się powolnym, chwiejnym ruchem, jakby ta czynność przychodziła mu z trudem. Potrząsnął głową tak gwałtownie, że cały zadygotał; potem szeroko ziewnął, ukazując wielkie, ostre zęby. Nikt nic mu nie powiedział; zakłopotane spojrzenie Aubreya rozzłościło go, więc groźnie popatrzył na młodzieńca, zmuszając go, by odwrócił wzrok. Orion stał chwilę, jakby czekając na rozkazy. Nie doczekawszy się, znów ziewnął, poczłapał do swojej pryczy i wyciągnął się na niej. Po chwili już spał.

Tych dwoje stanowiło przedziwną parę; wpatrując się w swój talerz Aubrey czuł, jak budzi się w nim straszne podejrzenie. Odłożył widelec, nagle tracąc apetyt. Dziwny mężczyzna i dziwna kobieta; jednak on przez minione tygodnie zgłębiał naturę różnych istot i nie sądził, aby którekolwiek z tych dwojga przyszło na świat jako człowiek. Nie mieli w sobie czegoś, co mają ludzie; ich ciała zdawały się mieć wszystkie potrzebne organy, a ich twarze ludzkie rysy, ale nie były to ciała i oblicza, jakie posiadali kiedyś. Zostali zmienieni; a Aubrey znał w tym królestwie tylko jednego człowieka, który praktykował sztukę zmieniania kształtów.

— Kiepsko wyglądasz — powiedziała Lilith, a jej głos przedarł się przez falę obrzydzenia, która sprawiła, że Aubrey mocno ścisnął rękami stół. — Czy mam wysłać Arachne po jakieś lekarstwo? Sądzę, że mój mąż trzyma pod ręką wszelkie potrzebne zioła.

Z pewnością, ale Aubrey nie miał najmniejszej ochoty zażywać czegoś, co Glyrenden zmieszał i zostawił. Potrząsnął głową.

— Nie, dziękuję — rzekł zduszonym głosem. — Myślę, że chyba pójdę już spać.

Tak też zrobił i nawet zdołał zasnąć. Jednak po przebudzeniu nadal czuł tę kulę podchodzącą do gardła; teraz była jeszcze większa.

— Zmyśliłem to sobie — rzekł głośno. — Mam gorączkę i wyobrażam sobie różne rzeczy.

Jednak wcale nie miał podwyższonej temperatury i myślał całkiem trzeźwo; w głębi serca wiedział, że odkrył prawdę.

Następne dwa dni spędził poza domem, polując zjedną z pięknych, dobrze naoliwionych strzelb Glyrendena. W domu, poinformowała go Lilith, były dwie takie fuzje i mąż już dawno powiedział jej, że Aubrey może ich używać. Teraz sprawdził obie i znalazł je w znakomitym stanie, więc zapytał Lilith, którą z nich woli Orion zabierać na polowanie. — Musisz go zapytać — odparła. — Nigdy nie widziałam, żeby wychodził z domu z bronią w ręku.

Jednak Aubrey nie zapytał, gdyż nie chciał, aby Orion odpowiedział mu, że chwytą zwierzynę gołymi rękami. Wybrał jedną ze strzelb i opuścił dom, aby wrócić po zmroku. Opuścił wspólną kolację, więc pospiesznie zjadł w kuchni sam i udał się do swojej sypialni. Tam znów zdołał zmusić się do snu, lecz rano znowu zbudził się z tą samą kulą w gardle.

Wczesnie zjadł śniadanie, naładował broń i rażno ruszył w las. Nie potrzebowali mięsa, gdyż poprzedniego dnia powiodło się zarówno jemu, jak i Orionowi, ale Aubrey nie miał zamiaru przez cały dzień siedzieć spokojnie w domu i trapić się okropnymi domysłami. Tak więc polował lub raczej udawał, że poluje; a Glyrenden miał wrócić nazajutrz.

Zawędrował aż do jeziora, przy którym był kiedyś z Lilith, zanim odzyskał równowagę ducha. Wyszedł na polankę, oparł strzelbę o pień drzewa i usiadł na szczycie pagórka, z którego miał dobry widok na cały ten uroczy zakątek. Tak jak przedtem, wiewiórki bawiły się, skacząc z gałęzi na gałąź; ptaki kreśliły zawile wzory na bezchmurnym niebie. Jeleń wyszedł na brzeg jeziora, żeby się napić. Aubrey siedział tak cicho, zatopiony w myślach, że wszystkie te stworzenia nie obawiały się go i nie uciekały.

Jeżeli człowiek potrafi zmienić się w zwierzę, to może też przemienić zwierzę w człowieka. Z jakiegoś powodu Aubrey nigdy nie uzmysłowił sobie tej logicznej konsekwencji zaklęć zmieniających kształt. Oczywiście, może to nieprawda; nie miał dowodu, a nie mógł po prostu zapytać o to maga — czy ten dla rozrywki dokonuje transmogryfikacji bezradnych zwierząt. Jednak same zaklęcia były dość proste — kiedy znało się budowę ciała, krwi i tkanek...

Jeleń nad jeziorem znów opuścił łeb, żeby pociągnąć łyk wody. Mógłbym to zrobić, pomyślał Aubrey, gdy przyszła mu do głowy niechciana, lecz wyraźna myśl. Mógłbym być tym jeleniem i napić się wody. Dostatecznie długo uczyłem się o nim.

Ta myśl sprawiła, że po raz pierwszy od wielu dni ożywił się i z trudem zachował spokój, aby w pełni wykorzystać swoje zdolności. No cóż, przecież znał niektóre zaklęcia. Jednak nie wypróbował ich pod nadzorem mistrza, co zawsze należało zrobić w przypadku niebezpiecznych czarów; tak nakazywał zdrowy rozsądek. Może potrafi zmienić się w jelenia, ale czy zdoła przemienić się z powrotem? Czy zwierzę będzie pamiętało to, co wiedział człowiek i czy będzie rozumowało w ten sam sposób? Może tak; może nie. Byłby głupcem, gdyby ryzykował.

Jednak wstał, podjąwszy już decyzję.

Szybko rozebrał się do naga, składając ubranie na kupkę obok opartej o drzewo strzelby. Potem, wszedłszy w smugę słońca wpadającego przez szparę w gęstym listowiu, opadł na kolana i oparł dłonie na ziemi. Zamknął oczy i przypomniał sobie wszystko, co wyczytał w księgach Glyrendena; dokładną lokalizację każdego mięśnia i kości w ciele jelenia, dokładny ciężar rogów na jego łbie, długość szczęki i twardość ostrych kopyt. Nie wymówił zaklęcia głośno, ponieważ każdy prawdziwy czarodziej umie rzucać je w milczeniu — i powiedział je tylko raz.

Otworzył oczy dopiero, gdy przemiana była kompletna. Świat wydał mu się tak inny, że z początku uznał, że wypowiedział złe zaklęcie i przeniósł się do zupełnie innego lasu w całkiem innym królestwie. Jednak zaraz zobaczył strzelbę opartą o pień oraz stosik rzeczy obok niej, chociaż fuzja wydawała się trzykrotnie większa, a ubranie wyglądało zupełnie obco. Zrozumiał, że stał się jeleniem.

Znów spojrzął przed siebie. Tak, była tam woda, chociaż teraz nie widział jej spokojnej, szarozielonej toni. Jezioro było większe i prawie idealnie okrągłe; nawet stąd widział głazy pod powierzchnią wody i pływające tam ryby. Każde drzewo między nim, a brzegiem jeziora nabrało znaczenia; stwierdził, że ocenia odległość między nimi, spoglądając na każde jak na potencjalną kryjówkę przed niebezpieczeństwami czyhającymi na otwartej przestrzeni. Jednak chociaż pozostały nieszkodliwymi drzewami, wyglądały teraz inaczej niż przedtem. Ich liście nie były czerwone lub żółte, brąz osik nie różnił się od brązu dębów. Prawdę mówiąc, niewiele dostrzegał kolorów, chociaż wszystko — każdy przedmiot czy zwierzę w tej gęszy — było wyraźne i ostre; rozpoznawał nawet takie, których jeszcze nigdy nie widział, a przynajmniej nie zauważał.

Niepewnie podniósł jedną nogę — tę, która była jego lewą ręką, przy czym poczuł ten szczególny skurcz mięśni od pęciny po niską, sterczącą łopatkę i przez pierś. Ostrożnie postawił ją na ziemi i podniósł drugą nogę; potem, kolejno, tylne. Następnie, jeszcze ostrożniej ruszył naprzód, czując wzajemne oddziaływanie kości oraz ścięgien i łapiąc w nozdrza najbogatszą mieszaninę zapachów, jaką kiedykolwiek wąchał.

Pozostał jeleniem przez większość dnia, z rosnącą pewnością siebie chodząc tam i z powrotem po pagórku oraz wokół samego jeziora. Odkrył przyjemność biegania w ciele stworzonym do biegu; w powietrzu unosiło się tyle zapachów, że wdychanie ich było prawdziwą ucztą. Słyszał rozmaite dźwięki, które nawet z daleka przynosiły mu przeróżne informacje, ale żaden nie zapowiadał czającego się niebezpieczeństwa. Widział inne jelenie podchodzące do wodopoju, ale trzymał się od nich z dala, pozostając w lesie, nie chcąc ich spłoszyć. Instynktownie wiedział, że wyczułyby jego obcość. Jednak pewnego dnia zdoła wejść między nie i pić razem z nimi, a one nie zauważą, że nie jest jednym z nich.

Pozostał jeleniem prawie do zachodu słońca, a potem wrócił do swojej strzelby i sterty rzeczy. Przemiana powinna być trudna, tymczasem okazała się łatwa. Od kiedy spojrzął na świat oczami jelenia, ale myśląc jak człowiek, Aubrey wiedział, że zdoła zdjąć czar. Musiał zrobić to z namysłem, powoli, nie chcąc popełnić błędu, lecz poszło mu to łatwiej niż poprzednio i znów stał się człowiekiem. Na czworakach, nagi i oszołomiony, ocknął się w powoli mroczniejącym i bajecznie kolorowym lesie, a wszystkie zapachy i dźwięki — tak wyraźne przez cały dzień — stały się ledwie wyczuwalne lub ucichły. Potrząsnął głową, po czym usiadł i wyprostował nogi.

Był zmiennokształtnym.

Glyrenden wrócił nazajutrz w tak kiepskim humorze, że Orion chował się przed nim, Arachne nie wychodziła z kuchni, a Lilith i Aubrey starali się nie odzywać. Poprzedniego dnia Aubrey postanowił nie wspominać o swych niezwykłych postępkach i wcale nie rozmawiał z Glyrendenem aż do śniadania następnego dnia.

— Wyprawa nie udała się? — zapytał z szacunkiem, gdy Glyrenden wciąż marszczył brwi.

— Ależ skąd — odparł czarodziej. — Dlaczego pytasz?

Tego dnia zajęcia nie szły im gładko, gdyż Aubrey z trudem ukrywał fakt, że jego umiejętności wykraczają już poza proste ćwiczenia; w wyniku tego miał trudności nawet z rzucaniem dobrze znanych mu zaklęć. Jednak te niepowodzenia sprawiły, że Glyrenden odzyskał dobry humor, więc Aubrey uznał, że nie trudził się na próżno.

— Stary Cyril napomynał o twoich zdolnościach, zanim cię do mnie przysłał — rzekł Glyrenden w czasie przerwy na obiad, który Arachne przyniosła im do pracowni. — Muszę przyznać, że tylko raz czy dwa dałeś mi ich dowód. Może po prostu trudno się tego nauczyć, co? Umiem zmieniać kształty od tak dawna, że już nie pamiętam, ile czasu zajęło mi nauczanie się tego.

Aubrey był dotknięty tą aluzją, ale usiłował to ukryć.

— Miałeś przede mną wielu uczniów? — zapytał. — Czyżbym był najmniej pojętym z nich?

Glyrenden pociągnął łyk piwa i obdarzył Aubreya nieco złośliwym uśmiechem.

— Ty jesteś pierwszy — odparł.

— Naprawdę? Dlaczego?

— Nigdy nie miałem ochoty brać uczniów. Zajmują czas i zmuszają do zmiany planów.

— Czemu zatem zgodziłeś się przyjąć mnie? Uśmiech — o ile to było możliwe — stał się jeszcze bardziej złośliwy.

— Ponieważ Cyril przekonał mnie, że jesteś szczególnie zdolny.

To stwierdzenie nie wymagało odpowiedzi.

Aubrey z zadowoleniem dowiedział się, że za dwa dni Glyrenden znów wyjeżdża i tym razem nie będzie go ponad tydzień. Będzie miał więcej czasu na doskonalenie swoich nowych umiejętności. Jednak, oczywiście, nie powiedział tego głośno.

— Może kiedyś weźmiesz mnie ze sobą — rzekł, chociaż już wcześniej zrozumiał, że Glyrenden nigdy nie zabierze go ze sobą. Jednak teraz cieszył się z tego.

Glyrenden roześmiał się.

— Twoje towarzystwo byłoby dla mnie niezmiernie kłopotliwe, przynajmniej tym razem. Może kiedyś. Jeśli bardzo mnie poprosisz.

Aubrey pokrył niechęć uśmiechem.

— Prosiłem raz czy dwa, od kiedy tu przybyłem, lecz nie uległeś. Widocznie nie poruszają cię prośby.

— O nie, mylisz się. Bardzo lubię ich słuchać.

— Zatem może, jeśli ładnie poproszę, nauczysz mnie czegoś nowego — rzekł Aubrey, zmieniając temat. — Dzisiaj nie poszło mi najlepiej, a chciałbym podczas twej nieobecności poćwiczyć coś nowego.

Glyrenden przez moment patrzył nań zmrużonymi oczami, a potem wykrzywił usta w złośliwym uśmiechu.

— Nauczę cię czegoś — rzekł i podszedł do wąskiego hebanowego stolika pod przeciwległą ścianą. Po chwili namysłu wziął do ręki srebrny posążek nagiej kobiety wyciągającej ręce nad głową.

— Mam sentyment dla tej figurki — rzekł. — Jednak już nie podoba mi się jej kolor. Możesz przemienić ją w złotą?

Aubrey z uśmiechem wziął posążek z rąk Glyrendena, poczuł w palcach gładki, chłodny metal.

— Mogę spróbować — rzekł i w myślach wymówił zaklęcie.

Mimo wcześniejszych niepowodzeń był zdumiony, gdy srebrna figurka nie zmieniła się natychmiast w złotą. Nauczony się zmieniać skomplikowane układy swego ciała, nie spodziewał się kłopotów przy transformacji tak pospolitego, nieożywionego obiektu. Czyżby pomylił zaklęcie? Zacisnął palce i spróbował jeszcze raz.

Glyrenden, jak zwykle, mówił.

— Idealna kobieta, prawda? — rzucił niedbale. — Każdy rys twarzy, piersi; prawie można sobie wyobrazić kolor i gładkość jej skóry, gdyby żyła. gdyby była człowiekiem. Po co sięga, wyciągając tak ręce? Po pocałunek mężczyzny? Po ciepło słonecznych promieni? Myślę, że po prostu lubi czuć gibkość i zwinność własnego ciała. Pewnie właśnie wstała z łóżka, w którym śpi kochanek i pomyślała, że teraz, za dnia, jej ciało znów należy do niej. Ona wie, że w nocy należało do niego — tak jak poprzedniej i następnej — jednak teraz czuje się samotna, czysta i wolna.

Jak zwykle, sens słów Glyrendena rozpraszał Aubreya, gdyż czarodziej zawsze wygłaszał długie, złowrogo sugestywne monologi, usiłując odwrócić jego uwagę. Wiedział jednak, że gdyby nawet był sam w pokoju, a Glyrendena nie byłoby w pobliżu, nie zdołałby przemienić statuetki w złoto. Sięgnął myślą do podstawowej, pierwotnej struktury odlewu; czuł molekularne wiązania łączące nieskończenie małe cząsteczki, lecz nie potrafił ich rozerwać i przekształcić. Figurka opierała się alchemii. Ten fakt doprowadzał go do szału, ale nie zdradzał się z tym przed czarodziejem. Glyrenden chciał go czegoś nauczyć — lub, być może, dowieść czegoś — i tylko pokora pozwoli Aubreyowi dowiedzieć się, czego.

Odstawił posążek na biurko Glyrendena.

— Nie mogę jej zmienić — przyznał. — Moja magia na nią nie działa.

Glyrenden uśmiechnął się z zadowoleniem. Pogładził figurkę, pozostawiając ją tam, gdzie postawił ją Aubrey.

— A jednak ona jest podatna na magię — rzekł. — Bo nie zawsze była kobietą ze srebra.

Wtedy Aubrey zrozumiał.

— Już została przemieniona — powiedział.

Glyrenden skinął głową. Jego palce nadal przesuwają się pieszczotliwie po wypukłościach i płaszczyznach metalowego ciała.

— Piękna — rzekł. — Wyrzeźbiona z wiśniowego drzewa, ciemnego jak porto. Słoje drzewa oplotły czarnymi splotami jej talię i utworzyły bransolety na jej ramionach. Jednak kiedyś pogładziłem jej pierś, po czym znalazłem wbitą w dłoń drzazgę

— i to był koniec drewnianej dziewczyny.

Glyrenden zaśmiał się z czegoś, o czym wiedział tylko on.

— A któżby chciał dziewczynę z drewna? — zapytał. — Kto przytuliłby driadę? Zawsze lepsza taka z krwi i kości.

Aubrey miał dość czekania; chciał poznać morał.

— Dlatego stała się srebrną damą — powiedział. — Czy na zawsze pozostanie srebrną? Czy może zmienisz ją w złotą?

Glyrenden obrzucił go szybkim, przenikliwym spojrzeniem swych matowych, czarnych oczu.

— Mógłbym zmienić ją, gdybym chciał — odparł szorstko.

— Ja ją zmieniłem i jej postać odpowiada mojemu życzeniu. Jednak ty nie możesz. Dla ciebie ona nigdy się nie zmieni.

A więc Glyrenden chciał czegoś dowieść.

— Nigdy? Nie możesz nauczyć mnie zaklęć zmieniających coś, co powstało z czegoś innego?

— Są takie zaklęcia—odrzekł czarodziej—ale to, co zostało przemienione przez jednego człowieka, nie może być zmodyfikowane przez innego. To, co zmieniłem w kamień, srebro lub diament, pozostanie takie, choćbyś rzucał nie wiem ile zaklęć.

— Niegdyś, dawno temu, zmieniłeś cześć oceanu w płomień, a ja z powrotem przemieniłem go w wodę — powiedział Aubrey.

— Jeśli tamto było możliwe, dlaczego nie to?

— Ponieważ chciałem, abyś znalazł ocean w płomieniu. Nie zabezpieczyłem rzuconego czaru.

— Zdaję sobie sprawę z tego, że jesteś potężniejszym czarodziejem ode mnie — rzekł spokojnie Aubrey — ale czy inny, większy mag nie zdołałby obejść twoich czarów?

— Nie — odparł Glyrenden. — Bowiem czar zmiany kształtu jest nieodwracalny.

Aubrey spojrzał w te czarne oczy, starając się wyglądać niewinnie i pokornie; wiedział, że tamten kłamie. Nie miało to większego znaczenia; nie zdołał przełamać rzuconego czaru tym razem, więc prawdopodobnie nie uda mu się to, jeśli spróbuje ponownie. Co wcale nie świadczyło, że zaklęcie jest nieodwracalne. Nie dowodziło także, że Glyrenden mógł dowolnie zmieniać każdy obiekt, jaki znalazł się w zasięgu jego wzroku. Po prostu oznaczało to, że aby go pokonać, Aubrey musi znaleźć lepszego czarodzieja — albo samemu stać się lepszym.

## 10

Nazajutrz rano Glyrenden wyjechał. Dwa dni później przybył z wizytą Royel Stephanis.

Tego ranka Aubrey i Lilith zabawili dłużej przy śniadaniu. Od powrotu z pałacu Farena Rochester'a Aubrey starał się spędzać jak najmniej czasu z Lilith, lecz nie potrafił zrezygnować z tych wspólnych porannych posiłków. Czasami siedzieli przy stole aż do południa, niewiele mówiąc, ale nie chcąc opuszczać pomieszczenia. Tego dnia dochodziła dziesiąta, kiedy w całym domu rozległ się głuchy, przeciągły brzęk.

— Co u licha... ? — zaczął Aubrey, podnosząc się z krzesła, chociaż Lilith nie ruszyła się ze swego.

— To dzwonek. Do frontowych drzwi. Ktoś przyszedł.

Aubrey usiadł z powrotem.

— Gość? Kto? Nikt was nie odwiedza.

Wzruszyła ramionami i podniosła kubek mleka z miodem.

— Zapewne ktoś do Glyrendena.

Upiła łyk. Arachne, która sprzątała po śniadaniu, nadal zaciekle szorowała blat stołu. Orion już dawno wyszedł.

— Nie zamierzasz otworzyć? — spytał w końcu Aubrey.

— Może ten ktoś pójdzie sobie — powiedziała Lilith. — Może już to zrobił.

Rzeczywiście, przeraźliwy szcęk przycichł i całkiem ustał. Aubrey zastanawiał się, kto też przyszedł szukać czarodzieja.

— To pewnie ktoś z miasteczka — rzekł. — Może Glyrenden zamówił dla ciebie nowe suknie.

— Nie sądzę.

— Zatem może to jakiś handlarz z rachunkiem, który Glyrenden zapomniał zapłacić.

— Nigdy nas tu nie niepokoją.

— No cóż...

Jednak zanim Aubrey zdążył wygłosić kolejne przypuszczenia, znów rozległ się ten straszliwy hałas, rozbrzmiewając echem w całym domu. Aubrey wstał.

— Ktoś uparty — orzekł. — Pójdę sprawdzić kto, dobrze?

Lilith wzruszyła ramionami i Aubrey wyszedł. Idąc ostrożnie przez zakurzony przedsionek zauważył, że nie ma w nim już żadnych śladów, jakie on i Lilith pozostawili w dniu, kiedy przyniesiono jej suknie. W tym domu ślady ludzkiej bytności szybko znikają; nawet kamienie i cegły zdawały się nie cierpieć jego mieszkańców i próbowały negować ich obecność.

Masywne frontowe drzwi nie były zamknięte, ale klamka zardzewiała i otwarcie ich zajęło Aubreyowi dobrą chwilę. Kiedy w końcu zdołał je uchylić, pożałował, że się fatygował, zamiast zostać w kuchni z Lilith. Nie miał ochoty zapraszać Royela Stephanisa do środka.

— Milordzie — rzekł uprzejmie, lecz niemiłym tonem. — Pan domu jest nieobecny. Czy mogę ci w czymś pomóc?



Royel najwyraźniej równie niechętnie patrzył na Aubreya, jak ten na niego.  
— Ja... to jest... nie, wiem, że go nie ma — rzekł młodzieniec, zacinając się z wrażenia. — Jest na królewskim dworze. Wiem. Przybył tam dzień czy dwa... widzisz... ojciec posłał mnie na dwór, żebym służył królowi, więc...

— No cóż, w takim razie najlepiej zrobisz, jeśli tam wrócisz  
— rzekł nieuprzejmie Aubrey.

Zamierzał zamknąć drzwi, ale ciężko było je ruszyć, a Royel poruszał się szybciej, niż Aubrey myślał. Zanim zdążył go *zatrzymać*, przybysz znalazł się już w brudnym przedsionku.

— Czy ona tu jest? — zapytał cicho.

— Żona czarodziejka? — spytał Aubrey z lekkim naciskiem.

— Tak.

— To z nią chcę się widzieć.

Aubrey nie był u siebie; nie mógł zabronić nikomu wstępu do tego domu, chyba że na wyraźną prośbę Lilith lub Glyrendena. Westchnął w duchu i skierował się do kuchni.

— Tędy — rzucił przez ramię. Słyszał, jak Royel brnie za nim przez pokłady kurzu.

W kuchni nic się nie zmieniło. Arachne nadal atakowała nie widoczne plamy na drewnianych blatach. Lilith wciąż siedziała przy stole, popijając mleko. Żona zmiennokształtnego nie wyglądała na zaskoczoną czy rozgniewaną widokiem Royela; nie sprawiała też wrażenia zadowolonej, zmieszanej czy pewnej siebie. Było jej to zupełnie obojętne.

— Milady — rzekł Royel, obdarzając ją niezastudzonym tytułem i głębokim ukłonem, godnym królowej. — Miałem nadzieję, że ujrę cię ponownie.

Marszcząc brwi, Aubrey opadł na krzesło obok Lilith i wskazał na puste krzesło naprzeciw siebie.

— No cóż, skoro waść przybyłeś, równie dobrze możesz usiąść — powiedział, osiągając szczyty nieuprzejmości. — Jadłeś coś? Jesteś głodny?

Royel nie odrywał oczu od twarzy Lilith; na oślep znalazł krzesło, przysunął je sobie i usiadł.

— Głodny? — powtórzył. — Ja nie... nie sądzę, abym był głodny.

Aubrey ponownie stłumił westchnienie.

— Arachne, jeśli zostało coś do jedzenia, zechcesz podać mu talerz?—zapytał. Mamrotanie Arachne natychmiast przybrało na sile, będąc formą protestu; zaczęła szczełkać garnkami, przygotowując Royelowi posiłek.

— Jesteś równie piękna, jak cię zapamiętałem — przemówił Royel do Lilith. — Przez kilka ostatnich tygodni nieustannie cię wspominałem. Nie mogłem myśleć o niczym innym, tylko o twojej białej skórze i zielonych oczach.

Aubrey zerwał się z krzesła.

— Mam sprawy do załatwienia — oznajmił. — Royelu, staraj się nie zapominać o tym, że ta dama jest zamężna. W domu jest służba, a i ja będę w pobliżu. Nie rób niczego, co okryłoby niesławą nazwisko twego ojca.

Lilith spojrzała na niego, kiedy wstał. Nie odezwała się słowem, od kiedy Royel wszedł do kuchni i nic nie powiedziała teraz, chociaż Aubrey zaczekał, sądząc, że miała taki zamiar. Jednak ona tylko obrzuciła go przelotnym spojrzeniem, a potem znów wbiła oczy w talerz. Aubrey wyszedł.

Tak jak obiecał Royelowi, przez kilka następnych godzin pozostał w pobliżu domu, rąbiąc drewno i podejmując nieskuteczne próby odchwasczenia ogródka otaczającego dom. Jednak wcale nie podejrzewał, by Royel podjął jakieś próby fizycznego uzewnętrznienia namiętności; po pierwsze, był na to zbyt niewinny, a po drugie, zbyt dobrze wychowany. Mimo to Aubreya niepokoiło to, co Lilith mogła powiedzieć lub zrobić, gdyby doszło do takiej sytuacji. Czy zawołałaby go na pomoc? Walczyłaby z tym młodym człowiekiem?

Złapałaby coś i sama zaatakowałaby napastnika? Czy też wzruszyłaby ramionami i uległa, tak jak godziła się z wieloma upokorzeniami; nie dbając o to, kto ją trzyma, pożąda i kocha; nie mając ani krzty szacunku dla ograniczeń jej ciała i wymagań duszy?

Zapadał zmrok i Aubrey był już głodny, gdy Royel wyszedł z domu — sam. Młodzieniec rozejrzał się wokół, jakby szukając znajomych punktów odniesienia w postaci słońca lub gwiazd; spostrzegł Aubreya i podszedł do niego. Młody czarodziej jeszcze nigdy nie widział tak żalosnej i zgnębionej miny.

— Nie chciała mnie słuchać — oznajmił Royel bez żadnych wstępów. Jakbym, pomyślał z lekkim oburzeniem Aubrey, był jego zaufanym i współnikiem; jakby oczekiwał mojego współczucia. — Mówię jej, że ją kocham, a ona się odwraca.

— A czego oczekiwałeś? — zapytał Aubrey. — Ona ma męża.

— Nie kocha go.

— Podzieliła się z tobą tą informacją?

— Nie.

— Zatem podsunęła ci to niezwykłą intuicją?

— To prawda. Jestem pewny. Ona go nie kocha, nie może.

Aubrey powtarzał to sobie wielokrotnie, ale nie miał na to żadnego dowodu.

— Została z nim — przypomniał zimno. — A miała wiele okazji, żeby go opuścić.

— Może nie ma dokąd iść. Jednak... gdyby przyszła do mnie...

— Może tak zrobi — wydusił z siebie Aubrey — jeśli będzie wiedziała, że ma szansę.

Przez moment Royel nie odpowiadał. Spoglądał na czubek swego drogiego buta, którym wiercił dziurę w suchej ziemi.

— Nie mogę myśleć o niczym innym oprócz niej — powiedział w końcu cicho i bezradnie.

— Od kiedy ujrzałem ją w pałacu Farena Rochestera, dzień i noc mam przed oczami jej obraz. Nie chcę rozmawiać z innymi kobietami w domu mego ojca czy na królewskim dworze — ich głosy wydają mi się ochryple, a piskliwe śmiechy rozdzierają uszy, aż boli mnie głowa. Łącznie spędziłem najwyżej jeden dzień w jej towarzystwie, a w tym czasie może przez trzy minuty patrzyła mi w oczy, a jednak wspomnienie jej twarzy jest tak żywe w mojej pamięci, że wiem, iż do końca życia nic mnie tak nie poruszy. Jestem odurzony. Jestem oczarowany. Wiem, że jej mąż jest czarodziejem i zastanawiam się, czy rzucił na mnie urok. Jednak nigdy nie poprosiłbym, żeby go cofnął, zdjął czar — abym o niej zapomniał. Nawet jeśli do końca życia nie spędzę drugiego dnia w jej towarzystwie, miałem już ten jeden i to mi wystarczy — pomoże mi przetrwać inne, puste dni.

Aubrey nie był w stanie odpowiedzieć na tę niezwykłą przemowę. Czuł się tak, jakby młody poeta znalazł ten tekst wyryty w jego własnym mózgu i zamienił uczucia w słowa. Royel rzucił mu ponure spojrzenie spod cienkich, czarnych brwi.

— Wiem — ciągnął nieco szybciej — że jest w niej coś dziwnego. Wiem, że ona różni się od innych kobiet. Zawsze interesowali mnie ludzie okaleczeni, zdeformowani lub dziwni. W domu mego ojca był garbus, okropny człowiek — wszystkie dzieci uciekały przed nim, a kobiety wrzeszczały, kiedy podchodził. Był moim przyjacielem i nauczył mnie wielu rzeczy. Interesowały mnie wiejskie czarownice i wioskowi idioci, którzy w zadziwiający sposób porozumiewali się ze zwierzętami. Jeżeli na drodze zaczepia mnie jakiś żebrak, to na pewno ma sześć palców, albo jedno oko niebieskie, a drugie czarne. Wiem, że jest we mnie jakaś dziwna struna — grająca tylko przy zetknięciu z równie nieskładną muzyką. Nic na to nie poradzę. Nie mogę się zmienić. I kocham ją.

Aubrey podniósł rękę i delikatnie położył ją na ramieniu chłopaka.

— Twoje uwielbienie rzeczy dziwnych i niezwykłych dobrze o tobie świadczy — rzekł łagodnie. — Urodziłeś się, aby zostać świętym — a na pewno poetą. Jednak miłość do niej nie przyniesie ci niczego dobrego. Lepiej już nigdy tu nie wracaj.

Royel odsunął się od niego w nagłym przypiływie determinacji, zapominając o chwilowej rozpacz.

— Ona go nie kocha — powiedział z przekonaniem.

— Sądzę, że ona nikogo nie kocha — odparł Aubrey.

Royel Stephanis odjechał o zmroku, chociaż Aubrey poczuł się zobowiązany zaproponować mu nocleg. Lilith patrzyła, jak odjeżdżał — ciemna sylwetka na tle czerwonego nieba — ale nie wyglądała na zasmuconą.

Zjedli kolację, patrzyli, jak Arachne sprząta kuchnię i zagrali trzy partyjki „osuszania studni”, zanim Aubrey poruszył temat wizyty młodego lorda.

— Wygląda na miłego młodzieńca — zaczął.

— Kto?

— Royel Stephanis. A o kim mógłbym mówić?

Wzruszyła ramionami.

— Lubisz go? — naciskał.

— Nie czuję do niego niechęci.

— To niewiele mi mówi.

Uśmiechnęła się.

— A co chcesz usłyszeć? — spytała posłusznie. — Wyjaśnij mi, a powiem ci to.

— Chcę, żebyś mi powiedziała, co o nim myślisz.

— Wygląda na miłego młodzieńca — odparła, powtarzając jego własne słowa.

Aubrey potrząsnął głową, ale nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— On myśli, że zakochał się w tobie — rzekł.

— Tak mi powiedział.

— I nie poruszyło cię to — tak czy inaczej? Byłaś zadowolona, zła, zmieszana czy dotknięta?

— Nie — odparła.

Wcale nie chciał, aby kochała Royela Stephanisa, ale ta chłodna odpowiedź trochę zbiła go z tropu.

— Przecież to było dla niego takie ważne — nalegał. — Na pewno znalazłaś w sercu trochę ciepłych uczuć dla niego, skoro on tak bardzo cię kocha.

Lilith odłożyła karty i zmierzyła go sceptycznym, ironicznym spojrzeniem.

— Nie wiem, co mają na myśli mężczyźni, kiedy mówią, że mnie kochają — powiedziała. — Słyszałam takie słowa jak „pożądanie”, „namiętność” i „żądza”, ale pozostają dla mnie tylko pustymi dźwiękami. Wiem, że słowo „miłość” ma obejmować wszystkie te pojęcia i znacznie więcej: czułość, jak mówisz, rodzaj empatii wobec obiektu tego uczucia. Nie odczuwam niczego takiego, tak więc nie wiem, co on czuje, gdy mówi, że kocha. Co mam mu powiedzieć? To bez znaczenia czy on mnie kocha czy nie.

— To okropne, co mówisz — rzekł cicho Aubrey.

— No cóż, to prawda. Myślałam, że chcesz ją usłyszeć.

— Powiadasz, że nie wiesz, co to miłość mężczyzny — rzekł Aubrey. — A przecież twój mąż cię kocha.

— Miłość mojego męża — odparła—jest najbardziej podejrzana ze wszystkich.

— A więc on cię nic nie obchodzi.

— Nie. On wcale mnie nie obchodzi.

— Czemu zatem wyszłaś za niego?

Zmierzyła go spojrzeniem i nie odpowiedziała.

— I nikt cię nie obchodzi? Nikt na całym świecie?

— Powiedziałaś ci — odrzekła. — Nie wiem, co oznaczają te słowa.

— Jednak—powiedział powoli, bojąc się to mówić, ale chcąc usłyszeć najgorsze — powiedziałaś mi coś. W powozie, kiedy dojechaliśmy do Farena Rochestera. Powiedziałaś mi, że ma dla ciebie znaczenie, czy zostanę, czy odejdę. Tak mówiłaś. Czy to była prawda?

Nie spuściła oczu, lecz wyraz jej twarzy się zmienił, jakby w zadumie rozważała tamte słowa i zastanawiała się, co oznaczały. Aubrey czekał, zastygły w bezruchu.

— Czynisz moje życie znośniejszym — powiedziała w końcu. — Mówiłam prawdę.

To było więcej, niż oczekiwał.

— Uważasz mnie za przyjaciela, tak? — spytał, czując, jak przy tych słowach zapiera mu dech.

— Nie mam też żadnego doświadczenia z przyjaźnią — odparła. — Czy właśnie tym jesteś? Przyjacielem?

— Obchodzi mnie to, co się z tobą dzieje... zrobiłbym wszystko, żeby ci pomóc — rzekł, zacinając się. Wpadł niemal tak głęboko jak Royel Stephanis, tylko nieco lepiej potrafił skrywać swoje uczucia. — Jeżeli jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić, tylko powiedz...

— Nie przychodzi mi na myśl nic, co mógłbyś dla mnie zrobić

— ucięła. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Potem dodała, jakby bardziej od niego zaskoczona swoimi słowami: — Jednak dziękuję ci za propozycję.

Może to namiętne słowa Royela Stephanisa. a może dlatego, że poranne powietrze było szczególnie rześkie; jakkolwiek był tego powód, Aubrey nie mógł się zmusić, by następnego dnia zostawić Lilith samą przy śniadaniu.

— Jestem zmęczony i potrzebuję towarzystwa — powiedział.

— Przejdiesz się dziś ze mną po lesie? Już od tygodni nigdzie nie chodziliśmy razem.

— Z przyjemnością — odparła, wstając od stołu. Po raz pierwszy usłyszał, żeby przyznała się do jakiegoś uczucia.

Tak więc spędzili cały dzień razem, spacerując po zielonych, leśnych ścieżkach. Niewiele mówili, zachowując przyjazne milczenie. Zapytana, Lilith wykazywała wyjątkową znajomość wszystkich drzew i krzewów tworzących leśną gęstwinę, podając ich nazwy Aubreyowi. Jednak dziwnie mało wiedziała o polnych kwiatach i nie interesowały ją nazwy ptaków, zwyczajnie lisów czy formacje chmur. Aubrey mówił jej tyle, ile o tym wiedział, lecz nie pochlebiał sobie, że zapamiętała jego wykład.

Obawiał się znów pozostać sam na sam z Lilith, tymczasem ten dzień okazał się najprzyjemniejszym dniem w jego życiu. Nie wiedział, co robić; był pewien, że ona złamie mu serce. Nie mógł zostać, nie mógł odejść i nie wierzył, by Lilith poszła z nim, gdyby ją o to poprosił. Nie dlatego, aby żywiła jakieś uczucie do Glyrendena. O nie. Nawet nie próbowała ukrywać pogardy, jaką do niego czuła — a jednak zdawała się niechętnie myśleć o opuszczeniu go. Każda inna nieszczęśliwa żona, pozostawiana na długie tygodnie w pustym domu na skraju cywilizowanego świata, pewnego dnia zaskoczyłaby męża swoją nieobecnością; tymczasem Lilith została. I nigdy nie wspominała o odejściu.

To samo dotyczyło pozostałych mieszkańców domu, który to fakt bardzo dziwił i niepokoił Aubreya. Orion wyraźnie obawiał się czarodzieja; kulił się, gdy Glyrenden podchodził zbyt blisko i nigdy nie zostawał z nim w tym samym pomieszczeniu dłużej, niż było to konieczne. Arachne zdawała się zupełnie pozbawiona uczuć, ale zawsze trzymała się z daleka od zmiennokształtnego i chowała głowę w ramiona, wchodząc do pokoju, w którym był. Tak więc oboje nie lubili go, a o ile Aubrey wiedział, czarodziej nic im nie płacił. A zatem dlaczego nie odchodzili?

Ponieważ chcą, żeby przemienił ich z powrotem.

Ta myśl przyszła mu do głowy późną nocą, dobrze po dwunastej, gdy leżał na łóżku, słuchając szalejącej nad lasem burzy. Wiatr szarpał zamkniętymi okiennicami, szalejąc wśród okapów i wieżyczek, niepokojąc go tak bardzo, że Aubrey wstał, zapalił świecę i zaczął

przechadzać się po pokoju. Ostatnio sypiał tylko dzięki magii, a nawet we śnie czuł ściskanie w gardle, z każdym dniem silniejsze i bardziej przygnębiające.

Chcą, żeby zmienił ich z powrotem.

Przecież to nie mogło być prawdą; takie podejrzenie było zwariowane, bezpodstawne. Dziwny mężczyzna i dziwna kobieta, którzy za sprawą czarów na chwilę stali się piękni; dlaczego miałby sądzić, że kiedykolwiek byli czymś innym niż teraz?

Jednak żołądek wciąż podchodził mu do gardła. Chcą, żeby zmienił ich z powrotem.

Następne trzy dni Aubrey spędził w lesie sam, próbując rozmaitych transformacji. Znowu stał się jeleniem, potem sokołem i w tej skrzydlatej, szponiastej postaci upolował sobie kolację. Zmienił się w kuguara, zwinnego i groźnego; w wielkooką i obojętną sowę; w wesoło pluskającą rybkę. Pomyślał o Orionie i stał się niedźwiedziem, powolnym, lecz sprytnym; pomyślał o Arachne i zamienił się w pająka, szybkiego i pracowitego. Ta ostatnia transformacja była najtrudniejsza do przeprowadzenia i odwrócenia. Powrócił do swej normalnej postaci znużony i spocony. Pająk zbytnio różnił się od człowieka, by łatwo dokonać przemiany, ale ten eksperyment był niezwykle cenny: rozwiał wątpliwości i potwierdził możliwości Aubreya. Następnego dnia przemiana w ćmę, mrówkę i ważkę poszła mu znacznie łatwiej.

W krótkim czasie nabrał takiej wprawy, że mógł przybierać dowolny kształt, nie wracając przy tym do swej ludzkiej postaci, chociaż niezbyt szybko. Był gołębiem, kardynałem i sówką; wiewiórką, łasicą i bobrem; wilkiem, ogarem i lisem. Zmieniał się w każde zwierzę, jakie przyszło mu do głowy; w ciągu paru dni był niemal każdym stworzeniem żyjącym w tym królestwie, jednak w żadnej postaci nie czuł się dobrze. Żadne z nich nie przypominało mu Lilith i wciąż ściskało go w dołku.

Ponieważ ją kochał, a ona miała złamać mu serce; gdyż nie była kobietą, chociaż nadal nie wiedział, czym była w poprzednim wcieleniu.

W końcu Aubrey zdecydował, że musi ponownie odwiedzić Farena Rochesterera i porozmawiać z jego nadwornym czarodziejem.

— Wyjadę na dzień czy dwa — powiedział Lilith.

Nie zapytała, dokąd jedzie; pewnie nic ją to nie obchodziło.

— Co mam powiedzieć Glyrendenowi, jeżeli wróci przed tobą?

— Nie sądzę, aby tak było — odparł. — A gdyby nawet, powiedz, że nie masz pojęcia, gdzie jestem.

Przeszedł pół mili drogą wiodącą do pałacu Rochesterera, a potem przystanął i zaczął szykować się do podróży. Dobrze przemyślawszy to przez kilka ostatnich dni, był przygotowany. Zdjął ubranie, najłżejsze jakie miał, po czym starannie związał je w mały, lekki węzełek. Zarzucił go na plecy, starannie przymocowując do ramion i w pasie, tak by nie krępował ruchów. Potem rzucił zakłęcie i zmienił się w wilka.

Przeszedł kilka kroków, a potem spróbował biec, lecz węzełek wciąż mu zawadzał. Aubrey z powrotem stał się człowiekiem i poprawił bagaż, tym razem mocując go na piersi. Odzyskawszy wilczą postać, potruchtał naprzód, stopniowo sadząc coraz dłuższymi susami, w miarę jak oswajał się z ciężarem węzełka.

Szybko przebiegał milę za milą; połacie lasu, który poprzednio wydawał się tak monotony, teraz były pełne gwaru, życia i zapachów. Przystanął napić się wody ze strumienia. Kiedy zgłodniał, schwytał nieostrożnego królika i zjadł go na surowo. Myślał wyłącznie o najprostszych sprawach: o zwierzynie, pragnieniu, sporadycznych sygnałach zwiastujących niebezpieczeństwo. Pod wieczór usłyszał w oddali ludzkie głosy i chwycił w nozdrza ostrą woń ogniska. Zmienił kierunek marszu i obszedł je szerokim łukiem.

Kiedy poczuł zmęczenie, znów stał się człowiekiem i zasnął. Wolałby pozostać w wilczej postaci, lecz wciąż była dla niego zbyt nowa; nie wiedział, czy instynkt zapewni mu bezpieczeństwo. Wydawało się, że rozsądniej będzie spać jako człowiek, narażając się na dobrze znane niebezpieczeństwa, na które mógłby zareagować odruchowo.

Wstał wcześniej rano, znów zmienił się w wilka i pobiegł przez las. Do południa pozostało jeszcze kilka godzin, kiedy dotarł do posiadłości Farena Rochesterera i przystanął. Pogrubiały mu nogi, a oczy znów zaczęły dostrzegać kolory; poczuł, jak jego skóra robi się gładka i cienka. Ponownie zmienił się w człowieka.

Nie chciał pokazywać się w pałacu. Faren Rochester wyglądał na takiego, który zdziwiłby się, dlaczego jeden czarodziej zasięga rady drugiego, a Aubrey nie miał ochoty niczego wyjaśniać. Tak więc schwytał poranny wietrzyk, przekazał mu wiadomość i wysłał go prosto do komnaty czarodzieja. Potem ubrał się i przycesał włosy, żywiąc nadzieję, że nie wygląda jak obdartus. Miał wrażenie, że trochę dzikiego zwierzęcia pozostało w jego skośnych oczach i sylwetce; im dłużej pozostawał wilkiem, tym trudniej przychodziło mu odzyskiwać ludzką postać.

Sirrit nie kazał mu długo czekać; nim minęła godzina, przyszedł do niego przez las. Hebanową laską ze srebrną gałką torował sobie drogę przez gąszcz, zmierzając prosto ku polance, na której czekał Aubrey.

— Dzień dobry — powitał młodszego czarodzieja, kłaniając się grzecznie, jakby mieli zwyczaj odbywać takie narady w lesie. — Odszedłeś daleko od domu.

— Potrzebowałem towarzystwa — rzekł Aubrey z krzywym uśmiechem.

Sirrit rozejrzał się wokół, lecz Aubrey był pewien, że czarodziej udaje.

— Gdzie twój koń?

— Przyszedłem pieszo.

Sirrit zerknął na stopy Aubreya, okryte jedynie cienkimi wełnianymi skarpetami; buty były zbyt ciężkie, aby je umieścić w węzłku.

— Założę się, że nie na tych nogach — stwierdził sucho czarodziej.

— Nie — powiedział Aubrey. — Ćwiczyłem ostatnio nabyte umiejętności.

— Aha.

Sirrit wskazał laską i zaprowadził Aubreya do ogromnego pnia zwalonego drzewa. Obaj usiedli.

— A więc Glyrenden rzeczywiście uczy cię, jak być zmiennokształtnym.

— Po to do niego przyszedłem.

— Tak, jest w tym mistrzem. Jednak w przeszłości nie pałał chęcią brania uczniów.

— Ja również zastanawiam się, dlaczego mnie przyjął.

Sirrit zerknął na niego z ukosa i zdawał się zastanawiać.

— Glyrenden uważa, że należy poznać swego wroga.

— Wroga? Nigdy nim nie byłem — zaczął Aubrey i zamilkł. Wiedział, że to nieprawda, przynajmniej ostatnio.

— Kilka lat temu — powiedział Sirrit, sadowiąc się wygodniej na pniu — przyjaźniliśmy się. Glyrenden, Cyril i ja oraz paru innych, których nazwiska nic ci nie powiedzą, nawet jeśli je wymienię. Cyril, który zawsze umiał najlepiej patrzeć w przyszłość, wziął swoją magiczną kulę i przepowiedział dalsze losy każdego z nas. Ja miałem zestarzeć się i utuczyć w służbie jakiegoś lorda, Cyril miał zdobyć rozgłos i uznanie, Mintele podróżować po obcych krainach, walcząc z jakimś prastarym, zaczarowanym stworem. I temu podobne przepowiednie. Glyrenden dowiedział się, że jego los spoczywa w rękach młodego czarodzieja, którego imię pozna, kiedy je usłyszysz.

— Jego los — powtórzył Aubrey. — Co to oznacza?

Sirrit wzruszył ramionami.

— Kto wie? Czy ten młodzieniec ma uratować Glyrendenowi życie, rozstawić jego imię czy całkowicie go zniszczyć? Cyril nie potrafił powiedzieć nic więcej.

Sirrit ponownie zerknął z ukosa na Aubreya.

— Jednak jestem przekonany, że twoje imię wydało się znajome Glyrendenowi i dlatego przyjął cię jako swego ucznia.

— To był pomysł Cyrila — powiedział Aubrey. — On nie chciał nauczyć mnie zaklęć zmieniających kształty.

— A Glyrenden podzielił się nimi z tobą?

— Niektórymi. Do kilku doszedłem sam. Inne... — Aubrey zawahał się, wzruszył ramionami i wypalił:—Sirricie, nauczyłem się *rzeczy*, których wolałbym nigdy nie wiedzieć.

— Wiedza zawsze ma dwa oblicza — odparł czarodziej.

— To nie może być prawdą.

— Uwierz w to — rzekł Sirrit. — Nie ma zaklęcia, które nie mogłoby zostać nadużyte lub źle skierowane.

— Nauczyłem się najbardziej barbarzyńskiego z zaklęć — powiedział cicho Aubrey.

— Jakiego?

— Jak stworzyć ludzką istotę z czegoś, co wcale nie jest człowiekiem.

Sirrit umieścił dłoń między stopami i oparł splecione dłonie o jej srebrną gałkę.

— Och — mruknął — to jeszcze nie jest barbarzyństwo. Aubrey spojrzał na niego zaszokowany.

— Jak możesz tak mówić? Przecież to ty opowiadałeś mi o istnieniu uniwersalnej duszy...

Sirrit uciszył go gestem uniesionej ręki.

— No dobrze. To barbarzyństwo, ale nie budzące zdumienia. Najdawniejszym z ludzkich pragnień jest stworzenie innej istoty na swoje podobieństwo. Stworzenie kogoś, kogo można pokochać. Dlatego urodziłeś się ty i ja — dlatego wszyscy żyjemy i podróżujemy z miasta do miasta — ponieważ ludzka potrzeba prokreacji jest równie silna, jak wola życia.

— Tak, ale... to zupełnie naturalne, nieuniknione dla podtrzymania gatunku. Tymczasem tworzenie jakiejś istoty, kobiety lub mężczyzny z czegoś, co było czymś innym...

Sirrit wzruszył ramionami.

— Czarodzieje idą na skróty — odparł. — I lubią poprawiać niedoskonałą, ludzką formę.

— To oburzające!

— Niewątpliwie, ale nie ma w tym nic dziwnego. Drugim najsilniejszym z pragnień jest potrzeba znalezienia słabszej istoty, nad którą można zapanować.

— To nieprawda! — zawołał Aubrey.

Sirrit przez chwilę spoglądał na niego z uśmiechem.

— Cóż, może masz rację — przyznał.—Jednak niektórzy nie potrafią oprzeć się temu pragnieniu.

Aubrey wytrzeszczył oczy. Jeśli ten człowiek był równie pozbawiony zasad jak Glyrenden, jeżeli wszyscy czarodzieje oddawali się takim praktykom, to on rzucił ostatnie zaklęcie w swoim życiu; już nigdy nie będzie zajmował się magią.

— Czy ty kiedykolwiek — zapytał, ścisząc głos do szeptu — stworzyłeś taką istotę? Zrobiłeś coś takiego?

— Ta gałąź wiedzy magicznej nigdy mnie nie pociągała — rzekł sucho Sirrit. — Nigdy nie nauczyłem się tych zaklęć.

Aubrey poczuł głęboką ulgę; wiedział, że ma rumieńce na policzkach.

— Cyril je zna, ale nie używa ich, podobnie jak wielu innych wielkich magów. Jednak ty nauczyłeś się ich — ciągnął łagodnie Sirrit—i już nie możesz ich zapomnieć. To część ceny, jaką płaci się za zdobycie wiedzy.

— Nie przybyłem tu prosić, żebyś nauczył mnie, jak zapomnieć — powiedział Aubrey.

— A więc po co?

— Zapytać, jak zerwać czar rzucony przez innego czarodzieja.  
Zapadła długa cisza.

— Najłatwiejszy sposób — rzekł Sirrit — to zabić go.

— Nie jest to sposób, jaki bym wybrał.

— Owszem, a ponadto nie zawsze jest skuteczny — powiedział Sirrit z pewnym żalem. — Chociaż zazwyczaj tak! Byłem w Cannewoldzie, kiedy umarł mag Talvis i widziałem na własne oczy, jak ocean przerwał zapory, które postawił, aby zapewnić miastu bezpieczeństwo. Widziałem, jak domy stawały się żerem żarłocznych błękitnych fal, a morska piana wirowała wokół wież zamku wicekróla. Tysiąc ludzi zginęło podczas tamtej powodzi, a wszystko dlatego, że magia umarła razem z czarodziejem. Jednak kiedy umarł Soetan, róże nadal kwitły na zboczach Virris, a przecież to jego czary zmieniły tę pustynię w żyzną glebę. I żaden czarodziej, ani ty, Cyril, Talvis czyja sam, nie zdołał zdjąć zaklęcia, jakie Soetan rzucił na króla Reginalda, który do końca swych dni pozostanie ślepy i głuchy. No cóż, Soetan był nadzwyczaj utalentowanym człowiekiem — mówił Sirrit. — Poza tym, bardzo trudno zdjąć czar rzucony przez czarodzieja, który tego nie chce.

— A więc jak to zrobić? — zapytał Aubrey. — Muszę to wiedzieć.

— Musisz być lepszym czarodziejem — rzekł po prostu Sirrit.

Aubrey tylko na niego spojrział.

— Oczywiście, to nie wszystko — ciągnął stary mag. — Musisz kochać tę rzecz, którą chcesz wskrzesić — nie to, czym się stała, a co czasem jest piękniejsze i użyteczniejsze od niej, lecz to, czym była, kiedy pojawiła się na tym świecie. Żaden z nas nie mógłby przywrócić króla Reginalda do poprzedniego stanu, ponieważ nikt z nas tak naprawdę go nie lubił; ponadto wolimy, by nie obserwował naszych poczynań i nie komentował ich. Wierzę, że żaden z nas nie zesłałby na niego takiego kalectwa, ale na pewno nie mamy ochoty rozwiązywać jego problemów.

— Jak można kochać coś, czego nigdy się nie widziało? — zapytał Aubrey. Zmroziły go słowa czarodzieja; wiedział, jak to jest, kiedy woli się zmieniony produkt od oryginału.

— To pierwsze z pytań, na które nie ma odpowiedzi — rzekł Sirrit.— Jest i drugie.

Aubrey spojrział na niego ze zgrozą.

— Jakie?

— Kiedy zdejmujesz z czegoś czar lub odwracasz jego działanie, narażasz ten obiekt lub tę osobę na ogromne niebezpieczeństwo. Magia zmienia ludzi i rzeczy, czasem nie pozwalając im bez siebie istnieć. Jak uniknąć zniszczenia tego, co próbuje się wskrzesić?

— Jak? — zapytał Aubrey.

Sirrit potrząsnął głową.

— Nie wiem. Nikt tego nie wie. Magia, przyjacielu, jest bardziej kapryśna od miłości. Tylko ty wiesz, na ile możesz ufać swojej.

— Mojej magii czy mojej miłości? — powiedział Aubrey, wstając z pnia. Był wstrząśnięty, trochę oszołomiony. Chciałby wierzyć, iż czuje się tak na skutek zmieniania kształtów, ale wiedział, że to wynik rozmowy.

— Obu — rzekł Sirrit. — Obu.

## 11

Wczesnym rankiem następnego dnia Aubrey dotarł do domu Glyrendena, wyprzedzając pana domu zaledwie o kilka godzin. Jednak nawet gdyby nie zdążył przed jego powrotem, czarodziej pewnie nie zauważyłby tego, ponieważ przywiózł ze sobą towarzystwo absorbujące całą jego uwagę.

Jego nową towarzyszką była nieśmiała i wystraszona dziewczyna, którą Glyrenden nazywał bratanicą. Bardzo drobna i smągła, miała wielkie zamglone oczy i kilka piegów na nosie. Poruszała się z zadziwiającą gracją, miłą dla oka. Najłżejszy dźwięk sprawiał, że podskakiwała na krześle lub stawała jak wryta. Przechodząc z pokoju do pokoju, ostrożnie



poruszała się od krzesła do sofy, a dopiero od niej do stołu, jakby chowała się za meblami, zanim zrobiła kolejny krok naprzód. Glyrenden powiedział, że ona nie zna ich języka, ale Aubrey podejrzewał, że w ogóle nie znała ludzkiej mowy.

— Będziemy nazywać ją Ewą — zapowiedział Glyrenden, czule przesuając swą zimną, wąską dłoń po jej jedwabistych włosach. — Czyż to nie śliczne imię, moja miła?

Zadrżała pod jego dotknięciem, ale nie odsunęła się. Przez cały czas z dziwnie wzruszającym napięciem wpatrywała się w jego twarz, obojętnie czy był tuż obok, czy na drugim końcu pokoju; śledziła każdy jego ruch. Glyrenden był nią wyraźnie oczarowany. Uwielbiał siadywać obok niej, trzymając jej małą rękę w swojej, odgarniać jej włosy z czoła albo kłaść dłonie na ramionach i lekko przyciskać.

— Czy ona nie jest śliczna? — mruzczał do Aubreya lub Lilith, czy kogokolwiek, kto akurat był w pokoju. — Czyż nie jest po prostu doskonała?

Nie ulegało wątpliwości, że nie jest jego bratanicą, jednak Aubrey nie potrafił orzec, czy była kochanką czarodzieja, czy nie. Wyglądała jak nastolatka o nie w pełni rozkwitłym, dziewczęcym ciele, lecz jej wiotkie kształty miały dla maga nieodparty wdzięk. Od kiedy w domu pojawiła się Ewa, zaprzestał swych zwykłych umizgów do Lilith; całą uwagę skierował na dziewczynę.

Trudno powiedzieć, co Lilith myślała o obecności Ewy. Traktowała ją tak samo jak wszystkich, z chłodną obojętnością, ani przyjaźnie, ani wrogo. Jeżeli odczuwała zazdrość — lub współczucie — to nie okazywała tego. Po prostu nic ją to nie obchodziło.

Natomiast Aubrey snuł się po domu jak ciężko chory, czując nieustanne ściskanie w gardle i chudnąc ze zmartwienia.

Od kiedy Glyrenden wrócił z Ewą, skończyły się lekcje. Czarodziej był zbyt zajęty nową zdobyczą, by tracić czas na kłopotliwego ucznia, a Aubrey czuł się zbyt podle, by prosić go o chwilę uwagi. Chociaż na królewskim dworze było co robić, Glyrenden nie wspominał o ponownym wyjeździe; nikt nie wiedział, jak długo tym razem zostanie w domu.

Tak więc przez kilka tygodni żyli w takim dziwnym zawieszeniu, dwaj mężczyźni oraz czworo niby-ludzi, a wszyscy zabijali czas najlepiej jak umieli. Arachne sprzątała, gotowała i trzymała się z boku; Orion w dzień polował, a w nocy chrapał w kącie; Lilith i Aubrey bez końca grali w karty, partyjka za partyjką pikiety, wista i kanasty, aż poznawali nawet koszulki nie znaczonych kart. Zaś Glyrenden cieszył się najnowsza zdobyczą.

Zupełnie przypadkowo Aubrey i Glyrenden spotkali się twarzą w twarz pewnego popołudnia w pracowni, którą niegdyś rzadko opuszczali, a teraz przestali odwiedzać. Aubrey szukał książki, którą kiedyś pożyczył mu czarodziej; Glyrenden szukał jakiejś informacji. Oprócz nich nie było nikogo.

— Wciąż studiujesz, mój miły? — zapytał Glyrenden z tym drwiącym uśmieszkiem, w którym Aubrey w końcu dostrzegł pogardę. — Nauczyłeś się czegoś pożytecznego, od kiedy tak bezwstydnie cię zaniedbałem?

— Nauczyłem się tego, co mogłem — odparł Aubrey. — Jednak rzadko znajduję własną inwencję na tyle dobrą, by dorównywała przykładowi dawanemu przez mistrza.

— No tak, oczywiście... jakże mogłoby być inaczej? Szkoda, że tak często mnie nie ma.

Aubrey zrobił głęboki wdech.

— Może już czas, żebym cię opuścił... — powiedział. — Skoro nie masz czasu mnie uczyć... i jeśli ci przeszkadzam...

Glyrenden uśmiechnął się szeroko, robiąc tak nieprzyjemną minę, że Aubreya skreśliło ze złości.

— Nie udawaj, że kiedykolwiek odejdziesz — warknął czarodziej. — Zostaniesz tu tygodnie, miesiące i lata. Pragniesz tylu rzeczy, jakie ja już mam.

Aubrey zastygł. O chęć zdobycia czego, nie licząc wiedzy, posądzał go Glyrenden?

— Dlaczego przyjąłeś mnie na ucznia, Glyrendenie? — zapytał, po raz pierwszy mówiąc do niego po imieniu, jak równy z równym. — Tylko z obawy, że jestem naprawdę tak dobry, jak twierdził Cyril?

Glyrenden uśmiechnął się.

— Dobrze za młodu poznać swego przeciwnika — odparł.

— Jeśli uważasz mnie za przeciwnika, to dlaczego nauczyłeś mnie zaklęć?

— Połowy zaklęć — mruknął mag.

Aubrey parsknął śmiechem.

— Chciałeś pobudzić mój apetyt — zauważył. — Jednak traktując mnie w ten sposób, nie zdobyłeś nade mną władzy.

— Nie? A więc czemu wciąż tu jesteś, Aubreyu, mój miły, mój baranku? Co cię tu trzyma, jeśli nie pożądanie?

Jego uśmiech jeszcze się poszerzył.

— A może to strach?

— Zaczynam sądzić, że to nienawiść, Glyrendenie — odparł cicho młodzieniec.

— Ach — westchnął czarodziej. — A więc jednak nauczyłeś się czegoś ode mnie.

To była ostatnia rozmowa czarodzieja z uczniem przez następne dwa tygodnie. W miarę jak płynęły dni, atmosfera stawała się coraz bardziej napięta; od kiedy Aubrey zamieszkał tutaj, był to najdłuższy okres, jaki Glyrenden spędził w swoim domu. Wszyscy czekali, mając cichą nadzieję, że jakieś nowe zadanie wkrótce zmusi go do wyjazdu; tymczasem mijały tygodnie, a on nie wyjeżdżał.

Aubrey i Lilith grali w karty tylko wieczorami. Przez większość dnia spacerowali po lesie, nie dbając o to, jakie znaczenie Glyrenden nada tym częstym przechadzkom. Podczas tych wypraw, w rześkim jesiennym powietrzu, Aubrey był prawie szczęśliwy, niemal zdołał zapomnieć o ściskaniu w dołku i ustawicznych, dręczących go myślach. Nie wierzył, aby Lilith żywiła do niego jakieś cieplejsze uczucia niż zwykłą sympatię, ale ponieważ nikogo innego nawet nie lubiła, prawie mu to wystarczało.

Podczas tych tygodni tylko raz rozmawiali o Ewie, którą spotkali po południu na skraju lasu. Znaleźli ją z zakrwawionymi ustami i wielkimi brązowymi oczami pełnymi łez. Chociaż odsunęła się wystraszona, Aubrey kucnął przy niej i jak umiał najlepiej wygoił zadrapania oraz siniaki na jej rękach i nogach. Nie odpowiadała na jego łagodne pytania, lecz gdy tylko skończył zabiegi, zerwała się na równe nogi i pobiegła z powrotem w stronę domu. Aubrey i Lilith patrzyli za nią, a potem ponownie podjęli przerwany spacer.

— Czy Glyrenden ją zabił? — zapytał w końcu Aubrey.

Lilith potrząsnęła głową.

— Wątpię. On rzadko krzywdzi kogoś w taki sposób. — A więc co się stało?

Lilith wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Pewnie wspięła się na najwyższe drzewo, jakie mogła znaleźć i zeskoczyła, ale upadek jej nie zabił.

Aubrey był wstrząśnięty.

— Próbowwała się zabić?

— Nie byłabym zdziwiona.

Teraz spojrział na Lilith z obawą, która — jak wiedział — nigdy go nie opuści tak długo, jak długo Glyrenden będzie żył.

— Czy ty też próbowałaś się kiedyś zabić? Kiedy sprowadził cię do tego domu?

Niezbale machnęła ręką.

— Raz to zrobiłam. Nie udało się. Kobiety Glyrendena nie mogą umrzeć.

— Dlaczego z nim zostałaś? — zapytał, chociaż znał odpowiedź. — Czemu nie uciekłaś?

Popatrzyła na niego i nagle jej twarz straciła obojętny wyraz. Pod beznamietną maską Aubrey ujrzał tęsknotę tak ogromną, że przy niej jego miłość zdała się czymś mizernym.

— Ponieważ tylko on może mi dać jedyną rzecz, jakiej pragnę.

Potrząsnął głową.

— On nigdy ci tego nie da.

— Wiem. Jednak nie dostanę tego nigdzie indziej.

Wyszli na polankę, która stała się ich ulubionym celem spacerów. Lilith zapytała go:

— A dlaczego ty zostałeś? Tylko dlatego, że chcesz nauczyć się jego okropnych zaklęć?

Znowu potrząsnął głową i z desperacją wyznał jej prawdę:

— Nie odchodzę, ponieważ nie mogę cię opuścić — rzekł. — Kocham cię. Nawet zło Glyrendena nie zdoła mnie stąd wygnać.

Czyste rysy jej twarzy trochę zmiękły, lecz przecząco pokręciła głową.

— Mówiłam ci już, co sędzę o miłości — powiedziała. — Nie wiem, co z nią robić, kiedy mi ją ofiarowują i niczego nie mogę dać w zamian. Myślałam, że to rozumiesz.

— Rozumiem — odparł. — Jednak to niczego nie zmienia. Nie odprawiaj mnie tak, jak Royela Stephanisa.

Zobaczył, jak jej wargi układają się, by spytać „Kogo?“, ale zaraz przypomniała sobie.

— Nie chciałabym, żebyś odszedł tylko dlatego, że mnie kochasz — powiedziała.

Na to nie znalazł odpowiedzi, lecz ta chłodna riposta wcale go nie zniechęciła. Miał wrażenie, że Lilith była nawet zadowolona z jego wyznania, ale wiedział, iż nie powinien rozwijać tego tematu.

Zamiast tego, podczas długiego spaceru z powrotem do domu zadał jej pytanie, które od tak dawna pragnął jej zadać. Nie wiedział, jak na nie zareaguje, więc zrobił to ostrożnie, przygotowując grunt przez inne pytanie.

— Myślisz, że nic jej nie będzie? — spytał najpierw.

— Komu nic nie będzie?

— Ewie.

Lilith wzruszyła ramionami.

— Nie będzie szczęśliwa. Nie da się oswoić. Nie sędzę, żeby mu umarła, jednak nie mam pewności. W każdym razie wygląda na to, że przeżyje dzisiejszy dzień.

Aubrey odwrócił oczy i spojrzał na zarośniętą ścieżkę, która — wskutek ich ciągłych spacerów — znów zaczęła przypominać trakt.

— Ona jest sarną, oczywiście — rzekł spokojnie — a raczej sarenką. Bardzo młodą. Domyśliłem się też prawdy o Orionie i Arachne, a przynajmniej tak sędzę. Jednak ty jesteś wciąż zagadką. Studiowałem kształty wszystkich zwierząt w królestwie i żadne nie przypomina mi ciebie. Czym jesteś naprawdę?

Przez moment nie odpowiadała i już myślał, że mu nie powie — albo, jeszcze gorzej, sama nie wie. Potem powiedziała rozmarzonym głosem:

— W całym królestwie jest tylko jedno miejsce, które kochałam i uważałam za piękne.

Nazywają je Królewskim Gajem i rosną tam wszystkie gatunki drzew. Nikomu nie wolno tam polować ani przycinać gałęzi, a gdy wiatr nadlatuje tam w letnie wieczory, śpiew szeleszczących liści tworzy tak cudowny chór, że nawet ptaki milkną zasłuchane. Zapach cedrów miesza się z wonią kwieciami owocowych drzewek, a biel brzoź jest równie piękna jak ciemne złoto wiązów. Kiedy milkną liście, zapada cisza i jedynym dźwiękiem jest echo powtarzające słowo „spokój“.

Wtedy zrozumiał. Spojrzał na nią jeszcze raz i ujrzał nie gładkie brązowe włosy i zgrzebną szarą suknię, lecz długą, smukłą sylwetkę unoszącą ramiona do słońca.

— Wierzba — szepnął.

— Tak.

Dwa dni później, wczesnym rankiem, Aubreya obudziło gwałtowne stukanie do drzwi sypialni.

— Chwileczkę! — zawołał, podnosząc się z łóżka i wkładając bawełnianą podomkę. Nie pamiętał, aby w ciągu kilku miesięcy, jakie spędził pod tym dachem, ktoś tak wcześnie wyciągnął go z łóżka.

Przed drzwiami stała Lilith, ubrana w jedną z szarych sukni.

— Chodź szybko — powiedziała. Rzadko widywał ją tak poruszoną; rumieńce podkreślały jej lekko wystające kości policzkowe.

— O co chodzi? — zapytał, idąc za nią po stromych schodach.

— Ewa — odparła. — Pospiesz się.

Znaleźli ją w ostatnim miejscu, w jakim spodziewałby się Aubrey — w pracowni Glyrendena. Leżała na podłodze, zwinięta w kłębek, jęcząc żałośnie. Jej wspaniałe włosy rozsypały się na kamiennej posadzce; podarta koszula okręciła się wokół ciała. Obok niej stała Arachne, mamrocząc coś do siebie. W pomieszczeniu unosiła się przykra woń wymiocin — i czegoś nieporównanie groźniejszego.

Aubrey natychmiast klęknął obok dziewczyny.

— Co się stało? — zapytał.

— Nie wiem. Arachne znalazła ją kilka minut temu i zawołała mnie.

Aubrey dotknął poblądłej twarzy, a potem lekko przesunął palcami po szyi oraz brzuchu dziewczyny.

— Trucizna — rzekł ponuro. — Niewątpliwie jedna z mikstur Glyrendena.

— Możesz jej pomóc? — zapytała Lilith.

— Nie wiem. Zależy, co zażyła. — Spojrzał na nią. — Gdzie jest Glyrenden?

Machnęła ręką.

— Wyjechał. W środku nocy. Nie wiem dokąd ani na jak długo.

Aubrey kiwnął głową i wstał.

— Zagrzej trochę mleka — polecił Arachne. — I trochę wody.

Musimy ją obmyć.

Lilith wyszła z Arachne. Aubrey chodził po pracowni czarodzieja, szukając jakichś śladów. Znalazł je bez trudu. Najwidoczniej Ewa zakradła się tutaj zaraz po odjeździe maga i sporządziła mieszaninę z kilku mikstur, które były pod ręką. Zostawiła otwarte słoiczki na stole, rozsypując zawartość niektórych. Aubrey posmakował i rozpoznał wszystkie: ruta, belladonna, kurara oraz kilka zaczarowanych ziół, o działaniu wzmocnionym przez magię. Każde z osobna wystarczyłoby, żeby zabić dziewczynę, ale zmieszała ich zbyt wiele — miały przeciwstawne działanie i wywołały takie mdłości, że nie zdołała utrzymać ich w sobie. Niewątpliwie uratował ją nadmiar zapału, z jakim usiłowała odebrać sobie życie.

Mimo to część toksyn dostała się do krwi; świadczyły o tym bolesne jęki Ewy. Glyrenden nie należał do tych, którzy przypadkowo wypijają swoje trucizny czy podają je i potem tego żałują, tak więc nie fatygował się sporządzaniem odtrutek na śmiercionośne mikstury, jakie trzymał na półkach. Aubrey działał szybko, łącząc składniki znanych sobie lekarstw, odgadując inne.

Za jego plecami wyrosła Arachne, trzymając dzban ciepłego mleka.

— Postaw go tam — rzekł Aubrey. — Ponadto potrzebuję czystą szklanekę i łyżeczkę... tak, dziękuję.

Lilith wróciła moment po Arachne, przynosząc ręczniki i miskę wody. Przez ramię przerzuciła czystą, nocną koszulę z muślinu.

— Będzie jeszcze wymiotować? — zapytała. — Nie chcę zabrudzić czystej koszuli.

— Nie, nie sądzę — odparł Aubrey. — Myślę, że chemikalia już przeniknęły do jej organizmu. Teraz musimy im przeciwdziałać, a nie wywoływać wymioty.

Lilith skinęła głową i klęknęła przy dziewczynie. Aubrey, mieszając naprędce sporządzoną miksturę z ciepłym mlekiem, obserwował krzątanie Lilith. Tak jak mógł oczekiwać, nie okazała przygnębienia czy odrazy na widok chorej i brudnej ofiary; oparła jej

głowę na swoich kolanach i zaczęła ocierać z wymiocin oraz śliny. Aubreya zadziwiła jej delikatność, którą nazwałby czułością, gdyby nie wiedział lepiej. Ewa krzyknęła przeraźliwie, gdy Lilith zaczęła rozpinać jej koszulę.

— Cii — powiedziała łagodnie Lilith. — Już cicho. Nic ci nie będzie. Zobaczysz. Nie jest tak źle, jak myślisz.

Nie, jest gorzej, pomyślał Aubrey, wracając do swojej mikstury. Nigdy nie słyszał, żeby Lilith skłamała, nawet by kogoś pocieszyć. Prawdę mówiąc, nigdy nie widział, żeby kogoś pocieszała. Nagły, irracjonalny dreszcz niepokoję zjeżył mu włosy na karku; potrząsnął głową, odganiając takie myśli.

Zanim Aubrey sporządził odtrutkę, Lilith umyła i przebrała dziewczynę, a nawet rozczesała jej zmierzwiłone włosy. Aubrey kucnął i wręczył Lilith szklanekę mlecznego napoju.

— Przytrzymam ją — powiedział, biorąc Ewę w ramiona i opierając jej głowę na swoim ramieniu. — Ty podaj jej napój.

Ewa opierała się, ale zdołali wlać jej do ust większość płynu. Wciąż nie otwierała oczu i wydawała się nieprzytomna; szamotała się w ramionach Aubreya i wydawała głośnie okrzyki przestachu. Jednak mikstura działała szybko. Wkrótce dziewczyna uspokoiła się. Jej mięśnie rozluźniły się i najwidoczniej zapadła w sen.

— I co teraz będzie? — spytała Lilith.

— Nie wiem — rzekł Aubrey. — Działam po omacku.

— Możemy przenieść ją gdzieś, gdzie będzie jej wygodniej?

— Tak.

Trzymając Ewę w ramionach, Aubrey wstał i zaniósł ją do kuchni. To było najcieplejsze miejsce w domu, a ponadto mogli tam wszyscy siedzieć i pilnować chorej. Orion przygotował jej posłanie na pryczy koło pieca, a Aubrey ostrożnie położył tam dziewczynę. Obróciła się na bok i leżała nieruchomo.

— Chora — rzekł Orion.

— Bardzo chora — potwierdził Aubrey. — Jednak mamy nadzieję, że wydobrzeje.

— Powinniśmy kazać Arachne posprzątać pracownię — przypomniała Lilith. — Zanim on wróci do domu.

— Lepiej zróbmy to sami — powiedział Aubrey. — Nie chcę, by zostały tam jakiegokolwiek ślady bytności Ewy.

Tak więc wzięli wiadra z wodą oraz kilka szmat i wrócili do cuchnącej pracowni. Przez pół godziny pracowali w milczeniu, po czym Lilith zapytała:

— I co z nią będzie?

— Będzie chora przez dzień czy dwa i będzie musiała jeść lekkie potrawy, na przykład zupy i chleb. A potem wyzdrowieje.

Lilith ze smutkiem spojrzała na Aubreya. Stała na drugim końcu pokoju, wyglądając jak uosobienie służącej — ciemne włosy upięte w kok, szara sukienka podwinięta, z moką szmatą w rękach. A jednak Aubreyowi wcale nie wydawała się pokorna czy śmieszna.

— Nie — pokręciła głową. — Co z nią będzie, Aubreyu? Jeśli nadal pozostanie w tym domu?

Poczuł jeszcze silniejsze ściskanie w dołku.

— A co stanie się z wami wszystkimi?

Lilith odłożyła moką ścierkę.

— Dla reszty z nas nie jest to takie ważne — powiedziała. — On nie niepokoi Arachne i Oriona. Nie są dla jego przyjemności, tylko dla zabawy. Stworzył ich, ale zostawia ich w spokoju.

— A co z tobą? Jak możesz mówić, że to nie ma znaczenia?

Wzruszyła ramionami.

— Ze mną jest inaczej. Ja nie mam instynktownego lęku przed ludźmi. Nie urodziłam się nienawidząc ich i nie ufając im — należałam do świata, który wcale o nich nie myślał. W jej przypadku jest inaczej. Gorzej. A ponadto ona jest znacznie młodsza. Ja miałam czas przyzwyczaić się do niego.

— Co ty mówisz? — rzekł. — Co chcesz, żebym zrobił? Potrząsnęła głową.

— Nic nie możesz zrobić — powiedziała. — Wiem. Inaczej zrobiłbyś coś.

Znów ścisnęło go w gardle. Ostrożnie odstawił mały szklany słoiczek, który wycierał do czysta; nie mógł go utrzymać.

— Zrobię — powiedział. — Zrobię.

Westchnęła i usiadła tam, gdzie stała, wyglądając — pierwszy raz, od kiedy ją poznał — na zmęczoną, zubożoną i smutną. Ludzką.

— Może — powiedziała powoli — powinniśmy pozwolić jej umrzeć.

— Prawdopodobnie nie umarłaby od trucizn, które zażyła.

Tylko męczyłaby się dłużej, zanim by wyzdrowiała.

— Zatem może powinienś podać jej to, co chciała, zamiast leków, które ją uzdrowią.

Obszedł mokre miejsca na wytartej przez nią podłodze i usiadł obok Lilith.

— Nigdy nie zabiłem człowieka — odparł powoli. — Nie wiem, czy potrafiłbym to zrobić.

— Ona ma ludzki kształt, ale nie jest kobietą. Zabiłbyś jelenia na mięso.

— Na mięso — przyznał. — Ale nie... nie...

Machnął ręką, nie mogąc dokończyć zdania.

— Gdybyś znalazł w lesie ranioną sarnę i nie mógłbyś jej uratować, dobiłbyś ją — powiedziała szybko Lilith. — To jest to samo.

— Może to samo — rzekł — ale nie mogę podać jej mikstur, które pozwoliłyby jej umrzeć.

Przez moment milczał, rozmyślając.

— Uczyłem się magii — rzekł w końcu — z radością. Uważałem, że to wspaniała rzecz, wziąć tę studnię wiedzy Jaką w sobie znalazłem i wykorzystać ją w cudowny sposób.

Nauczyłem się przywoływać wiatr, kontrolować ogień, sprawiać, by kwiaty rosły na jałowej ziemi, a deszcz padał na pustyni. Nauczyłem się wypędzać szaleństwo z umysłu człowieka i chorobę z jego krwi. Potrafię tworzyć iluzje, mogę dostrzec w kryształowej kuli wizje, które są rzeczywistością, prawdą. I wszystko, czego się nauczyłem, dawało mi szczęście — przynosiło szczęście innym. Właśnie po to uczyłem się magii.

— Jednak odkryłem, że magia jest jak każda umiejętność. Nie jest dobra sama w sobie.

Pewne jej aspekty... tak, pewne jej aspekty są zdecydowanie złe. Istnieją złe zaklęcia, niedobre zaklęcia, czary tak mroczne, że nawet ich znajomość rani serce, plami duszę. A jednak wielki mag, uznany i potężny czarodziej, musi również ich się nauczyć. Ponieważ jeżeli ich nie zna, mogą zostać użyte przeciwko niemu — a w końcu czymże jest magia, jeśli nie umiejętnością zmieniania świata, samemu nie dając się zmienić?

— Uczyłem się magii z radością — powtórzył — lecz nawet teraz, kiedy przestaje mi ją sprawiać, nie mogę odwrócić się od niej. Muszę poznać wszystko, jej bezmiar, głębię i mroczne zakamarki. Pragnę jej, nawet kiedy budzi moje obrzydzenie. Jestem uzależniony.

— A więc nie ma nadziei dla żadnego z nas — powiedziała cicho Lilith—jeżeli zdołała zmienić nawet kogoś takiego jak ty.

Wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy. Odpowiedziała mu spokojnym spojrzeniem. Jeszcze nigdy nie widział jej tak smutnej.

— Nie — rzekł łagodnie — pozwól mi skończyć. Muszę zdobyć wiedzę, ale nie muszę jej używać. Cyril nauczył mnie tego już dawno temu. Są zaklęcia, które on zna, lecz nie używa ich, a nawet nie chce ich nauczać. Jest jak wieśniak, który ma skrzynię broni i trzyma ją zakopaną w piwnicy. Ja też jestem takim człowiekiem. Glyrenden nauczył mnie, jak zmieniać kształt, ale zawsze stawałem się z powrotem człowiekiem, jakim byłem przedtem.

— A więc odejdz stąd — szepnęła — zanim zmieni cię tak, jak zmienił nas wszystkich.

— Już ci powiedziałem — rzekł, pochylając się do niej — dlaczego nie mogę odejść.

Pocałował ją lekko, muskając jej wargi, czując je na swoich ustach. Nie odpowiedziała na pocałunek ani nie odsunęła się. Kiedy odsunął się, spojrzała na niego badawczo, ze zdziwioną miną.

— Kocham cię — dodał na wypadek, gdyby nie pamiętała. — Gdybyś chciała być kobietą, starałbym się, żebyś odwzajemniła moją miłość.

Powoli wstała z podłogi, nie odrywając od niego oczu.

— Ale ja nie chcę być kobietą — powiedziała.

— Wiem — rzekł.

Nie zdziwił się, kiedy wyszła bez słowa. Przez resztę dnia sam sprzątał pracownię Glyrendena.

## 12

Nazajutrz Ewa poczuła się lepiej, a Glyrenden jeszcze nie wrócił.

— To pomyślna wróżba — zauważył Aubrey przy śniadaniu. — Nie jestem przesadny, ale nie przegapię takich dobrych znaków.

Lilith rzuciła mu nieprzeniknione spojrzenie. Pewnie tylko to sobie uroił, ale wydawało mu się, że traktuje go z rezerwą, tak samo jak przy kolacji poprzedniego dnia.

— Mówisz zagadkami — powiedziała.

— Chcę czegoś spróbować — odparł. — Dziś może być na to dobry dzień. Nie wiem, kiedy wrócę.

Skinęła głową, nie pytając, dokąd się wybiera ani co planuje. Nauczyła się od męża, że mało kto lubi ciekawskich; a może wcale jej to nie interesowało. Aubrey wziął od Arachne paczkę zjedzeniem i wczesnym przedpołudniem ruszył w drogę.

Szedł szybko i daleko, w głąb lasu, kilka mil od polany, na której nauczył się być zmiennokształtnym. Aby zrealizować swój zamiar, chciał oddalić się od wszystkich znanych sobie miejsc, wszelkich polanek czy ścieżek, na których pozostał słaby, lecz wyraźny zapach człowieka.

Było już południe, kiedy przystanął. Znajdował się trzy mile od najbliższej ścieżki, która odchodziła od głównej drogi; przez ostatnie sześćset jardów przedzierał się przez gąszcz, aż wyszedł na maleńką, otwartą przestrzeń. Otaczał ją gęsty pierścień drzew, a przez ich posplatane konary przedzierało się słońce, śląc promienie pożądliwie chłonącej je trawie. Zapewne kilkadziesiąt lat wcześniej inny wiąz czy dąb stał tu ramię w ramię ze swymi sąsiadami. Teraz pozostał po nim pusty krąg w sercu lasu i Aubrey zatrzymał się tu, zbierając myśli.

Aby zmienić coś z powrotem, powiedział Sirrit, musisz kochać to, czym było przedtem. Aubrey dotknął chropowatej kory najbliższego drzewa i rozmyślał o tym.

Drzewo powstaje z podstawowych składników, mówił Sirrit: z ziemi, powietrza, wody i ognia. Natomiast człowiek tylko z wody i powietrza.

Aubrey wystawił twarz do słońca, pozwalając, by grzało mu twarz, łuk policzka, ostre wygięcie brody. Sirrit mylił się. Człowiek powstaje z powietrza i wody, ale i z ognia, tak samo jak drzewo, gdyż korzysta z pierwotnej, podstawowej iskry dostarczanej przez słoneczne promienie.

Czy także z ziemi? — zastanawiał się Aubrey. Człowiek spożywa owoce ziemi, co tworzy pewien związek. Czy mógłby pominąć ten pośredni etap i nauczyć się czerpać pokarm bezpośrednio z żywej, nie skalanej ziemi?

Szybko schylił się, żeby zdjąć buty i wełniane skarpetki; potem rozwiązał, rozpiął i zdjął wszystkie części swojej garderoby. Wiedział, że może (ponieważ już próbował) zmieniać kształt nie przejmując się ubraniem i nie zdejmując go. Jednak nie chciał, żeby coś przeszkadzało mu podczas tej transformacji.

Wbił bosc stopy w czarną glebę, krytycznie oceniając jej skład. Warstwy liści, kawałki kory, naniesione wiatrem śmieci, resztki dawno padłych zwierząt; jeszcze głębiej podstawowe związki — azotu, niklu, miedzi, żelaza. Wszedł głębiej, czując, jak zbite warstwy ziemi otaczają jego kostki oraz łydki, dotykając, głęboko pod powierzchnią, podziemnej żyły wodnej.

Powoli uniósł ręce nad głowę, wyciągając je najdalej jak mógł, a potem jeszcze trochę, do słońca. Rozmnożył palce, zwiększając powierzchnię, którą mogło grzać, aż miał ich dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto i nieskończenie wiele — płaskich, lśniących i poznaczonych żyłkami nerwów tworzących marmurkowy wzór. Poczuł, jak wstrząsa nim wiatr, wprawiając w płas ramiona i łokcie; jednak jego tułów pozostał nieruchomy, prosty, wczepiony w ziemię. W całym ciele czuł powolny ruch związków chemicznych, wyspanych z gleby wokół stóp, wędrujących arteriami nóg, przez serce, przez łopatki aż do cienkich przedramion i radośnie wydobywających się samymi czubkami jego palców. Nie rozróżniał kształtów ani kolorów, a jednak wiedział, kiedy gaśnie światło, zastępowane kompletną, lecz nie budzącą lęku ciemnością. Potem światło znów zapalało się powoli, aż nie było nic prócz słońca, ciepłego i miłego; i znów stopniowo zapadała piękna, spokojna noc.

Jeśli jego ciało miało jakiś puls, to zwolnił on zgodnie z rym leniwym, dziennym rytmem; serce zaczynało bić o świcie i przestawało o zmroku, Jeśli oddychał, to wszystkimi porami swego ciała, a nie bezużytecznymi, niewydolnymi płucami. Nie miał pojęcia, czy to jawa czy sen; jedynie świadomość swego istnienia; egzystencji złożonej ze światła i cichej ekstazy.

Minęło pięć dni, zanim przypomniał sobie, kim naprawdę jest i jak stać się nim ponownie. Przemiana była wolna, trudna i wyczerpująca; przez jakiś czas leżał potem na ziemi, ponownie oswajając się z pulsowaniem krwi w żyłach. Później, wędrując przez las, był zdezorientowany i nieporadny jak dziecko uczące się chodzić. Z trudem łapał oddech, a serce waliło mu jak młotem. W pewnej chwili przystanął, opierając się plecami o potężny dąb i stwierdził, że jego ciało niemal instynktownie przybiera ten dobrze zapamiętany kształt. Szybko wyprostował się i podjął przerwany marsz w kierunku domu. Pomyślał, że w ciągu tych kilku dni aż za bardzo pokochał drzewa. A może kochał je już od dawna, tylko o tym nie wiedział.

Około południa własne ciało już nie wydawało mu się dziwne i szedł szybkim krokiem. Jak zawsze, kiedy opanował jakąś nową i trudną umiejętność, był zadowolony z siebie, a to zadowolenie odbijało się w jego wyglądzie. Otaczająca go aura przygnębienia zniknęła; nawet pogwizdywał cicho podczas marszu. Poczuł głód, co ostatnio rzadko się zdarzało, więc zatrzymał się i zjadł posiłek złożony z zapasów, które wziął ze sobą pięć dni temu. Chleb był suchy, a mięso twarde jak kamień. Idąc przez las, szukał owoców i innych jadalnych rzeczy.

Był już na głównej drodze, lecz jeszcze o dobre dwie godziny marszu od domu Glyrendena, kiedy spostrzegł nadchodzącego wędrowca.

— Hej tam! — zawołał Aubrey, machając ręką. Miał tak dobry humor, że był życzliwie nastawiony do całego świata i wszystkich ludzi. Miło mu było kogoś spotkać.

Jednak ta osoba rozpoznała go wcześniej i stanęła jak wryta na środku drogi, czekając, aż do niej podejdzie. To była Lilith, z twarzą pobladłą z udręki.

Natychmiast obawa zastąpiła dotychczasowy dobry nastrój.

— Lilith — powiedział zaniepokojony, kiedy był już tak blisko, że widział jej twarz. — Co ci jest? Co się stało?

Podszedł do niej i położył rękę na jej ramieniu. Popatrzyła na niego i nie cofnęła się.

— Lilith? Nic ci nie jest?

— Żyjesz — powiedziała.



Uśmiechnął się, rozczulony, ponieważ była taka przejęta.  
— Oczywiście, że żyję. Przepraszam... martwiłaś się o mnie? Nie sądziłem...  
Nagle wyrwała mu się. Gwałtownie podniosła dłonie do policzków; spojrzała na niego zza zasłony palców.  
— Nie było cię pięć dni — powiedziała głuchym głosem. — Myślałam, że nie żyjesz.  
— Przepraszam — rzekł cicho. — Nie wiedziałem, że będziesz się martwić. Nigdy przedtem nie martwiłaś się o mnie.  
— Myślałam, że nie żyjesz—powtórzyła. Wtedy uświadomił sobie, że płakała — cicho, rozpaczliwie — z pewnością po raz pierwszy w życiu.  
Natychmiast zrobił krok naprzód i wziął ją w ramiona. Przez moment czuł jej sztywne, napięte mięśnie, które zaraz rozluźniły się w jego objęciach. Wydawało się, że w zetknięciu z jego ciałem stała się istotą z krwi i kości. Wyczuł, jak drżą jej ramiona i cała napina się, usiłując powstrzymać łkanie. Gładził jej włosy; szeptał nieme słowa pociechy i raz po raz przeproszał. Jednak poczuł też dreszcz satysfakcji. Płakała — i płakała z jego powodu.  
Nagle odsunęła się, choć nie wyrwała się z jego uścisku. Wyglądała jednocześnie na bezbronną i urażoną.  
— Nie było cię pięć dni — powtórzyła. — Myślałam, że nie wrócisz.  
Uwolnił jedną rękę, żeby odgarnąć włosy z jej czoła. I ta niewiarygodna wilgoć też na jej policzkach—musiał ich dotknąć.  
— Czy nie powiedziałem ci, że cię nie opuszczę?—mruknął. — Nie uwierzyłaś mi?  
— Co robiłaś?  
Zaśmiała się cicho.  
— Nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział.  
— Co takiego?  
— Uczyłem się, jak bardziej cię kochać.  
Odruchowo potrząsnęła głową, lecz na jej policzkach wykwitł delikatny rumieniec. Aubrey znów roześmiał się.  
— Nie sądziłem, że to możliwe — dodał i znowu przycisnął ją do siebie.  
Pochylił głowę, żeby pocałować ją po raz drugi w życiu — tym razem naprawdę, w usta. Była czuła i nieśmiała jak dziewczyna, która nigdy się nie całowała, ale odniósł wrażenie, że spodobało jej się to; jej wargi chętnie poddały się jego wargom. Kiedy je całował, stawały się większe, pełniejsze, bardziej miękkie. Jej chłodna skóra stopniowo rozgrzewała się. Wymruczała coś i objęła go mocniej. Splotła dłonie na jego karku.  
A potem, nagle, znów odsunęła się od niego — tym razem bardziej gwałtownie. Silne pchnięcie sprawiło, że Aubrey cofnął się o trzy kroki, a ona upadła na kolana.  
— Lilith... — zaczął, robiąc krok ku niej, ale zerwała się z ziemi i odskoczyła. Zamarł.  
Jeżeli przedtem była załamana, to teraz wpadła w rozpacz.  
— Och, co ty mi zrobiłaś! — zawołała.  
— Co ci zrobiłem? — wykrzyknął. — Co ja takiego...?  
— Uczyniłaś moje życie nieznośnym!  
— Lilith!  
Załamując ręce, zaczęła krążyć tam i z powrotem.  
— On zmienił mój kształt, ale nie zmienił mnie — rzuciła przez ramię. — Nic mnie nie poruszało, nic nie dotykało; nie dbałem o Glyrendena ani żadnego innego człowieka. Wyglądałam jak kobieta, lecz byłam tym, czym byłam zawsze. Nie potrafił sprawić, abym czuła tak, jak ludzie.  
— Jednak ty... z tobą od początku było inaczej. Najpierw myślałam, że to tylko kwestia lubienia albo nie lubienia — umiarkowane słowa, umiarkowane emocje. Sądziłam, że po prostu uczyniłaś moje życie znośniejszym—a przez te trzy lata spędzone z Glyrendenem naprawdę poznałam różnicę między przyjemnym a nieprzyjemnym. Nie wiem, jak do tego

doszło, że stałeś się dla mnie kimś ważnym. Nie wiem, kiedy zaczęło mnie cieszyć to, że troszczysz się o mnie. Ani kiedy zaczęło mieć znaczenie, czy jesteś żywy czy martwy.

— Cieszę się, że to ma znaczenie — wtrącił.

— A ja nie! — odparła. — Jak mogę być żoną Glyrendena — jak teraz będę znów mogła znosić jego dotyk — teraz, gdy nauczyłam się czuć?

Sens jej słów uderzył go jak cios; z całą wyrazistością ujrzał teraz, w jaki sposób ją zdradził. Zaczął mówić, urwał i spróbował ponownie.

— Nie chciałem... nie miałem zamiaru... cię skrzywdzić — rzekł, zacinając się lekko. — Kochałem cię, zanim dowiedziałem się, czym jesteś. W ludzkiej naturze leży chęć zdobycia miłości istoty, którą się kocha. Nie chciałem cię przy tym zmieniać.

Przestała krążyć tam i z powrotem. Stała nieruchomo, spoglądając na gruby dywan sosnowych szpilek pod nogami. Jej twarz wygładziła się i zobojętniała; nie wiedział, czy go słucha.

— Kiedy zaczyna się transformacja, nie można jej zatrzymać

— powiedziała. — Jeżeli nauczę się kochać jak kobieta, poznam też inne rzeczy znane kobietom: nienawiść, strach i namiętność, nudę, zazdrość i całą resztę. Stanę się taka jak inne kobiety.

— Nigdy — wtrącił Aubrey.

— I powoli zapomnę o rzeczach, jakie znałam przedtem — ciągnęła, nadal ignorując go. — Nie będę zauważać zmiany pór roku. Przestaną rozumieć mowę wiatru. Nie będę pamiętała, jak to jest, stać nago w blasku zimowego księżyca i być piękną.

— Ale ja cię kocham — powiedział Aubrey. — Co mogę ci dać, co wynagrodziłoby ci utratę tego wszystkiego?

Potrząsnęła głową; nie chciała na niego patrzeć.

— Nie chcę tego, co możesz mi dać — powiedziała. — Nie chcę się zmienić, ani przez czary, ani przez miłość.

— Jednak zmieniłaś się — szepnął. — I co teraz zrobisz?

Jego zduszony głos zwrócił w końcu jej uwagę. Spojrzała na niego i to, co zobaczyła w jego oczach sprawiło, że cofnęła się o krok.

— Zrobię to, co zawsze — odparła. — Będę czekać, aż on mnie uwolni.

— Przecież nie zrobi tego! A jeśli z nim zostaniesz, to cię zabije!

— A jaki mam wybór?

Doskoczył do niej i chwycił ją za rękę, zanim zdążyła znów się cofnąć.

— Chodź ze mną — błagał. — Odejdźmy stąd razem... teraz, W domu Glyrendena nie ma niczego...

Potrząsała głową. Poruszała palcami w jego dłoniach, ale nie mogła się wyrwać.

— Nie, Aubreyu... będzie nas szukał...

— Za trzy dni będziemy w innym królestwie. Po kilku tygodniach możemy odjechać tak daleko, że nigdy nas nie znajdzie. Nie jestem takim złym czarodziejem... mogę zatrzeć wszystkie ślady...

Jej twarz straciła wszelki wyraz; dłonie zacisnęły się w pięści.

— Nie odejdę z tobą. Nie mogę go opuścić.

— Dlaczego? — zapytał. — Dlaczego?

— Ty możesz tylko zmienić mnie jeszcze bardziej — odrzekła. — Nie możesz zmienić mnie z powrotem. Nie możesz dać mi tego, czego pragnę.

Prawie odepchnął ją od siebie; zachwiała się, ale utrzymała równowagę.

— On też ci tego nie da! — zawołał Aubrey. — Wolisz być nieszczęśliwą kobietą z Glyrendenem, czy zadowoloną ze mną?

Z uporem pokręciła głową.

— Nadzieja była pierwszym ludzkim uczuciem, jakie poznałam — rzekła. — Przy nim mam nadzieję. Przy tobie miałabym tylko miłość. To nie wystarczy.

Zamknął oczy. Nagle poczuł się wyczerpany.

— Ja mam miłość, lecz nie mam nadziei — powiedział. — Nie wiem, co jest gorsze.

Podeszła do niego na tyle blisko, żeby go dotknąć, a on znów otworzył oczy i spojrzał na nią. Na twarzy miała nieśmiały, łagodny uśmiech.

— Proszę — powiedziała. — Nie chcę z tobą walczyć. Nie chcę być zła na ciebie — ani żebyś ty się na mnie złościł. Bądźmy... bądźmy tacy jak przedtem.

Nie wiedziała, jak wyrazić żal czy lęk; nawet nie wiedziała, że boi się go utracić. Aubrey patrzył na nią, zastanawiając się, czego jeszcze miała się nauczyć, bezwiednie, wbrew jej woli.

— A więc chcesz, żebym został? — zapytał powoli. — Jeśli mam tylko uczynić twoje życie mniej znośnym, to odejdę od razu.

— Nie — odparta pospiesznie. — Uczynisz je trudniejszym, ale nie gorszym. Ja nie... nie jestem pewna, czy zdołałabym teraz przetrwać bez ciebie.

— Nie potrafię przestać cię kochać — ostrzegł. — Jeżeli pozwalasz mi zostać pod takim warunkiem, to będę musiał odejść.

Lilith znów zarumieniła się, ale potrzęsnęła głową.

— Nie będę próbowała cię zmienić, jeżeli ty nie będziesz starał się zmienić mnie — powiedziała. — Proszę, zostań.

Chciał znów ją pocałować, choćby w rękę, lecz zamiast tego złożył jej głęboki, dworny ukłon.

— Zostanę — powiedział.

Nie wypuszczając jej palców, poprowadził ją drogą; trzymając się za ręce zaczęli długi marsz z powrotem do domu Glyrendena. Jednak Aubrey pomyślał, że przed chwilą skłamali oboje, chociaż żadne nie przyznałoby się do tego. On wiedział, co to nadzieja, a ona wiedziała, co to miłość.

Kiedy wrócili, Glyrenden był w domu, ale zdawał się nie zauważać, że jego żona i uczeń zniknęli na jakiś czas. Siedział w kuchni, na jednym z solidnych drewnianych krzesel, a na sąsiednim przycupnęła bojaźliwie Ewa. Orion, skulony w kącie, obserwował ich oboje ze zwykłą, napiętą uwagą. Arachne, kręcąc się między stołem a stolikiem, na którym przygotowywała kolację, co chwilę rzucała im ukradkowe spojrzenia i mamrotała zawzięcie pod nosem.

Glyrenden nie zwracał uwagi na nikogo prócz Ewy. — Ach, moja piękna — rozplątywał się, gładząc jej miękkie włosy. — Jakże mi cię brakowało! Jak bardzo chciałem, żebyś pojechała ze mną. Jeszcze nie jesteś gotowa na towarzystwo wielkich ludzi, ale już niedługo. Wkrótce będziesz jeździć ze mną wszędzie, dokąd pojedę.

Ewa spoglądała na niego wielkimi piwnymi oczami, a na jej twarzy rozpacz mieszała się z błaganem. Drżała pod jego dotknięciem i nic nie mówiła.

Aubrey tak długo stał w progu, że Lilith musiała przecisnąć się obok niego, żeby wejść. Zajęła swoje stałe miejsce przy stole, spojrzała na męża i odwróciła wzrok. Nie patrzyła na Aubreya.

A on nadal stał w drzwiach, nie mogąc się ruszyć, nie mogąc wejść do kuchni. Jak długo jeszcze mam to znosić? — myślał. I co mogę zrobić?

Glyrenden był w domu dopiero od dwóch dni — a przez ten czas prawie się nie odzywali, mało co jedli i niemal nie oddychali — kiedy do frontowych drzwi zapukał posłaniec. Właśnie siedzieli wtedy przy śniadaniu, kiedy usłyszeli jazgotliwe dźwięki zardzewiałych dzwonek.

Glyrenden karmił Ewę płatkami słodzonymi miodem i zmarszczył brwi na to nieoczekiwane zakłócenie spokoju.

— Kto to może być? — zapytał. — Nie spodziewam się gości.

Aubrey natychmiast skorzystał z okazji, by opuścić kuchnię.

— Mam sprawdzić? — zaproponował, wstając z krzesła. Glyrenden zezwolił łaskawym skinieniem ręki.

Aubrey pospieszył zakurzonym przedśionkiem, otworzył ciężkie drzwi i z niechęcią spojrzął na Royela Stephanisa.

— Jest tu jej mąż — rzucił mu na powitanie. — Lepiej natychmiast ruszaj w swoją stronę.

Tak jak poprzednio, młody szlachcic wślizgnął się za próg, zanim Aubrey zdążył go zatrzymać.

— Przybyłem tu zobaczyć się z Glyrendenem — powiedział.

— Król przysłał mnie tutaj, żebym natychmiast sprowadził go na dwór.

Aubrey zapomniał, że Royel podjął służbę na królewskim dworze. Mimo wszystko...

— Dziwię się, że król może traktować szlachcica jak gońca czy giermka — rzekł.

— Sam się tego podjąłem — odparł Royel. — A teraz, czy zechcesz zaprowadzić mnie do niego?

Aubrey poprowadził młodego lorda przez sień, obok zardzewiałej zbroi i popękanych kamiennych schodów, aż do kuchni, gdzie czekali pozostali domownicy. Zastanawiał się, co Royel pomyśli o tej scenie — żona czarodzieja spokojnie siedząca przy stole, podczas gdy jej mąż zaborczo spogląda na piękną, wystraszoną dziewczynę. Jeśli Royel potrzebował czegoś, co przekonałoby go, że Lilith powinna zawierzyć jego miłości, pomyślał zrezygnowany Aubrey, to na pewno ten sielski obrazek domowej idylli dostarczy mu argumentu.

— Royel Stephanis z wiadomością od króla — zaanonsował Aubrey, wchodząc do kuchni wraz z depczącym mu *po* piętach Royelem. Glyrenden upuścił łyżkę i błyskawicznie obrócił się do wchodzących, lecz nikt z pozostałych nie zainteresował się nowo przybyłym. Ewa wykorzystała ten moment, żeby jak najdalej odsunąć swoje krzesło od czarodzieja. Lilith upiła łyk mleka i zerknęła na stojącą w progu postać. Arachne i Orion wcale nie zwracali na niego uwagi.

— Wiadomość od króla? — warknął Glyrenden, podnosząc się z krzesła. — Opuściłem go parę dni temu i mówił wtedy, że nie będzie mnie potrzebował przez następne dwa tygodnie.

— To niespodziewana i pilna sprawa — odparł sztywno Royel. Dobrze to ukrył, ale Aubrey podejrzewał, że zeszywniał pod wpływem szoku. Nadzwyczajnym wysiłkiem woli chłopak nie odrywał oczu od Glyrendena i nawet nie zerknął w kierunku Lilith. — Mam tu pergamin z jego pieczęcią.

— Daj mi go — rzekł Glyrenden i wyrwał zwój z wyciągniętej dłoni Royela.

To, co przeczytał, wyraźnie zadowoliło go — a nawet sprawiło mu przyjemność — bo zaśmiał się krótko i złożył pergamin na pół.

— Wróć do ciebie za dziesięć minut — rzekł. — Muszę wziąć kilka magicznych przedmiotów.

Czarodziej opuścił kuchnię. Spojrzenie Royela natychmiast pobiegło ku twarzy Lilith.

— Zastanawiałem się... chciałem sprawdzić... chciałem wiedzieć, czy dobrze się czujesz — wyjąkał młodzieniec, chociaż w rozmowie z magiem zachował zimną krew. — Cieszyłem się, mając szansę przybyć tutaj... znów cię zobaczyć, chociaż przez chwilę...

— Mam się dobrze — odparła Lilith. Ich spojrzenia spotkały się na moment; potem odwróciła wzrok.

— Kawy? Zjesz coś? — pytał rzeczowo Aubrey. — Musiałeś jechać całą noc.

— Zeszłego wieczoru przerwałem podróż w pobliskiej wiosce — wyjaśnił Royel. — Nie chciałem zjawiać się tu w środku nocy.

— Skoro już tu jesteś, możesz coś zjeść — stwierdził Aubrey, popychając go w kierunku stołu.

Jednak Royel, podobnie jak pozostali domownicy, nie miał apetytu. Wybrał krzesło stojące obok Lilith i powiedział do niej cichym, napiętym głosem:

— Wyglądasz na smutną, nieszczęśliwą. Jak mogę ci pomóc? Kim jest ta dziewczyna? Lilith zerknęła na Ewę.

— Bratanicą mojego męża.

— Bratanicą! — Royelu... — rzekł ostrzegawczo Aubrey.

Royel spojrzał na niego z niedowierzaniem.

— To nie jest jego bratanica! — zawołał.

— Jest lepiej dla wszystkich zainteresowanych, jeśli tak ją nazywamy — stwierdził Aubrey.

— Jedz i szykuj się na długą drogę powrotną w towarzystwie maga.

Zamiast tego, Royel przysunął się jeszcze bliżej do żony czarodzieja i wziął ją za rękę. Spoglądała na niego uważnie, z twarzą pozbawioną wyrazu.

— Jeśli wrócę po ciebie — rzekł młodzieniec — odjedziesz ze mną? Mógłbym zabrać cię w bezpieczne miejsce, mógłbym uwolnić cię...

— Nie — przerwała mu.

— Ale ja cię kocham!

Szybko uwolniła rękę i chwyciła kubek z mlekiem. W drzwiach wiodących z kuchni do przedsiönka pojawił się Glyrenden.

— Ach, widzę, że moja czarująca małżonka nakarmiła cię — rzekł wesoło czarodziej. Trudno było powiedzieć, co zauważył, podsłuchiwał czy podejrzewał. — Chodźmy, młody Stephanisie. Król wysłał tę wiadomość w pośpiechu. Nie mamy czasu do stracenia.

Royel niechętnie wstał z krzesła i złożył formalny ukłon wszystkim obecnym.

— Jeśli los pozwoli, wkrótce zobaczymy się znowu — rzekł.

Czarodziej pochylił się i pocałował Lilith w usta. Kiedy się wyprostował, przez moment trzymał jej brodę w swojej dłoni.

— Kolejny raz przypomniałem sobie, jaka jesteś piękna — mruknął. — Nie zapomnij, że niebawem wracam.

Potem mocno uściskał Ewę, podnosząc ją z krzesła, żeby przycisnąć do piersi jej drobne, drżące ciało.

— Najdroższa — wymamrotał w jej ciemne włosy. — Przysięgam, że następnym razem pojedziesz ze mną.

Skończywszy pożegnania, czarodziej ze śmiechem odwrócił się do młodego lorda, który czekał na niego z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

— Możemy jechać? — spytał mag i wyprowadził chłopca z kuchni. Royel zaryzykował ostatnie, zrozpaczone spojrzenie w kierunku Lilith. Po chwili stukot kopyt ucichł w oddali.

— Oto jedzie bardzo niemądry młodzieniec — rzucił gniewnie Aubrey.

— I bardzo okrutny starzec — odparła Lilith.

## 13

Cztery dni później Glyrenden wrócił. Jechał na swym narowistym czarnym ogierze, wiodąc zapasowego konia, który był bardzo podobny do tego, na jakim jeździł Royel. Za nimi, biegnąc, jakby bolały go nogi, a mięśnie nie nawykły do takiego wysiłku, truchtał kundelek, jeszcze prawie szczenię. Gdy ta mała kawalkada dotarła do drzwi domu czarodzieja, pies z głośnym westchnieniem legł na brzuchu, zamknął oczy i natychmiast zasnął.

Lilith i Aubrey, wracający właśnie z popołudniowej przechadzki, odwrócili się, by w milczeniu obserwować nowo przybyłych. Ewa, siedząca wśród kwiatów w ogrodzie, niepewnie podniosła się z ziemi na widok czarodzieja. Konie nerwowo szarpały się w rękach

Glyrendena, robiąc tyle zamieszania, że w końcu Aubrey podszedł do nich i wziął oba zwierzęta za wodze. Przywiązał je do słupka i zdjął sakwy Glyrendena z grzbietu ogiera.

Potem odwrócił się i spojrzał na śpiącego na progu psa.

— Czy to nie dziwne? — rzekł Glyrenden, chociaż nikt go nie pytał. — Jeszcze nie przejechaliśmy połowy drogi do pałacu, kiedy nagle, tuż przed nami, wyskoczył spod kamienia grzechotnik i ten narowisty wierzchowiec stanął dęba, zrzucając swego pana. Młody Stephanis zginął na miejscu, chociaż robiłem, co mogłem, żeby go uratować. Kiedy zaniósłem tę smutną wieść królowi, wyraził ogromny żal i podziękował mi za moje wysiłki ratowania go. W nagrodę podarował mi rumaka chłopca, a także jego ulubionego psa. Lubię psa, ale koń jest zbyt dziki. Jeśli nie zdołam go obłaskawić, trzeba będzie się go pozbyć.

Teraz z domu wyszli Orion i Arachne, zwabieni nerwowym parskaniem koni, a może wyczuwając panujące wokół napięcie. Orion podszedł do wierzchowców i natychmiast oba uspokoiły się; Arachne przystanąła przed psem i spojrzała na niego, groźnie marszcząc brwi. Włosy na każdym meblu i nie wiadomo, czy nie będzie sikał po domu? — pomyślała, sądząc z wyrazu jej twarzy. Najwyraźniej przerwała sporządzanie wieczerzy, gdyż w rękę trzymała drugi kuchenny nóż, który bezwiednie wycierała rąbkiem brudnego fartucha. Ewa skuliła się w mały, drżący kłębek na ganku. Lilith, nieporuszona jak zawsze, spokojnie obserwowała Aubreya.

Ten stał z pochyloną głową, czując przerażenie żrące go jak kwas. Nie umiałby powiedzieć, dlaczego to było najgorsze ze wszystkiego, lecz było. Tak straszne, że nie mógł dłużej z rym żyć. Nagle wydarzenia zadecydowały za niego w sprawie, w której dotychczas nie potrafił podjąć decyzji.

— Przemień go z powrotem — powiedział do Glyrendena, nawet nie podnosząc głowy.

Glyrenden właśnie przetrząsał juki w poszukiwaniu czegoś przywiezionego z dworu, więc kiedy obejrzał się na Aubreya, przez chwilę jego spojrzenie było puste i nieobecne.

— Słucham? — rzekł.

Aubrey podniósł wzrok. Spojrzał spokojnie na Glyrendena i powiedział trochę głośniej:

— Przemień go z powrotem.

Czarodziej upuścił juki i wyprostował się, mierząc Aubreya nieprzyjaznym spojrzeniem.

— Nie wiem, o czym mówisz.

Aubrey wskazał ręką.

— Ten pies. Kiedyś był człowiekiem. W dodatku królewskim pośłańcem. Przywróć mu jego postać.

Przez chwilę Aubrey sądził, że czarodziej ponownie zaprzeczy, ale nagle starzec roześmiał się. Ten dźwięk zabrzmiał rażącym dysonansem wśród wesołych barw jesiennego popołudnia.

— Bawi mnie w takiej postaci.

— Mimo to przemień go z powrotem.

— Na twój rozkaz? Nie mam zamiaru.

— Przemień go. Inaczej sam to zrobię.

Glyrenden zdawał się rosnąć i chudnąć, a jego czarne oczy przypominały nocne niebo, tak były pełne iskerek zimnego blasku.

— Będziesz musiał mnie zabić, żeby zerwać moje zaklęcia.

— Tak — rzekł Aubrey. — Przemień go z powrotem, albo sam to zrobię.

Stali na małej polance przed domem, ze wszystkich stron otoczonej drzewami, krzakami i jedną ze ścian domu. Gdy Aubrey wymówił ostatnie słowa, ta przestrzeń zdawała się kurczyć, jakby wszystko, co żyło w promieniu mili, cisnęło się, żeby lepiej widzieć. Ewa

przestała dygotać, pies podniósł łeb; jednak żaden z przeciwników nie zwrócił na to uwagi. Nie widzieli niczego, tylko siebie.

— Jesteś dobry — mruknął Glyrenden — ale czy tak dobry? Nie nauczyłem cię wszystkiego, co wiem.

— Jednak nauczyłem się wiele bez twojej pomocy — odparł chłodno Aubrey. Teraz, gdy nadeszła ta chwila, ściskanie w dołku ustąpiło; teraz mógł zabić Glyrendena lub zostać zabity. Tak czy inaczej, nie będzie już musiał dłużej żyć z poczuciem winy; ulga wprawiała go w uniesienie i wyostrzyła zmysły.

Glyrenden prychnął pogardliwie.

— Nie obawiam się tego, czego nauczyli cię inni.

— Nie ich wiedzy zamierzam użyć przeciw tobie — odparł.

— Dobrze więc — rzekł Glyrenden i nie powiedział nic więcej. Niemal zanim Aubrey zrozumiał, że czarodziej podjął rzuconą rękawicę, zaczęła się walka. Glyrenden nagle przestał być chudym, ruchliwym starcem; jako ogromny wilk, szeroko otwierając paszczę, rzucił mu się do gardła.

Jednak Aubrey też nie był już człowiekiem. Stał się sokołem i bijąc skrzydłami, przeleciał dwie stopy nad łbem warczącego drapieżcy. Zanurkował, mierząc szponami w czarne ślepie wroga. Wilk przywarł do ziemi, zmienił się w kuguara i z rykiem ponownie skoczył na sokoła. Aubrey poczuł, że ostre jak szable pazury zahaczyły o koniec jego lewego skrzydła i w mgnieniu oka przybrał inną postać. Był niedźwiedziem, większym od Oriona, z łapami jak patelnie, i wysuwając pazury uderzył w wyszczerzony pysk kuguara. Jednak kuguar zniknął. W miejscu gdzie był, pojawił się głaz, bezbarwny i kanciasty, odporny na kły i pazury. Aubrey spadł nań z góry, przybierając kształt sześciostopowego, ostro zakończonego łomu. Na nierównej powierzchni kamienia pojawiło się zygzakowate pęknięcie; potem obaj przeciwnicy potoczyli się po ziemi. Przez chwilę obaj zmienili się w mężczyzn — ciemnowłosego i jasnowłosego. Zerwali się na równe nogi cztery jardy od siebie, mierząc jeden drugiego ludzkimi oczami.

— A więc — powiedział Glyrenden — ćwiczyłeś podczas mojej nieobecności.

— Cyril na pewno ci mówił, że szybko się uczę.

— Mówił. Przyznaję, że mu nie wierzyłem.

— Nigdy nie napotkałeś czarodzieja zręczniejszego od siebie?

— Och, Cyril jest lepszym iluzjonistą i lepiej wywołuje wizje w wodzie lub kryształach. Są też inni przewyższający mnie pewnymi umiejętnościami. Jednak w tym... nie, mój mały, nigdy nie spotkałem równego sobie.

— Przywróć mu jego postać — powtórzył Aubrey. — Przywróć postać im wszystkim.

Glyrenden tylko uśmiechnął się. Ten uśmiech był tak szeroki, że pokazał wszystkie zęby, cały zmienił się w jedną ogromną paszczę; przybrał monstrualne rozmiary, stając się smokiem o rdzawej skórze barwy jesiennych liści oraz straszliwych, białych jak mleko kłach. Smok ryknął, stanął na tylnych łapach, po czym runął z siłą spadającego głazu na młodego czarodzieja, zamierzając go zmiażdżyć.

Jednak Aubrey był zbyt mały i szybki; zmienił się w pchłę, małą i nieuchwytną, siedzącą na smoczym karku. Nie, już nie; Glyrenden rozpuścił się w lepka kałużę wody, której wzburzona powierzchnia miała utopić siedzącego na niej owada. Lecz pchła przeskoczyła na bezpieczny grunt i błyskawicznie urosła w płomień buchający na brzegu wzburzonego bajora. Woda pociekła, usiłując zgasić płonący ogień, ale ten był o wiele silniejszy; jego żar sprawił, że wszyscy patrzący na to cofnęli się o krok.

Każka wyparowała jak rosa w letnim słońcu, tylko znacznie szybciej; Glyrenden uniósł się nad Aubreyem jako mgła wisząca w powietrzu. Ogień nagle zniknął, zastąpiony przez zabójczy mróz, ścinający gęsty opar, w jaki zmienił się czarodziej. Glyrenden opadł na ziemię w postaci długiego pasma białego szronu; skrzące się jak diamenty kryształy

przekształciły się w węża, brązowego i syczącego. Aubrey jako topór opadł na jego łeb, lecz gad zmienił się w rdzę, przywierając do żelaznego ostrza. Młodzieniec stał się szkłem, kruchym i śliskim; Glyrenden uderzył weń jako kula, nadlatująca znikąd. Jednak szkło było już kupką piasku, grubego i opornego. Kula spłaszczyła się przy uderzeniu.

Metamorfoza: kula poruszyła się i zmieniła w chwast, mogący rosnąć na każdej glebie, podnoszący włochaty łeb nad przyzmą piasku. Wtedy zerwał się silny wichur, który uniósł ziarna piasku w słup wysokości zwierzęcia, dziecka, mężczyzny; znów pojawił się Aubrey, pochylony, by zerwać chwast.

Jednak w jego ręku chwast stał się pnączem jeżyn, porośniętym kolcami; na dłoni Aubreya w tuzinie miejsc wykwitły plamki krwi. Zaklął cicho, zniecierpliwiony, ale nie puścił łodygi. Wokół panowała tak głęboka cisza, że jego słowa powinny być słyszalne w każdym zakątku lasu; tymczasem powiedział coś tak cicho, że nikt go nie zrozumiał.

I nagle, oszołomiony i wstrząśnięty, stanął przed nim Glyrenden, zmieniony cudzą magią z jednej postaci w inną. Zawahał się tylko przez moment, targany wściekłością i strachem, ale Aubrey nie czekał, aż przeciwnik zbierze myśli. Wyrwał nóż z dłoni Arachne, skoczył na czarnowłosego maga i z całej siły wbił mu ostrze w serce. Przez moment cały świat zastygł w bezruchu. Potem powolnym, prawie eleganckim piruetem Glyrenden osunął się na ziemię pod nogi Aubreya.

A wtedy jakby każde zwierzę w lesie zawyło, ryknęło lub warknęło ile sił w gardle; ze wszystkich stron, na wiele mil wkoło podniosła się kakofonia dźwięków. Drzewa zatrzeszczały pod uderzeniem wichru, a może same z siebie, smagając na boki gałęziami, które skrzypiały i splatały się. Za plecami Aubreya, powoli, jakby ktoś wyciągał z niej kamień po kamieniu, szara forteca Glyrendena runęła i rozsypała się w proch.

Na polance przed gruzami budowli pozostało pięć żywych istot, które usiłowały utrzymać równowagę na dygoczącej ziemi i odzyskać ośpiąte zmysły.

Aubrey ocknął się z transu i stwierdził, że nadal ściska w dłoni zakrwawiony nóż, spoglądając na skurczone ciało martwego czarodzieja. Glyrenden nie żył dopiero od minuty, a już wszyscy leśni padlinożercy rzucili się na jego ciało: mrówki, czerwie, grzyby i pleśnie. Pnącza owinęły się wokół jego przegubów, kostek i szyi, przytrzymując je w mocnym uścisku. Brudne czarne włosy opadły odsłaniając pobielającą twarz, a gnijąca skóra wyraźnie ukazywała kształt i kolor czaszki. Do zmroku nie pozostanie ani strzęp ciała, włosów czy kości; żaden kamień nie będzie znaczył miejsca, gdzie stał jego dom. Glyrenden i jego magia znikną bez śladu.

Aubrey ocknął się i zanim jeszcze zdążył rozejrzeć się za pozostałymi, podniósł ręce i szybko rzucił zaklęcie wstrzymujące. W jego zasięgu ustał wszelki ruch; drzewa przestały się kołysać, mrówki przerwały pracę, znieruchomiała trawa. Niedźwiedź, który stanął na tylnych łapach, przysiadł na ziemi. Mały brązowy pająk, umykający ku bezpiecznej kryjówce szarych kamieni, zmarł w połowie drogi. Leżący na boku młody chłopiec, przerażony i zdumiony, znów zapadł w sen. Sarenka zastygła, z nogą uniesioną w powietrzu.

Tylko Lilith poruszyła się dopiero wtedy, gdy podszedł do niej Aubrey.

— Nie żyje — powiedział zupełnie niepotrzebnie.

Skinęła głową.

— Od jak dawna chciałeś go zabić? — spytała.

— Chyba od kiedy dowiedziałem się, co zrobił, i te nie zamierza tego naprawić.

Wskazała na pozostałych.

— Zabijając go, uwolniłeś ich. Spodziewałeś się tego?

— Większość magii czarodzieja ginie razem z nim. Opowiadają historie o rubinach zmieniających się w kamienie i całych łańcuchach górskich, które znowu stały się łąkami, kiedy wielki czarodziej Talvis w końcu zdjął z nich czar. Jednak dobry mag może rzucić czar



działający i po jego śmierci. Może wypowiedzieć zaklęcia tak prawdziwe, że stają się rzeczywistością, a wtedy tylko inne czary mogą je odwrócić.

Patrzyła na niego i w jej zielonych oczach ujrzał nie wypowiedzianą tęsknotę, którą przedtem tylko wyczuwał. Zapytała po prostu:

— Możesz mnie zmienić?

— Tak sędzę — odrzekł — ale nie jestem pewien.

Zerknęła na ciało Glyrendena, a potem na Aubreya.

— Zmieniłeś go wbrew jego woli, podczas walki. To chyba było trudniejsze.

Aubrey uśmiechnął się bez cienia wesołości.

— Mój stary mistrz, Cyril, zawsze powtarzał, że łatwiej niszczyć niż tworzyć—powiedział.— Nigdy nie rozumiałem, co miał na myśli, ale jedyne zaklęcia, jakich mnie uczył, były czarami tworzenia i naprawdę były bardzo trudne. W porównaniu z nimi, niszczyć jest znacznie łatwiej. Dowiedziałem się tego dopiero dziś.

— Nie rozumiem — powiedziała.

Aubrey wskazał na stertę kamieni i oboje usiedli. Starannie unikał dotykania dziewczyny.

— Bardzo trudno zmienić cokolwiek w coś innego, a potrzebne w tym celu zaklęcia są najtrudniejsze ze wszystkich. Jeszcze trudniejsze i bardziej ryzykowne jest zmienianie tego, co już zostało przemienione za pomocą czarów. Równie dobrze mogłem zabić Glyrendena nadając mu jego prawdziwą postać, ale ponieważ i tak zamierzałem go zabić, niewiele mnie to obchodziło. Jeśli spróbuję cię zmienić, podejmę takie same ryzyko.

— Och — powiedziała. — Jednak zrobię to, jeśli zechcesz.

— Tak — odparła. — Chcę.

Aubrey nic nie odpowiedział w nadziei, że doda słowo czy dwa, by złagodzić ten wybór, ale nie powiedziała już nic więcej. W końcu wstał i podszedł do innych stworzeń, unieruchomionych przez pospiesznie rzucone zaklęcie.

Położył dłoń na ślepiach niedźwiedzia i pozbawił go wszystkich wspomnień o tym, jak to jest być człowiekiem. Zabrał mu wspomnienia stołu i sypialni, wioski i polowań, sensu słów i smaku gotowanego mięsa. Pozbawił Oriona nienawiści do człowieka, jaką znalazł w jego sercu, lecz pozostawił strach wywoływany przez najłżejszy ludzki zapach.

— Teraz idź — szepnął, zdejmując z niedźwiedzia zaklęcie trzymające go w miejscu. — Żyj długo i szczęśliwie, do końca twych dni unikając ludzi.

Klęknął przy brązowym pajęczku i przesunął palcem po wygiętym grzbiecie. W małym mózdzku nie było wiele miejsca na wspomnienia, ale Aubrey i tak, najlepiej jak zdołał, oczyścił te komórki z wszelkich wspomnień kobiecości. W swej prawdziwej postaci wyglądała ładnie, na pewno nie była piękna, lecz delikatnie zbudowana. Aubrey łagodnie pogłaskał jej grzbiet.

— Zapomnij wszystko — mruknął — prócz lęku przed ludźmi.

Potem podniósł dłoń, a ona umknęła, najszybciej jak mogła, przebierając cienkimi, silnymi nóżkami.

Sarna spoglądała na niego szeroko otwartymi oczami, drżąc nawet pod jego zaklęciem. Aubrey położył dłonie po obu stronach jej pyszczka i kciukami zamknął jej oczy; a robiąc to, zatarł w jej pamięci wszystkie wspomnienia, które wciąż wprawiały ją w drżenie. Niemal natychmiast uspokoiła się i zaraz znów zaczęła dygotać. Nie odebrał jej tego instynktownego lęku przed ludźmi, a przecież był tutaj on, człowiek, i trzymał ją. Zabrał ręce, zdjął czar, a ona natychmiast śmignęła w lesny gąszcz, nie oglądając się za siebie.

Wreszcie Aubrey podszedł do śpiącego chłopca, jeszcze prawie dziecka, który nawet we śnie miał zdumioną, przerażoną minę. Położył dłoń na jego skroni i zabrał mu całą pamięć minionych czterech dni, podróży do domu Glyrendena, strasznej chwili transformacji, siły psich łap, sprężystości cudzych mięśni, psiego poszczekiwania, tak dziwnie łatwo

dobrywającego się z gardła. Zawahał się, szperając w mózgu Royela i znajdując tam szereg obrazów Lilith, ale w końcu pozwolił mu zachować te wizje. Gdyby zamienili się miejscami, nie chciałby, żeby Royel zatarł jego wspomnienia o żonie czarodzieja; sam też powinien okazać wielkoduszność.

W miejsce wspomnień, które zabrał, Aubrey stworzył nowe: upadku z konia, utraty pamięci, dwóch dni spędzonych pod opieką troskliwej wieśniaczki. Król będzie się dziwił, dlaczego wyjaśnienia Glyrendena tak znacznie różniły się od wersji młodego lorda, ale wkrótce zapomni o tym, kiedy zniknięcie czarodzieja wywoła szereg nowych pytań. A te pytania, myślał Aubrey, na zawsze pozostaną bez odpowiedzi.

Wstał i spojrzał na Lilith, która nadal go obserwowała. Chłopiec u jego stóp wciąż spał.

— Nie żyje? — zapytała Lilith.

— Nic podobnego — odparł. — Jednak myślę, że będzie lepiej, jeśli odejdziemy stąd, zanim się zbudzi. Nie mam ochoty odpowiadać na jego pytania.

Rozejrzała się po polance, która z każdą chwilą stawała się mniejsza. Aubrey cofnął powstrzymujące zaklęcie i las podchodził coraz bliżej.

— Jeśli będzie spał za długo, może obudzić się w zupełnie nie znanym mu miejscu.

— Rzuciłem czar, który go chroni. Nic mu nie będzie.

— A jakie wieści o Glyrendenie zanieś królowi?

— Żadnych, tylko plotkę, która wkrótce znajdzie się na ustach wszystkich, że wielki czarodziej nie żyje.

Z twarzą pozbawioną wyrazu spojrzała na ciało zabitego męża.

— Nie będzie żadnego dowodu.

— Nie — przyznał Aubrey. — Jednak to fakt.

Wstała i spojrzała mu w twarz; znów zdumiał się, jak zielone są jej oczy, takie piękne w takiej zwyczajnej i kochanej twarzy.

— A ja? — zapytała.

— My udamy się do Królewskiego Gaju — rzekł Aubrey — które to miejsce od dawna chciałem zobaczyć. Potem odejdę, a ty zostaniesz, i świat będzie taki, jakim był przed narodzinami Glyrendena.

— Nie całkiem taki — szepnęła i przez moment wydało mu się, że w jej oczach zabłyśły łzy. — Ponieważ ty będziesz pamiętał i używał zaklęć, których cię nauczył. A ja... ja będę żyła długo z obcymi wspomnieniami w sercu.

Aubrey milczał przez chwilę.

— Nie — rzekł w końcu, bardzo wolno. — Będziesz taka Jak przedtem, ze wspomnieniami należącymi tylko do ciebie, nie pamiętając o niczym prócz ziemi i pór roku. Sprawilem, że tamci zapomnieli, więc i ty zapomnisz — jakby tych trzech lat nigdy nie było.

— Jeśli mam zapomnieć Glyrendena — spytała szeptem — czy to oznacza, że zapomnę i ciebie?

— Tak.

— Zatem nie chcę zapomnieć.

Milczał, bo nagły przypływ nadziei ścisnął mu gardło, nie pozwalając wypowiedzieć ani słowa. Ona nic nie czuła do Glyrendena, miłości czy nienawiści, gdyż stworzono ją z żywej istoty nie znającej uczuć, namiętności czy emocji. Jednak przez trzy lata pozostawała kobietą, traktowaną jak kobieta i kochana przez trzech różnych mężczyzn; miała duszę, rozum i umiała mówić. Może transformacja, której tak bardzo się obawiała, w końcu się dokonała.

— Lilith — rzekł wreszcie bardzo cicho. — Wiem, co wycierpiałaś za sprawą Glyrendena oraz to, że nigdy nie pokochałabyś takiego człowieka jak on. Jednak ja nie jestem taki jak Glyrenden i od dawna cię kocham. Zrobię, co powiesz — zabiorę cię tam, gdzie chcesz być.

Jednak moje życie będzie jałowe i puste bez ciebie. Świat, który niegdyś wydawał mi się pełen barw i obietnic, będzie szary i nudny. Powiedz, że ze mną zostaniesz. Pozostań kobietą i moją żoną. Nie wiesz, jak dobre może być takie życie. Przysięgam, że umarłbym, żebyś była szczęśliwa.

Milczała chwilę z pochyloną głową, skrywając przed nim swe cudowne oczy. Potem podniosła głowę i zobaczył, że płacze i śmieje się jednocześnie. Podeszła bliżej i wzięła jego twarz w dłonie; po raz pierwszy sama go dotknęła.

— Nie byłabym szczęśliwa, gdybyś umarł—powiedziała. — I gdybym mogła być szczęśliwa jako kobieta, wiem, że zostałabym u twego boku. Jednak zapominasz o tylu rzeczach, Aubreyu, mój najdroższy. Zapominasz, że jestem obca i nawet zwykli wieśniacy rozpoznają we mnie tę obcość...

— Nie powiedzieliby o tobie złego słowa, gdybym był w pobliżu — przerwał jej.

— Zapominasz, że nie mam rodziny ani przyjaciół, żadnych umiejętności ani ochoty do rozmowy. Nie mogłabym towarzyszyć ci w świecie ludzi, w eleganckim towarzystwie, w jakim kiedyś będziesz bywał.

— Niepotrzebne mi towarzystwo bogatych i wyrafinowanych. Zadowolilibym się chatką w głębi lasu, gdybyś zamieszkała w niej ze mną.

Znów uśmiechnęła się.

— Nie byłbyś zadowolony. Jesteś wielkim czarodziejem, Aubreyu i twoim przeznaczeniem jest przebywać wśród wielkich ludzi. Nie ułatwiłabym ci tego, gdybym została z tobą.

— Kocham cię — rzekł bezradnie. — Byłbym szczęśliwy, mając cię przy sobie do końca moich dni.

— Aubreyu — powiedziała — czy nie rozumiesz, jak bardzo ja byłabym wtedy nieszczęśliwa?

— A więc nic cię nie obchodzi? — zawołał z rozpaczą. — Myślałem... wydawało mi się... chyba coś jednak do mnie czujesz?

— Myślę, że cię kocham — odrzekła bardzo cicho. — Ponieważ czuję, że to rozstanie złamie mi serce. A nie sądziłam, że mam serce.

Rzucił się do jej stóp.

— Zatem zostań ze mną — błagał. — Zostań jeszcze jakiś czas. Zobacz, jak to jest być kobietą zakochaną w mężczyźnie. Potem zapytam cię ponownie i zrobimy tak, jak zdecydujesz.

Spojrzała mu w oczy.

— A potem poprosisz, żebym została jeszcze trochę, i jeszcze, i znowu, aż zapomnę, jak to jest być czymkolwiek prócz kobiety i nawet będę szczęśliwa. Aubreyu, nie tego pragnę. Zostałam wyrwana z mego środowiska, przekształcona za pomocą czarnej magii i przez trzy nieskończenie długie lata byłam bardziej nieszczęśliwa, niż możesz to sobie wyobrazić. W Królewskim Gaju brakuje jednej wierzby, bez której las jest niekompletny. Świat jest zdeformowany, odrobinę, ponieważ nie znajduję się tam, gdzie powinnam. A ja chcę tam być, Aubreyu. Kocham cię, ale nie kocham cię wystarczająco.

Spuścił głowę i zgarbił ramiona; wydawało się, że cały zapadł się w sobie. Jeszcze chwilę klęczał przed nią, nie prosząc już o nic, ale nie mogąc podnieść się z ziemi. Patrzyła na niego, ale nie dotykała go i nic nie mówiła. W końcu podniósł głowę i wstał, z twarzą człowieka, dla którego wszelka magia straciła swój powab.

— A więc chodźmy do Królewskiego Gaju — rzekł stanowczym, choć łagodnym głosem. — Po drodze znajdziemy coś do jedzenia. Nie ma tu nic, co chcielibyśmy zapakować i nieść. Chodźmy do Królewskiego Gaju.

Nie mogła się powstrzymać; położyła mu jedną rękę na ramieniu, a drugą na policzku. — Jednak idźmy wolno — powiedziała — żebyśmy szli co najmniej trzy dni.

Podróż do Królewskiego Gaju zajęła im cztery dni. Aubrey wiedział, że te cztery dni są ostatnimi szczęśliwymi dniami w jego życiu i jedynymi szczęśliwymi dniami, jakie Lilith miała w ciągu tych trzech lat, przez które była kobietą. Miał nadzieję, choć nie mówił tego głośno, że przez te cztery dni Lilith przemyśli swoją decyzję, gdyż przez ten czas kochała go bardziej niż jakakolwiek kobieta. Jednak rankiem piątego dnia przemknęli się między uzbrojonymi patrolami strzegącymi Królewskiego Gaju i wiedział już, że Lilith ani na chwilę nie zmieniła zdania.

Gdy tylko weszli na tę chronioną ziemię, do tego wspaniałego i świętego ogrodu, odsunęła się od niego. Puściła jego rękę, a jej ciało zdawało się zmieniać i sztywnieć; całą uwagę, dotychczas skupioną na nim, zwróciła gdzie indziej. Z dziecinną radością biegła od dębu do wiązu czy cedru, dotykając ich szorstkich pni, nazywając je ich prawdziwymi imionami, jakimi drzewa zwracały się do siebie. Wiatr powiał i z podnieceniem tańczył wśród nagich, jesiennych gałęzi. Te drzewa nie władały językiem zrozumiałym dla człowieka, lecz Aubreyowi wydawało się, że słyszy fantastyczną, prastarą mowę driad, gdy wieść błyskawicznie przelatowała do końca do końca świętego gaju: Wróciła, wróciła, tak długo nieobecna w końcu wróciła do nas.

A kiedy kobieta wreszcie znów podeszła do niego i niecierpliwie pociągnęła go za rękę, prowadząc we właściwe miejsce, szczególne miejsce, dziwnie pusty kawałek ziemi przeznaczony wyłącznie dla niej, wiedział już, że żadne z wcześniej przygotowanych na tę chwilę próśb nie skłonią ją do zmiany decyzji. Ponieważ już się zmieniła; dłoń, którą trzymał w swej dłoni, była chłodna i nieruchoma, a czyste zielone oczy spoglądały na niego niewidzącym spojrzeniem. Pomyślał, że mógłby zostawić ją tutaj w kobiecej postaci, a siła jej tęsknoty stopniowo przemieniłaby ją na powrót w to, czym kiedyś była. Tak bardzo zmieniła się w ciągu tych kilku minut, od kiedy weszli do lasu.

Jednak wciąż mogła mówić, chociaż nawet i to robiła niechętnie, używając jak najmniej słów do przekazania swych życzeń.

— Tu — oznajmiła. — Teraz. W tym miejscu.

Stała i swobodnym, zmysłowym ruchem szeroko rozłożyła ramiona.

Powiedział stanowczym głosem, usiłując zwrócić jej uwagę:

— Lilith. Pamiętaj, co ci mówiłem. To trudne zaklęcie, najtrudniejsze i może cię zabić zamiast przekształcić. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Nadal chcesz, żebym rzucił to zaklęcie?

— Tak, tak — powiedziała, odrzucając głowę na ramiona i zamykając te niewiarygodne oczy.

— Już. Zrób to.

Jeszcze raz popatrzył na gęste włosy upięte wokół jej skroni, na smukłe, eleganckie linie jej ciała i poczuł, jak rodzi się w nim bunt. Jeżeli nie wymówi zaklęcia, ona się nie zmieni; oprócz niego żaden czarodziej w tym królestwie nie zdoła zerwać czaru rzuconego przez Glyrendena. Pozostałaby kobietą. Poszłaby za nim wszędzie, chcąc czegoś, co tylko on mógłby jej dać. Byłaby z nim zawsze, ponieważ nigdy by jej nie zmienił. Kochał ją. Byłaby jego na zawsze.

Jednak wiedział, nawet w tym ułamku sekundy, kiedy ogarnęły go te złe myśli, że nigdy nie potrafiłby zatrzymać ją wbrew jej woli. Po pierwsze, to uczyniłoby go nie lepszym od Glyrendena. Po drugie, kochał kobietę znaną jako Lilith i nie mógłby pogodzić się z tym, że jest nieszczęśliwa. Tak więc zamknął oczy, żeby nie patrzeć na nią wymawiając zaklęcie i w milczeniu rzucił czar zmieniający kobietę w wierzbę. I zaopatrzył to zaklęcie we wszystkie znane sobie zabezpieczenia, osłony i wzmocnienia. Uczynił to zaklęcie tak mocnym, że nawet Glyrenden — gdyby żył — nie zdołałby go zdjąć.

A potem otworzył oczy. To była najdziwniejsza, najbardziej zdumiewająca rzecz, jaką widział w życiu, ta przemiana kobiety w drzewo. Jej ciało pogrubiało i zbrązowiało, nogi wydłużyły się i powoli zakorzeniły się w ziemi. Ramiona i palce wyciągnęły się, a na ich

końcach zaczęły wyrastać maleńkie gałązki. Przegapił chwilę, gdy jej głowa wtopiła się w srebrzysto-brązowy pień, bo nagle nie widział już jej twarzy, nie widział już jej ciała, tylko wiotkie, sprężyste gałązki spłynęły na niego jak deszcz, otaczając go ze wszystkich stron. Była już prawie zima, lecz ona oszołomiła go kalejdoskopem pór roku: na jej długich, delikatnych gałązkach pojawiły się twarde pączki, które rozkwitły przelotną, wonną zielenią, potem pomarszczyły się, zestarzały i opadły leniwie do jego stóp. Zwieszona, wiotkie gałęzie zamknęły się wokół niego, otaczając ramiona i pierś, aż musiał odepchnąć je na bok, żeby od niej odejść, wyjść z jej cienia na światło dnia.

Powiedziała mu, że chce pamiętać, więc pozwolił jej pamiętać, jednak nie sądził, by potrzebowała jego czarów, żeby zapomnieć. Co do niego, żaden czarodziej na świecie nie zdołałby odebrać mu wspomnień o niej; wryły się głęboko w każdym skręcie i zwoju jego mózgu, gdzie miały pozostać aż do jego śmierci. Przez długą chwilę stał, patrząc na samotną wierzbę w Królewskim Gaju, piękniejszą od wszystkiego, co kiedykolwiek widział; potem pochylił się, by podnieść coś, co upuściła, kiedy uległa przemianie. Był to złoty naszyjnik, który jej podarował, którego nie zdejmowała przez ostatnie cztery dni, a teraz już nie potrzebowała. Aubrey włożył go do kieszeni, odwrócił się i omijając strażę, jak najszybciej opuścił święty gaj.

## EPILOG

Jedni mówią, że to koniec opowieści, inni twierdzą, że nie. Chociaż znamy wiele faktów z życia Aubreya, który zasłynął jako Zdolny, bardzo wiele pozostaje przedmiotem domysłów i spekulacji. Niektórzy powiadają, że już nigdy nie ujrzał kobiety zwanej Lilith, która pozostała w postaci, jaką jej nadał, aż cały królewski las spłonął i zamarło w nim wszelkie życie. Inni przeczą temu.

Ci nieuleczalni romantycy powiedzą wam, że—gdy las płonął i jedno drzewo po drugim padało pastwą płomieni, a żywiczne cedry używały swego ognistego oddechu rozgrzanym sosnom — jedno drzewo nie spłonęło. To drzewo zdrzało czując żrący oddech nadciągającego ognia, skurczyło się i uciekło, przypominając sobie w potrzebie, jak to jest być kobietą. Zaś ta kobieta uniknęła losu, jaki spotkał wszystko, co żyło w Królewskim Gaju; niepostrzeżenie skradła ubranie z pierwszej napotkanej chłopskiej chaty i powoli szła od wioski do wioski, podkradając jedzenie i przypominając sobie ludzką mowę, aż dotarła to miasteczka na tyle dużego, by docierały tam najnowsze wieści. Powiadają, iż tam rozpyłała o czarodzieja imieniem Aubrey i odnalazła miejsce, gdzie mieszkał — dwa tysiące mil i dwa królestwa od gaju, z którego wyruszyła. A wtedy połączyli się znowu i nigdy więcej się nie rozstali, aż do śmierci.

To prawda, że — jak twierdzą ci bajarze — Królewski Gaj spalił się; prawdą jest także to, że w późniejszych latach Aubreyowi Zdolnemu zawsze towarzyszyła kobieta — zielonooka i dziwna. Wszystkie źródła zgodnie podają te fakty z życia czarodzieja. Jednak nie ma w nich żadnych wzmianek co do tożsamości kobiety. W żadnej z kronik nie zanotowano jej imienia, a trudno uwierzyć, by zaklęcie rzucone przez Aubreya Zdolnego dało się tak łatwo przełamać. Ponadto, ona już kiedyś przedłożyła ryzyko śmierci nad dalsze życie w kobiecej postaci i miała wiele lat na to, by zapomnieć, że niegdyś miała nogi pozwalające uciec przed szalejącym ogniem. Jednak ustne przekazy uparcie twierdzą swoje i dotychczas żaden uczony nie zdołał ich podważyć.

Co do wielkiego maga, Glyrendena, krążą o nim jeszcze dziwniejsze wieści. Głoszą, że można przez całe życie przeczesywać ziemię królestwa i nigdy nie znaleźć siedziby czarodzieja. Otaczający ją las, rozległy i prawie nieprzebyty, jest dziś tak gęsty, że nie sposób odnaleźć żadnych ścieżek i traktów, które kiedyś przezeń wiodły. Las zemścił się na Glyrendenie, mówią wieśniacy, zacierając wszelkie ślady jego istnienia; tak że nawet ci, którzy słyszeli o nim od tych, co usłyszeli o nim od jeszcze innych, nie mogą dowieść, że

kiedykolwiek żył, oddychał i rzucał złe czary; tak więc nie mają inspiracji do naśladowania człowieka, który tak całkowicie zniknął z powierzchni ziemi.